

**Monika Sawicka**

# **KRUCHOŚĆ PORCELANY**

2006

## Podziękowania

Z serca całego dziękuję:

Patronom medialnym oraz: Leszkowi Bugajskiemu i Januszowi Leonowi Wiśniewskiemu - za to że podarowali mi swój czas i przeczytali powieść, a także za to, że zagrzewali mnie do walki.

Rodzicom szalonym moim - przede wszystkim za geny (w zasadzie jestem zadowolona).

Mamie - za jej serce i za to, że jednak mnie nie udusiła w kołysce poduszką.

Tacie - on wie za co. A także za to, że mnie przed śmiercią od owej poduszki uratował.

Babci i Dziadkowi - za to, że są najwspanialszy na świecie. Babci - że miała zawsze do mnie ciepłość i kocha mnie bardzo. Dziadziusiowi - że spełniał wszystkie moje zachcianki i nosił mnie na rękach do ósmego roku życia, gdy nogami ciągnęłam już po ziemi.

Moim Przyjaciółkom: Kasi Trofimow-Michalskiej - że zawsze przy mnie jest. Anicie Szymczak-Czajkowskiej - że całe życie ratowała mnie na matematyce.

Wróżce - za to, że skutecznie namawiała mnie, abym wreszcie zrobiła coś dla siebie.

Przyjaciołom z portalu [www.martyna.korba.pl](http://www.martyna.korba.pl) - za to, że wierzyli we mnie nawet wtedy, gdy ja w siebie wierzyć przestałam. Bez ich uporu i optymizmu, który we mnie zaszczepili „Kruchość porcelany” leżałaby do dziś w szufladzie.

Szczególnie dziękuję: Pomerance, Mimosie, Jakubowi, Jagodzie, Splash, Cati, Driadzie, Emce, Gosi H., Eszkowi, Jacarowi, Iskierce, Elisabecie, Przechodniowi, Asi Szeligowskiej, Tio, Karolinie, Kami, Żurusiowi, Maryśce, Jagnie.

Przepraszam wszystkich, których pominęłam. To nie z powodu lekceważenia, lecz prawdopodobnie postępującej miażdżycy, która objawia się galopującą sklerozą. Dziękuję także moim nauczycielom języka polskiego: z SP 137 (1980-1988) oraz z XXI LO w Łodzi (matura 1991) - zaszczepiliście we mnie miłość do „pióra”.

Ale najszczególniej i najmocniej chcę podziękować komuś wyjątkowemu: **MOJEJ CÓRCIE, KAROLINIE.**

Za to, że jest najcudowniejszą córką na świecie, chociaż czasem wyrastają jej wstrętne różki. Za jej wielkie serce, wrażliwość i mądrość. I za to, że rozumie matematykę w przeciwieństwie do mnie i wcale się z tego powodu nie wywyższa. I za nieustającą inspirację.

## Od autorki

Jestem dzieckiem grzechu. Grzechu zaniedbania w nauce do egzaminu ze zobowiązań na III roku prawa na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego.

Jestem dzieckiem owego grzechu, choć sama siebie wolę nazywać owocem miłości milicjanta i niedoszej prawniczki.

Mama studiów nie skończyła, gdyż najpierw wołała seks od kolokwium (co jest w pełni zrozumiałe), a później wynikiem tego seksu byłam ja - bardzo absorbujące dziecko. Mój żywot byłby krótki, gdyby nie heroiczny czyn tatusia, który uratował mnie przed śmiercią z rąk mamy, mając na uwadze artykuł 148. kodeksu karnego. Darłam się tak głośno i tak długo, że mama uciekła się do próby usiłowania zabójstwa za pomocą poduszki.

Jako córka milicjanta całkiem zdrowa na umyśle być nie mogę i nie jestem. Jako nastolatka słuchałam Anny Jantar, Ireny Santor, nuciłam pod nosem Jerzego Połomskiego, gdy w tym samym czasie moi rówieśnicy słuchali Lady Pank, Oddziału Zamkniętego i Budki Suflera. I tak mi zostało do dziś.

Książki czytałam w takim tempie, że mama nie nadążała mi ich kupować. Gdy miałam lat 13, miałam już za sobą „Medaliony” Zofii Nałkowskiej oraz większość pozycji o holocauście.

Gdy już do końca utwierdziłam się w swojej nienormalności, postanowiłam postawić kropkę nad i, i zostać aktorką albo patologiem. Gdy odkryłam, że muszę posiąść wiedzę z zakresu biologii, chemii itp., porzuciłam nieprzemyślaną decyzję krojenia nieboszczyków i skupiłam się na aktorstwie. Tu stanął mi na drodze zgryz i zakończyłam karierę aktorską zanim zaczęłam o niej poważnie myśleć.

Okres sielanki trwał do matury. Później wyszłam za mąż. Do tej pory nie wróciłam. Monika Sawicka, de domo - Ubysz.

Na tym świecie pojawiłam się w Roku Pańskim 1972 w mieście Łodzi. Nieodrodna córka swoich rodziców - nie mają szans, żeby się mnie wyprzeć. Z wykształcenia i zamiłowania - dziennikarz. Z chorobliwej ambicji - absolwentka stosunków międzynarodowych, więc ustosunkowana jestem dobrze. Bo się ciężko zakochałam - żona przedsiębiorcy, czyli biznesłomen (biznes łomem).

Bo tak miało być - matka fantastycznej 12-latki.

Dlaczego piszę? Bo tylko pisanie dostarcza mi tlen do płuc. Bo dzięki temu mogę udawać, że jestem normalna. Drugą moją butlą z tlenem jest czytanie. Najchętniej wracam do

jednej z najpiękniejszych opowieści o niezwykłej miłości, książki Williama Whartona „Spóźnieni kochankowie”.

Słucham Edith Piaf, Michała Bajora, Cohena, swingu, a wszystko to w wannie i w łóżku przy płonących świecach. Baczenie jednak pilnuję, by koty nie puściły z dymem mieszkania, więc moja przyjemność nie jest pełna. Filmy, który wprawiają mnie w zadumę to „Dom dusz” i „Życie jest piękne”.

Trzecia butla z tlenem, a właściwie wielka pompa włączająca we mnie życie, to moja córka. I wcale nie mam jej za złe tego, że jest mądrzejsza ode mnie.

Student jaki jest - każdy widzi. Sawicka jaka jest - też każdy widzi. Z tym że jedni widzą więcej, a inni tylko to, co chcą zobaczyć. Niektórzy zaś nie widzą nic.

## **Wstęp**

Zuzanna istnieje naprawdę. Znam ją bardzo dobrze i jest mi niezwykle bliska. I choć ona jedna jest bohaterką mojej powieści, kobiet takich jak Zuzia jest bardzo wiele. Statystycznie rzecz biorąc - 30%. Większość z nich milczy, zamiast wołać o pomoc. Większość z nich dźwiga w ciszy swój krzyż, ciesząc się każdą minutą wolną od krzyku, bólu i łez.

Zuzanna jest teraz w niezwykle trudnym momencie swojego życia - wybrała wolność i szacunek, choć także niepewność przyszłości. Zdecydowała jednak, że taka niepewność jest lepsza od siedzenia na beczce z prochem czy jechania z terrorystą w jednym wagonie metra.

Trzymam za nią mocno kciuki. Wierzę, że wyjdzie z doliny deszczu. Wymyślony jest tylko Wymyślonym, podobnie jak Wirtualny. Jednak większość opisanych tu sytuacji zdarzyła się naprawdę. Niekoniecznie jednej Zuzannie. Jednak większości zdarzeń nie opisałam z uwagi na ich drastyczność. Nie potrzeba nam więcej smutku. Tyle wystarczy.

„Na wzgórzu ciemnym i cielonym  
Blizn żadnych nie postawia mgła,  
Więc i na Tobie po mym ciele  
Nie pozostanie żaden ślad”

Nie jestem Bridget Jones. Nie jestem nawet polską Bridget Jones. I choć nie jestem samotna, nadal mogą zeżreć mnie nie psy, lecz koty. Poza umiarkowaną sympatią do martini, nieumiarkowaną odwieczną walką z cellulitem i nadwagą oraz moją wypaczoną psychiką, nic więcej mnie nie łączy z roztargnioną, gapowatą i zakręconą jak słoik na zimę Brytyjką.

Nazywam się tak jak pies naszych sąsiadów, piękny, czarny, smukły (czego nie można powiedzieć o mnie) doberman, a także tak jak słynący z niebotycznej megalomanii korespondent telewizji - Polak z pochodzenia, Amerykanin z zasiedzenia, niejaki Kolonko Mariusz, w kręgach studenckich zwany Mas Mix Golonka. Maks. Nazywam się Maks. Już nawet zwalczyłam nawyk odwracania głowy za każdym razem, gdy sąsiad woła swego dobermana. Czasem na niego gwizdże i bywało, że wołał, a zaraz potem gwizdał, a ja się odwracałam. Pół osiedla mogło zatem śmiało podejrzewać, że na Maks wystarczy zagwizdać jak na panienkę na Bulwarze Zachodzącego Słońca, a ona odwraca się ochoczo.

Teraz, gdy sąsiad woła swego psa, idę dzielnie przed siebie, niewzruszona jak głaz i w duchu gadam do siebie: „Bądź dzielna Maks, to nie ciebie wołają. Nie odwracaj się pod żadnym pozorem”. Kiedyś mnie zamkną za to gadanie.

Doszło do tego, że w pewnym momencie w ogóle przestałam reagować na swoje nazwisko i mój mąż ochrypl, próbując mnie „dowołać”. Zapomniał, że mam imię? Darł się na całe pole. Słyszałam oczywiście: „Maks!, Maks!”. Ale obiecałam sobie, że już się nigdy nie odwrócę, bo pewnie znowu wołają psa. I biedak skostniał pod drzwiami w oczekiwaniu na mnie, bo nie miał kluczy. Bardzo dobrze. Podwójna nauczka. Po pierwsze: noś zawsze klucze od domu. Po drugie: warto pamiętać, jak ma na imię twoja żona. Czasem się przydaje. Maks. Zuzanna Maks.

Dostałam dzisiaj list. Powiewał sobie radośnie, ciepło schowany do koperty wsuniętej w drzwi. Z koperty wypadł najpierw wycinek z kolorowego czasopisma z zaznaczonymi na czerwono fragmentami. „Niektóre doświadczenia są jak kataklizmy - zmiatają nas z powierzchni ziemi na długie miesiące. Są jak emocjonalne huragany, niszczycielskie żywioły siejące ból i spustoszenie. Wymiatają, z naszych serc każdą odrobinę radości. Rozpacz może nas łatwo pokonać albo mądrze wzbogacić... Według angielskiego terapeuty Robina Skynnera, „żeby wydostać się z prywatnego piekła, trzeba się najpierw przyznać, że się w nim

jest. Aby móc się autentycznie pogodzić z doznaną krzywdą, należy doświadczyć głębokiej żałoby. Wyjście z piekła zawsze prowadzi przez czyszciec. Nie ma drogi na skróty. Ból trzeba przeboleć do końca. Wiele osób boi się rozpaczy. Lęka się zanurzenia w głębokim żalu. Odpędza cierpienie. Funduje sobie ból w małych dawkach: w smuteczkach, melancholiach. Dlatego właśnie odzyskanie równowagi zabiera im całe lata albo też są podłamani do końca życia. Tymczasem nie należy się „podłamać”, należy się „złamać”, żeby się odrodzić. Dramaty boją, bo nie umiemy ich przeżyć do końca. Przechowujemy je w sobie, spychamy, wypieramy, unieważniamy. Zaś doświadczanie cierpienia do końca, odczuwanie rozrywającego bólu oczyszcza nas, tworzy miejsce na nowe, pozytywne i budujące uczucia. Pozwólmy sobie na krzyk, łzy, szaleństwo z rozpaczy. Osoby, które wyszły z wielkich dramatów, opowiadają, że dotknęły dna rozpaczy i dlatego miały już tylko jedną drogę: odbić się od głębi ciemności i dryfować ku jasnej stronie życia. Cierpienie, które zawładnie nami do końca, obmyje nas jak wielka fala, ale nie zatopi, a za to odstąpi, przeminie. Prawdziwe cierpienie nie odgradza nas, ale łączy ze światem. Pomaga go w pełni zrozumieć i pojąć. Jest bolesne, ale i twórcze, motywuje do pogodzenia się ze stratą, do przebudowy myślenia i odczuwania. Uczy nas, jak mądrze żałować i akceptować świat takim, jaki jest.”

Przeczytałam, ale nie mam siły się nad nim zastanawiać. Pewnie znowu Jehowi chodzili. Odkładam go więc do pudełka z napisem „Korespondencja wiecznie żywa”. Trzymam tam wszelakie rachunki oraz listy miłosne od instytucji państwowych, które uprzejmie mnie informują, że jeśli nie zapłacę zaległych kwot, to zostanę bez wody, prądu czy gazu. Nie płacę wyłącznie przez roztargnienie. List więc wrzucam do pudełka i oddaję się użalaniu nad dniem dzisiejszym.

Bywają w życiu większe tragedie niż 30. urodziny. Wiem, wiem, wiem oczywiście. Jasne, tak. Mam lat 25 plus VAT No pewnie. Jeśli będę sobie to powtarzać odpowiednio często, to może poprawi mi to samopoczucie. Może powinnam sobie kazać wytatuować to na czole.

Codziennie rano, myjąc zęby w cholernie zimnej łazience, odczytam ten tekst i od razu będę miała lepsze feng shui. Cyferki będą wytatuowane takim rodzajem atramentu, co to można wymazać przy okazji każdych następnych urodzin.

Staram się nie myśleć o tym, że już nie będę szczęśliwą posiadaczką dwójki z przodu, ale jak tu nie myśleć, jak otaczają mnie same trzydziestki? Prawdziwa inwazja! Jakby zupełnie nie istniały inne cyfry! Jadę sobie spokojnie samochodem, muzyczka relaksacyjna z serii „Morska bryza” a tu nagle i niespodziewanie wyrasta spod ziemi, na złość mnie, znak drogowy - ograniczenie prędkości. Do ilu, pytam się? Oczywiście do trzydziestu.

Myślę sobie: małe zakupy nieźle mi zrobią. Wchodzę do centrum handlowego, a tam, prosto między oczy, biją oklejone kartonami wystawy sklepowe. A na kartonach co? Obniżka cen! O ile? O 30%. Znowu trzydziestka!

Myślę sobie (to budujące, że nadal mogę myśleć) - kawy się napiję i poczytam jakieś babskie poradniki świeżo nabyte w Empiku. Otwieram pierwszą stronę i widzę krzyczący specjalnie do mnie tytuł: „Jak pozbyć się 10 kg w 30 dni!!!”. Odrzucam z obrzydzeniem pismo i sięgam po następne: „30 cudownych rad, jak być piękną w 30 minut”! Przy wyjściu wpada na mnie jakiś lekko podpity facet i mamrocze: - Złociutka, numerek.

Ja ci dam, obrzypało, numerek! Matko jedyna, nie dosyć, że lada chwila stuknie mi trzydziestka, to jeszcze jakiś zawiany facet tak bezczelnie proponuje mi seks! Niby wybredna przesadnie nie jestem, ale są pewne granice tolerancji. Już otwieram usta, żeby go uprzejmie pożegnać, gdy ten powtarza z uporem maniaka:

- Złociutka, no daj mi ten numerek!

Lutną go, jak babcię kocham, zaraz mu przylutuję - myślę i już-już przypominam sobie, jak prawidłowo należy wyprowadzić prawy prosty, gdy ten rozpaczliwie woła:

- Złociutka, numerek. Szczęśliwy numerek. Podaj jakiś. Dziś jest losowanie, a ja czuję, że będę miał fart.

No - myślę sobie - już masz fart, bo właśnie zaoszczędziłaś na dentyście. Cholera, muszę się leczyć. Co mi chodzi po głowie. A może by tak czasem zastukać? Lepiej nie, bo jeszcze usłyszę głuchy dźwięk.

Facet znowu szykuje się do przemowy:

- Złociu...

- Cicho bądź pan! - przerywam mu w połowie „złociutkiej”. TRZYDZIEŚCI! - wrzeszczę na całe centrum i wybiegam w popłochu, bo nagle wydaje mi się, że właśnie obwieściłam światu, ile mam lat.

- Nie otworzysz prezentu? - zapytała Kaśka, moja przyjaciółka z najdłuższym stażem.

- OK. Już otwieram, ale i tak wiem, co tak jest - odpowiedziałam niczym wróżka.

- Skąd wiesz? - oczy Kasi osiągnęły wielkość pięciozłotówki.

- Pewności nie mam, ale się domyślałam.

- Tak? To co, cwaniaczku?

- Założę się, że jakiś krem na starość - odpowiedziałam z rezygnacją oraz nadzieją, że jednak może się myłę.

Kaśka zaniemówiła, a ja już wiedziałam, że miałam rację. Po rozpakowaniu z papieru moim oczom ukazał się... krem multiaktywny z retinolem PRZECIWIW STARZENIU SIĘ.



- No nie, moja droga. Z tym retinolem to już przesadziłaś. Naprawdę jest ze mną tak źle?

Absolutna katastrofa. Tragedia bez happy endu. Więc ona uważa, że starzeję się i ma trochę racji, bo coraz młodsza to ja nie jestem. Jeśli ona tak myśli, to znaczy, że ja chyba też powinnam zacząć tak na siebie patrzeć. I oto nadeszła chwila prawdy. Mówią słowami Pawlaka: nadejszła wielkopojmna chwila. Czas spojrzeć prawdzie w oczy: to znaczy spojrzeć w lustro.

Dobra, zebrałam się w sobie, wypiłam dwie kolejki zubrówki i patrzę. Szukam tak gorączkowo, że się spociłam i musiałam zdjąć bluzkę. Oj, niedobrze, niedobrze. Nie mam stanika i zapomniałam o tym. Moje piersi nie prężą się dumnie jak do apelu, niestety. Jedna się pręży, a druga smutno i żałośnie opada. Żeby nie powiedzieć, że zwisa. Na szczęście (teraz to odkryłam) są nieduże, więc nie mogą za bardzo zwisać. Generalnie jednak nie będę się schylać na golasa, żeby nie zamiatać sutkami podłogi. Dobrze, że nie odziedziczyłam biustu po babci seksbombie. Kiedy siadała, jej piersi prawie opadały na uda. Ło Jezu, dzięki Ci za to, że obdarowałaś mnie dwiema małymi „trójczkami”, które zgrabnie leżą w męskiej dłoni. Babcia - świeć Panie nad jej duszą - gdyby tylko się uparła, mogłaby dziadkowi wybić zęby podczas poczynania mojego ojca. Pod warunkiem oczywiście, że w swej głębokiej pruderyjności nie uznawałaby jedynie pozycji popularnie zwanej „po Bożemu”. Czyli, jak ja to nazywam, „ani drgnij”. Żadnych zbędnych ruchów, żadnych w ogóle.

Gdybym ja miała taki biust, to moi partnerzy wiecznie chodziliby ze zdrutowaną szczęką... Czasami zastanawiam się nad silikonami, ale boję się, że eksplodują, na przykład na pokładzie samolotu albo wkładka mi się przesunie. A poza tym to widać na odległość. I można to wyczuć palpacyjnie.

Fakt, że gdy przeciętny facet zobaczy dwie duże, idealnie równe piersi z ciągle sterczącymi sutkami, to mu rozum odbiera i jest mu wszystko jedno, czy będzie całował silikon powleczony skórą, ważne, żeby było duże.

To przykre. I wcale nie przemawia przeze mnie zazdrość. Raczej współczucie.

Dobra, miałam o zmarszczkach.

Na twarzy. Nie mam. Nie licząc tych mimicznych. Naprawdę nie mam. Stara dupa ze mnie, ale nie pomarszczona. No bo o tych, które się tworzą po bokach ust, od uśmiechu, nie mówię. Od uśmiechu... Moja znajoma pani mecenas nieco inaczej je nazywa. Kiedyś oplułam ją herbatą gdy zupełnie zniecka powiedziała: „Pani Zuzanno - (poczułam się tak, jakbym miała 180 lat) - ja nie mam zmarszczek. Tylko te wokół ust, ale one się nie liczą, bo to są

zmarszczki od robienia laski”. Jednym tchem to powiedziała. Ot, tak sobie. Po prostu. Od robienia laski, no jasne, że też sama na to nie wpadłam.

Ja jestem wyrozumiała. I jestem wyzwolona. I wyemancypowana nawet jestem. I czasami bywam perwersyjna. Czasami nie bywam. I lubię seks. Wprawdzie nie tak „jak koń owies”, ale jednak. Bardzo lubię. W każdej postaci nawet. I plotę, co mi ślina na język przyniesie. A dopiero później myślę, co powiedziałam. I przeważnie jest już za późno, żeby coś naprawić. Ale tekst pani mecenas mnie trafił prosto do mego serca i w głębi duszy powzięłam postanowienie, że oto właśnie mam rodzinnego adwokata, w razie gdyby mnie kiedyś zamierzali zapuszkować. Jak w mordę strzelił, pani mecenas przyjdzie do prokuratora, żądając natychmiastowego uwolnienia, a gdy ten odmówi, ona grzecznie powie, żeby jej nie rozśmieszał, bo jej się pogłębią zmarszczki od robienia laski.

Zmarszczek nie mam, poza tymi od robienia laski, ale te się nie liczą. Natomiast odkryłam kilkucentymetrowe pole cellulitu. Wcierałam żel „przeciwko” z takim zaangażowaniem, że aż mi się naskórek z wewnętrznej strony dłoni starł.

Faceci mają luz. Nie muszą sobie depilować pachwin ani łydek, no chyba że lubią. Nie sterczą przed lustrem, robiąc sobie make-up codziennie o szóstej rano. Chyba że lubią. Nie wcierają w siebie różnorakich kremów pilingujących. Nie przedłużają sobie włosów, nie noszą peruk (tylko tupeciki), nie łamią sobie dopiero co założonych tipsów (niewtajemniczonym wyjaśnię, że chodzi o paznokcie). Raz w życiu mi się to zdarzyło.

Dałam się namówić. I nie mogłam wsiąść do własnego samochodu, bo zdawało mi się, że za chwilę któryś mi odpadnie. A w ogóle czułam się z tymi tipsami jak Edward Nożycoręki. O grze w moje ukochane kręgle nie było mowy. Wzięłam kulę osiem kilogramów i... Bum. Trafiony komplet.

Patrzę na swoją prawą dłoń. Nie ma trzech tipsów. Mówię do męża: - Słuchaj, trzy tipsy mi poszły.

A mój rycerz (gdzie ta zbroja, gdzie ten rumak?) bierze kulę do ręki i nią potrząsa.

Pytam:

- Dobrze się czujesz? Czego tam szukasz?

- Twoich paznokci. Może można je przykleić.

- Kropelką czy butaprenem? - pytam, dusząc się od śmiechu.

Albo to. Kiedyś kupiłam sobie perukę, długie włosy w kolorze brązowo-czarnym. Założyłam już w sklepie, przebrałam się i pomaszero wałam do swojego biura.

Wchodzę bez „dzień dobry, bo w biurze tylko mąż i kolega, a z nimi się już wcześniej widziałam. Sunę prosto do mojego biurka, a tuż przed nim przyszpila mnie głos mojego męża:

- Słucham panią? W czym mogę pomóc? Załamalam się.

- To ja, ty idioto!

Całe szczęście, że nie próbował mnie poderwać.

Hmm... A ktoś powiedział, że mężczyźni mają większe mózgi. Antropologicznie rzecz biorąc. Praktycznie zaś wcale nie musi to oznaczać, że ich zawartość też jest większa.

Różnie ludzie o mnie mówią. Powiadają, że jestem jak ogr. Jak Shrek. Mam warstwy, jak cebula. Każdy z nas ma warstwy. Jedni mają ich więcej niż inni - cebule są przecież różne. U mnie Diory i Chanele tworzą zewnętrzną warstewkę. Kolejną jest pancerz ochronny, mający bronić mnie przed tym, czego się obawiam i nie przepuszczać ukłuc zadawanych przez tych, których się boję. Pancerz skrywa to, co najważniejsze. Wrażliwość, bezbronność i strach dziewczynki z zapalkami. O rany! To prawdziwy ekshibicjonizm. Tak się obnażyć na samym początku?

Niektórzy mówią, że proces poznawania mnie może być niezwykle ciekawy i, jak podczas obierania cebuli, nie obyłoby się bez łez. Aha. I jeszcze podobno kobiety jak ja są nieodzownym dodatkiem do smaczkowej potrawy zwanej życiem. Gdyby słyszał to mój mąż, kazałby mi się rozpędzić i uderzyć głową o ścianę. On uważa, że jestem niewrażliwą małpą. I niech tak myśli. Mnie boli mniej.

Są tacy, którzy postrzegają mnie jako kobietę posagową. Fizycznie dobrze zbudowaną blondynkę. Ale nie tę z dowcipów. Przeczą temu rzekomo... oczy. To nie są oczy głupiutkiej blondynki uwieszona na łysym i umięśnionym właścicielu BMW. Och!

I znowu ten pancerz, mur obronny, znad którego obserwuję świat. Nie przeszkadza mi on jednak w dobrej zabawie i uśmiechu. A pod tym murem niby jest gorąca kobieta, o której niejeden mężczyzna może tylko pomarzyć. Kojarzę się niektórym z Afrodytą. Mimo barokowej nieco figury. Wyglądam jak bogini wybiegająca z zielonkawego morza na skąpaną w południowym słońcu plażę. Białe uśmiech i jasne, mokre włosy mocno odcinają się od ciemnej opalenizny.

Kiedy to usłyszałam, planowałam w pierwszym odruchu desperacji rzucić się na tory. Ale tak się szczęśliwie złożyło, że akurat nadawali w telewizji „Xenę, wojowniczą księżniczkę”. I zobaczyłam Afrodytę. Poprawiło mi się.

Koszmarne pogorszenie nastąpiło, gdy ukradłam Amelce kasetę z filmem „Shrek” i spojrzałam na zdjęcie tytułowego bohatera. Mam nadzieję, że w porównaniu z tym ogrem nie

chodziło o fizjonomię. Jak mi się najpierw pogorszyło, później trochę polepszyło, a następnie znowu pogorszyło. Pocieszyłam się jednak, że nie jestem blondynką z dowcipów, wiszącą na ramieniu dresiarza, właściciela BMW, z ilością złota na szyi przyciągającą go do ziemi.

Ale na nieszczęście postanowiłam przejrzeć album malarzy specjalizujących się w baroku i niestety znowu miałam ochotę skoczyć z okna, choć owy skok nie dawał gwarancji zejścia śmiertelnego z uwagi na to, że akurat przebywałam na parterze, więc zrezygnowałam, świadomie odbierając sąsiadom okazję do rozrywki.

Tymczasem postanowiłam wypowiedzieć wojnę mojemu cellulitisowi. Na śmierć i życie. Banał? Nic nieznaczący problem? Niby tak. Czym to jest wobec głodu w Somalii? To w takim razie skąd ta zbiorowa psychoza, nakręcająca koniunkturę na superrewelacyjne kosmetyki zwalczające pomarańczową skórę?

Faceci uważają, że my naprawdę nie mamy innych zmartwień niż tarka na udach i tyłku. Nie marzymy o niczym innym, jak tylko o tym, by codziennie rano i wieczorem wklepywać w ciało straszliwie kosztowne, niewiele pomagające kremy, papki, żele itp. I oczywiście robimy to wyłącznie dla siebie. I właśnie dla siebie zakupiłam dzisiaj szczotkę do wcierania kremu i rozbijania podskórnej tkanki tłuszczowej. Szczotka przypomina narzędzie tortur. Wiem, że może się wydawać głupie i śmieszne nawet dbanie o swoje ciało.

Ale dla kogo my to robimy?

Mądra kobieta powie: dla siebie. Szczera powie: dla facetów, którym gały wychodzą na wierzch, gdy ulicą idzie babeczka z jędrnym, sterczącym biustem i pośladkami jak u Jagienki z Krzyżaków, którymi mogłaby łupać orzechy.

Wcieram więc, wcieram i przeklinam w duchu moją tkankę tłuszczową, telewizję, która pokazuje relacje z pokazów mody, po wybiegach których chodzą anorektyczne modelki, uznawane za wzór piękna. I tu znowu paradoks - niby faceci ślinią się na widok szczapowatej modelki, której można z dużej odległości policzyć żebra, a jednak, mając do wyboru zagłodzony wieszak i kobietę, którą jest chociaż za co złapać, wybierają tę drugą. Twierdząc, że nie lubią, jak im w trakcie uprawiania seksu kości grzechoczą.

A my co? Za wszelką cenę zmuszamy strzałkę wagi łazienkowej do ruchu w lewo. A wszystko to wynika z braku samoakceptacji. Nie potrafimy siebie pokochać.

Czasami warto spojrzeć w lustro i powiedzieć: „Hej, mała - laska z ciebie. Lubię cię. Nawet z tymi malutkimi wałeczkami tłuszczu, z cellulitem, który też ma swój urok, z krągłymi ramionami i kształtnym tyłeczkiem”.

Życie to kwestia wyborów. Ciągłych. Musimy zdecydować, czy zaakceptujemy siebie z małymi wadami, czy też wolimy zadrećcać siebie i znajomych swoimi, często

wyimaginowanymi, problemami. To prosta droga do wiecznych depresji, dołów wielkości leja po bombie atomowej, zmarszczek.

Nie bądźmy polskim wydaniem Brigdet Jones - bądźmy sobą. Odkryjmy w sobie wdzięk i kokieterię, która w tym decydującym momencie przysłoni wszelkie nasze niedoskonałości. A może doskonałości?

Zresztą, przełącznik światła jest po to, by go w odpowiednim momencie przekręcić (o rety, plotę bez sensu). Jeśli już naprawdę tak wstydzimy się swojego ciała.

A mówiąc już całkiem serio, jeśli facet nas kocha, to patrzy na nas przez różowe okulary - wcale nie dostrzega zbędnych kilogramów, pomarańczowej skórki i nierównych piersi. Nie będę więcej piła przed południem. Jeśli nas kocha, to po jaką cholere mu te okulary?

Obudził mnie o 4:10. Nad ranem. W nocy było gorąco, więc spałam bez ubrania. Więc obudził mnie i mówi:

- Wiesz co? Fajna dupa z ciebie.

- I to chciałeś mi powiedzieć koniecznie teraz? Czy ty wiesz, która jest godzina?

- Fajna, tylko szkoda, że tak leżysz ugorem i się marnujesz.

- Ugorem? A co ja jestem, przepraszam, pole uprawne? Ktoś powinien może mnie zaorać?

- No - elokwentnie odpowiedział. - Trochę pouprawiać by się przydało.

Odwrociłam się do niego plecami. Bajecznie, bajecznie po prostu. 12 lat w jednym łóżku, a ty nagle dowiadujesz się, że leżysz ugorem. Nieco odsunęłam się na brzeg, bo wydawało mi się, że to, co miał między nogami zaczynało przybierać kształt zbliżony do narzędzia niezbędnego podczas orki. Sierp czy młot. Jakoś tak.

Wyjątkowo nie miałam ochoty na żniwa.

Pierwszy raz od epoki lodowcowej kupiłam sobie krótką spódnicę w uroczą szkocką kratę i pierwszy raz, od kiedy na Ziemi pojawił się człowiek, mój tyłek nie wygląda w niej jak wielka dębowa szafa babci. Zastanawiam się tylko, czy nie powinnam zastąpić słowa WIELKA wyrażeniem STARA. Właściwie nawet można by się pokusić o nieskromne i ryzykowne stwierdzenie, że mój niegdyś słusznych rozmiarów zadek wygląda nieźle. A co tam! Zgrabnie, całkiem dobrze. Jest OK.

Pamiętam jak jakieś dwa miesiące temu, zakładając sukienkę, którą dopiero co sobie kupiłam i tego dnia właśnie miała ona swój sukienkowy debiut (nigdy niczego w sklepie nie przymierzam z obawy, że mają ukryte kamery), więc zakładając tę sukienkę, doznałam szoku. Kręciłam się w kółko, niemiłosiernie wykręcając szyję we wszystkie strony, prawie jak

Meryl Streep w filmie „Ze śmiercią jej do twarzy” i wytrzeszczałam oczy w poszukiwaniach własnego zadka, który wcześniej stanowił wiodący element mojego jestestwa. Wyginałam się tak przed lustrem jakieś trzy kwadransy, po czym zmęczona i zlana potem (dobrze że jest Secret), z potężnymi zawrotami głowy rzuciłam się do pokoju w poszukiwaniu telefonu. Po krótkiej walce z kłębiącymi się na łóżku wraz z pościelą tonami ubrań, krzyknęłam: „Victoria!” i wystukałam numer telefonu Ewki.

- Ewka, Jezu, nie mam zadu! - ryknęłam prosto do słuchawki. Na co ona, zawsze spokojna i opanowana odpowiedziała:

- Zuzanno Maks, jesteś nienormalna. Pierwsze primo, zad ma koń, ty masz pupę. Drugie primo, twoja pupa zamieniła się w pupcię, mocno spłaszczoną. Wiesz, po tych dziesięciu kilogramach, które zrzuciłaś, zwisa ci skóra. Trochę siłowni i będzie dobrze. Obawiam się także, że oprócz ciała, odchodziłaś nieco swój mózg. I to mnie martwi.

Czy poruszałam już kwestię moich włosów? Po 15 latach katowania ich farbami postanowiłam przestać być blondynką, w niesłabnącej nadziei, że ciemniejszy kolor włosów coś zmieni, to znaczy nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Harry’ego Pottera, stanę się mądra i inteligentna. Postanowiłam wrócić do swego naturalnego koloru, którego już notabene nikt nie pamięta, nie wyłączając mojej mamy. To znaczy, sądząc ze zdjęć, do blondu, tyle że ciemnego. Bardzo ciemnego. Bardzo, bardzo, bardzo ciemnego. Cholera, za ciemnego.

Cudownie! Nareszcie byłam naturalną, ciemną, niezadowoloną z tego faktu, blondynką. Razem z nowym kolorem dorzuciłam sobie jakieś dziesięć lat. Za jednym zamachem oszpeciłam się i postarzyłam. Gratulacje Maks. Jesteś wielka! I stara.

I jeszcze coś. Buty. To akurat jest miłe. Po raz pierwszy od chwili, gdy moja bohaterska mama w wielkich bólach, choć z uśmiechem na ustach (tylko szok może tłumaczyć ten uśmiech), wydała mnie na ten świat (i chwała jej za to, inaczej ludzkość poniosłaby niepowetowaną stratę), kupiłam sobie kozaki. Może „kozaki” to za dużo powiedziane. Buty na włoską zimę. W odlotowym kolorze burgund, lakierowane, wciągane jak skarpetka. Problem w tym, że wcześniej, to jest zanim zaczęłam maltretować się dietą, moje łydki wyglądały... okazale, oględnie mówiąc. Więc teraz kupiłam sobie te buty i nawet udało mi się je włożyć, a co najważniejsze, moje nogi nie wyglądają w nich jak dwie wdzięczne bizantyjskie kolumny.

I paraduję sobie w mini i moich odlotowych, mało przywoitych kozaczkach, z ciemnymi włosami na głowie i okularami na nosie - a słońca jak na lekarstwo. Włoskiej zimy też nie ma, tylko polska zimna zima.

Pokochałam szyby sklepowych wystaw - są fantastycznie duże i można się w nich przeglądać. Tylko trzeba bardzo uważać, żeby w nie wejść z tego samouwielbienia. Ja ładuję się w nie niemal za każdym razem. Przyznaję, że są to dość bolesne spotkania. W konfrontacji z szybą wypadam dość marnie. Ostatni guz na czole, wielkości pięści, wchłaniał się tydzień. Weź tu człowieku spróbuj takie cudencko na środku twarzy ukryć. No niech się zmierzy z tym spec od charakteryzacji. Magia niedozwolona.

Uwaga! Niezdrowy objaw - grozi narcyzmem.

Moje ciemne włosy przeszły już do historii. Wytrzymałam z nową sobą równo pięć dni i uważam, że powinnam dostać za to medal. W świecie, w którym kobiety zarzynają się, zapożyczają, narażają na fizyczne cierpienie, by wyglądać młodziej i atrakcyjniej, ja zrobiłam coś zupełnie innego. Ale to już przeszłość.

Zdażyłam właśnie położyć sobie ostatnią warstwę lakieru na paznokciach, gdy odczułam nagłą i niepohamowaną potrzebę napisania czegoś, tak więc chwyciłam za długopis i tym samym, jednym perfekcyjnym ruchem, zmasałam sobie lakier z trzech paznokci.

Jestem mężatką. Ta wiadomość może niektórych zelektryzować i zszokować, ale to prawda, kilka razy już o tym napomknęłam. I nie stało się to wczoraj, ale jakiś czas temu. Jakieś... 12 lat temu. Mam również dziewięcioletnią córkę, a już niedługo nabawię się także permanentnego bólu głowy, ponieważ onegdaj wpadłam na genialny pomysł i zawlokłam moją pociechę na egzamin do szkoły muzycznej. Tam okazało się, że ma słuch absolutny, zachodzę w głowę po kim? (listonosz nie był muzykalny) i od jutra zaczyna grać na SKRZYPCACH. Biegnę do apteki wykupić cały zapas zatyczek do uszu! Oprócz męża, córki i bólu głowy oraz syndromu napięcia przemiesiączkowego, mam dwa koty, psa, dom, firmę, Toyotę Lexus i jestem chodzącym dowodem na to, że pieniądze szczęścia nie dają. I mam jeszcze coś, ale nie mogę o tym powiedzieć. Przynajmniej na razie. Spokojnie, nie, nie mam AIDS ani też nie trzymam w szafie kochanka. Trzymam go w pilnie strzeżonym miejscu, do którego nikt nie ma dostępu. Mnie samej rzadko udaje się tam wejść. Mianowicie w mojej głowie. Wymyśliłam go sobie. Nazwałam go WYMYŚLONY. Jedynymi słowy, tworzę wraz z mężem modelowy wzorzec polskiej rodziny.

Pieniądze... Samochód... Dom... Nie zawsze tak było. Czteryście złotych polskich. Tyle właśnie wynosił kapitał założycielski mojej firmy. Czyli cała gotówka, która pozostała z pieniędzy podarowanych nam w prezencie ślubnym. Nasi weselni goście okazali się być niezwykle praktycznymi ludźmi i wyposażyli nas w kilka kompletów pościelowych, osiem cepeliowskich obrusów, dwie zastawy, każda na 12 osób, toster, urządzenie do przyrządzania kanapek na gorąco, odkurzacz, cztery żelazka oraz wiele innych bardzo przydatnych

przedmiotów codziennego użytku, tak niezbędnych w gospodarstwie domowym. Zupełnie uszło ich uwadze, że młodzi małżonkowie najbardziej zadowoleni są, gdy otrzymają w kopercie czystą, żywą gotówkę. Gotówkę, której było niewiele, przejedliśmy, a co zostało, z należytą czcią i duszą na ramieniu postanowiliśmy zainwestować w biznes.

Początki nie były łatwe, ale już po krótkim czasie postanowiliśmy rzucić się na głęboką wodę biznesu i zająć się tak zwanym importem. Chociaż „rzucić się” to za dużo powiedziane. Mój mąż postanowił rzucić mnie, jako że jeszcze w podstawówce liznęłam trochę języka obcego, a wiadomo, Niemcy, kraj wysokorozwinięty i angielski znają. Oczywiście tylko ci w Berlinie Zachodnim, bo w NRD, które jeszcze wtedy istniało za magicznym murem, wszyscy biegle, a i owszem, ale po rosyjsku. Ale tego jeszcze nie wiedziałam. No to pojechałam. Miałam dwa tysiące marek niemieckich w biustonoszu i zero pojęcia o odprawach celnych. Zdolna w miarę jestem i się nie zgubiłam, nawet z metra wysiadłam na właściwej stacji. Dokonałam zakupu w firmie, z którą wcześniej nawiązałam kontakt telefoniczny, dogadując się językiem Kalego.

Kupiłam, zapłaciłam, zapakowałam się w jedną 25-kilogramową torbę i ruszyłam w drogę powrotną. Czyli na dworzec Lichtenberg. We Frankfurcie nad Odrą weszli celnicy. Polscy i niemieccy.

- Paszport proszę.

- No to proszę bardzo.

- Czy ma pani coś do oclenia?

- Mam.

- A co?

- A to - mówię, otwieram torbę i pokazuję faktury. Celnicy podrapali się w głowę i mówią:

- Ale pani powinna to wyrejstrować w niemieckim urzędzie celnym w Berlinie.

- Ja? To niby jak mam to teraz zrobić?

Musiałam wyglądać żałośnie, bo celnik wygrzebał z aktówki jakiś dokument i w drodze wyjątku wystawił coś, co pozwalało mi całkiem legalnie dojechać z tym towarem do mojego miejsca zamieszkania i zgłoszenie oclenia w tamtejszym urzędzie celnym.

W porządku, myślę. Kaszka z mleczkiem. Podróż pociągiem trochę męcząca, ale zawsze się jakąś Milkę przywiezie.

Następnym razem - cztery tysiące marek w staniku, piersi jak balony, znowu pociąg Eurocity.



Droga powrotna. Znowu stacja Frankfurt nad Odrą. Niemieccy celnicy. Pokazuję im dokumenty. Paszport i rachunki. Coś do mnie mówią. Nie wiem co. Z niemieckiego to tylko rozumiem: „arbeits macht frei” i oczywiście „raus”. To im mówię po angielsku, że ja chcę to odciec, że mam faktury i chcę tylko do granicy dojechać, tam sobie wszystko załatwić. Patrzą na mnie jak cieleń na malowane wrota. No jasne, przecież to Niemcy wschodnie! Przechodzę na rosyjski. Panowie się rozpromieniają jak choinka na Boże Narodzenie i mówią, że muszę wysiąść. Jak to? Wysiąść? A bilet? Przecież ja do Polski muszę jechać. Moje bagaże ważą 40 kilogramów. Mam wysiąść i dostać się do Świecka. Tam dokonuje się odpraw celnych. Z Frankfurtu łapię taksówkę, która wiezie mnie do Świecka, a konkretnie wredny, gestapowski pewnie taksówkarz wysadza mnie na samym końcu kilkukilometrowej kolejki. Dalej na piechotę. Docieram do przejścia granicznego w takim stanie, jakbym wracała z robót przymusowych.. Dochodzę do okienka z napisem: odprawy celne. Melduję posłusznie, że mam towar do oclenia.

- Przekaz chciałabym do Łodzi.

Celnik bierze ode mnie dokumenty, czyta i czyta. Zawsze podejrzewałam, że są niedoedukowani. Z czytaniem słabo, z liczeniem za to genialnie. Następnie bierze do ręki długopis i zaczyna uzupełniać jakiś kwestionariusz. Sto tysięcy pytań, ja już ledwo stoję. A on do mnie:

- Środek transportu?

- Przyszłam na piechotę - grzecznie odpowiadam.

Długopisy zamierają na moment w rękach celników, wszyscy podnoszą wzrok znad sterty dokumentów. Pewnie chcą zobaczyć wariatkę, bo dawno nie widzieli.

- Jak to na piechotę???

- Normalnie. Noga za nogą, człap, człap, człap - mówię i czuję, że za chwilę naprawdę się przewrócę.

- Ty, Heniek! - woła rozbawiony niecodzienną sytuacją celnik. - Pani przyszła na piechotę.

- No to co ja mam wpisać w rubryce „środek transportu”? - jest w poważnej kropce.

- Wiesz co, Jasiu? Zapytaj panią, jaki ma numer buta - poraża dowcipem kolega celnik o wdzięcznym imieniu Heniek.

- Siódemka - odpowiadam i osuwam się na beton. Kiedy się ocknęłam, leżałam na kanapie u kierownika posterunku. Dokumenty przygotowane. Przekaz celny ciepłutki leży naprzeciw mnie. Torby stoją w rogu pokoju. Kierownik częstuje mnie herbatą, własnymi kanapkami i przepaszająco się uśmiecha. A ja przeklinam w duchu tego, kto wymyślił SAD.

Nadal nie wiem, co mam robić. Jestem w Świecku. Ostatnie pieniądze oddałam niemieckiemu taksówkarzowi, który zafundował mi maraton z obciążeniem, przypominający ćwiczenia wojskowe w pełnym rynsztunku.

Problem częściowo rozwiązuje poruszony moim losem celnik.

Wychodzę z nim w miejsce, gdzie stoją TIR-y. Kierownik mówi, że załatwi mi gratisowy autostop do Rzepina, a tam jest dworzec kolejowy i stamtąd już pojedę sobie do Konina. A z Konina do Łodzi. Pozwala mi nawet zatelefonować do mojego męża.

W telegraficznym skrócie informuję go, co się stało, mówię, o której ma mnie odebrać z Konina, proszę, aby zrobił parafrazę, celem upewnienia się, czy aby na pewno wszystko zrozumiał. Powtarza. Wszystko odwrotnie. Nie mam siły. Zdruzgotana, z duszą na ramieniu wsiadam do kabiny TIR-a. Jest środek nocy.

Kierowca miły, rozmowny i tylko ociupinkę obłeśny. A ja do obrony mam jedynie ukryty w rękawie zwykły dezodorant. Jedziemy, jedziemy. Całą trasę przez las. Nagle on się zatrzymuje. W samym środku lasu.

Myślę sobie: no to po mnie.

Może i zdążę wyskoczyć z tej kabiny, a co z towarem? Cztery tysiące marek w torbach! Nie wiozłam amfetaminy, ale żelazka, trochę ciężko by mi było dygać z tymi torbami. Jeśli to zostawię, to mój mąż mnie zabije. Jeśli będę zwiewać z tym, zabije mnie kierowca, uprzednio poużywawszy mnie sobie, bo rękę prawą daję sobie obciąć, że mu się spodnie mocno z przodu wybrzuszyły. Nie żebym skromna była, ale na bezrybiu i rak ryba. Bardzo nie chciałam być ani rybą ani rakiem. Nie dam rady uciekać z dwiema torbami, z których każda waży 20 kilogramów.

Nagle kierowca odzywa się:

- Pani wybaczy, musiałem się zatrzymać, żeby wyłączyć... tacho... coś tam, coś tam...graf, zdaje się, bo nas rozliczają z kilometrów, a żebym mógł panią zawieźć pod sam dworzec do Rzepina, to trochę muszę zboczyć z trasy.

Ufff. On chciał tylko trochę zboczyć z trasy, specjalnie dla mnie, a ja go za zboczeńca wzięłam.

Jedziemy dalej. Prawie umarłam ze strachu. Cztery godziny czekam w Rzepinie na pociąg do Konina. W śmierdzącej poczekalni, oka nawet nie zmrużyłam, bo pilnuję toreb.

Kiedy docieram do własnego łóżka, obiecuję sobie: nigdy więcej!

Dałam się namówić jednak. Ostatni raz. Tym razem zabrałam ze sobą męża i kolegę do towarzystwa. Najpierw kolegę zgubiliśmy w Berlinie, a później prawie przez niego spóźniliśmy się na pociąg. Jasna cholera.

Frankfurt nad Odrą. Deja vu. Wsiadamy. Taksówką do Świecka. I marsz przez most nad Odrą. Ze złości dostałam tyle energii, że panowie zostali daleko za mną. Ciągnęli się za mną z tymi tobołami jak guma do zucia. Miałam dwie najcięższe torby, a gnana złością pobijałabym samą Irenę Szewińską. Kilka razy czekałam na nich. Kiedy wreszcie mnie dogonili, rzuciłam z hukiem moje torby na ziemię.

1 w tym momencie wydarł się nasz, wzięty do towarzystwa, kolega:

- Wariatko, co ty robisz???. Ja mam tam 50 puszek piwa!!! Wiesz, ile to kosztuje?

Szczerze mówiąc, mam to w nosie, ale będzie z jakieś 50 fenigów za sztukę, razy 50, to coś koło 25 marek. Kolega prowadził drobny handelek, zwany przeze mnie łózczkowym.

Zapanowała cisza. Wsłuchiwaliliśmy się wszyscy troje w dziwny świst dochodzący z torby.

Kolega padł na kolana - myślałam, że go postrzelił niemiecki strażnik graniczny, to by tłumaczyło ten świt. Ale nie. Rzucił się na ziemię przywarł uchem do torby i zaczął... węszyć. Węszy, węszy, wierci się, jakby miał owsiki. Pies Cywil to przy nim mały pikuś. Myślałam, że jeszcze chwila i zacznie się okopywać. Ale strasznie trudno okopać się na asfalcie. Najpierw łąpał dolny wiatr, a później górny. - Jezus Maria! - wrzasnął. - Moje piwo! Potłukłaś mi piwo!!!

- Bardzo się przejęłam, wiesz? - rzuciłam beznamiętnym głosem. - Dla twojej wiadomości - nie potłukłam, bo nie da się potłuc aluminium, choćby człowiek pękł.

- To co tak syczy? - dociekał pies Cywil po reinkarnacji.

- Sprawdź, czy ci rozum uszami nie uleciał - poradziłam mu, całkiem gratis. No to pięknie.

Nie dosyć, że taszczyłam osiem kilometrów torbę, jak się okazało z piwem, to jeszcze teraz miałam to przemyścić, a ten mi tu histeryzuje, że mu jedna puszka pękła.

Ta podróż zakończyła definitywnie moje traperskie wypady importowe. Nabyłam samochód. Pierwszy, którym się udałam do Niemiec, spalił więcej oleju niż benzyny.

Z tym importem sprawa wyglądała tak: jeśli chciało się coś zgłosić do oclenia, należało stać na terminalu dla ciężarówek, bez względu na to, że jechało się samochodem osobowym. Mniej więcej trzy dni oczekiwania na odprawę. Trzy dni. Mówię do męża:

- Słuchaj, kochanie, ja nie mogę tyle stać, bo mi się mleko w piersiach zwarzy.

Już wyglądałam jak bohaterka filmów porno. Co przypadkiem nacisnęłam na piersi, tryskało z nich jak z Fontanny di Trevi.

W lesie postój na ściąganie pokarmu. Ja tu tyle dobra na ściółkę leśną wylewam, a moje dziecko na sztucznym mleku! Jeśli za kilka godzin nie przystawię jej do piersi, wyląduję na stole operacyjnym.

Czułam, że mój biust waży tonę. Jeszcze chwila i zaczęłabym unosić się w powietrzu. W obliczu katastrofy postanowiliśmy przemyścić tę odrobinę towaru, jaką wieźliśmy. Już podjeżdżamy pod bramkę, a tu nam się spod maski dymi. Kopci. Dym jak z elektrociepłowni. Jasna cholera, teraz to nas na pewno zrewidują!!!

A powiedzieliśmy już, że nie mamy nic do oclenia.

Kopci się i kopci. Nie ma czym oddychać. Widoczność znacznie ograniczona. Podchodzi niemiecki celnik. Myślę: no to po nas. I modlę się: „Aniele Boże, Strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój...”.

Celnik wrzeszczy na nas:

- Jechać, jechać!!!

Ostatni raz. Tym razem to był ostatni. Od tamtej pory korzystam z usług spedycji międzynarodowej. Moja rola ogranicza się do faksów, względnie e-maili, i wykonania kilku telefonów. Wspominam tamte czasy bez specjalnego bólu, ale z pewnym sentymentem.

Zadzwoiła do mnie Bożena, zwana Bożka, moja sąsiadka z naprzeciwka. Zamiennie zwana także Jeźdźcem Apokalipsy z powodu przynoszenia samych złych wiadomości.

- Wpadniesz wieczorem na grilla?

- Oszalałaś? Grill w końcu kwietnia?

- Poważnie już jest kwiecień? - zdziwiła się Bożka. - Popatrz jak ten czas zapier... - i tu Bożka przerwała...

Telepatycznie czując, co za chwilę powiem.

- Przypominam ci, że jesteśmy kobietami z klasą.

- Jasne, z klasą to jest ta ze szczytu.

- Żarty się ciebie trzymają, ta ze szczytu to ma klasę, ósmą podstawową. Kobiety z prawdziwą klasą to ty i ja. Zwróć uwagę na kolejność i docień.

- Doceniam, ale całować cię w pierścień nie będę.

- Mów mi tak, mów, to może kiedyś w to uwierzę. Zuza, co ja zrobię, że ja lubię przeklinać?

- Ja też lubię i nieźle mi to wychodzi, ale damie to nie przystoi. Powiedziałam śmiertelnie poważnie i puściłam jej oczko.

- Rozpoczynamy sezon.

- Jaki? Wiosenny czy letni?

- No wiosenny przecież, nie? Letni rozpoczniemy w czerwcu. To jak, o której będziesz?

- Bożka, ale jest jeszcze cholernie zimno. Jak ty sobie wyobrażasz smażyć kielbaski na tarasie?

- A czy ja powiedziałam, że na tarasie? Elektryczny grill. W salonie.

- To mów od razu, że się chcesz pochwalić nowo nabytym urządzeniem. Jeśli w salonie, to przyjdę. Tylko co ty zrobisz z tym dymem? Zapewniasz jakieś atrakcje? Pożar na przykład, tak jak ostatnio?

- Do końca życia będziesz mi to wypominać?

- To może wcale nie być tak długo, jeśli nareszcie nie nauczysz się rozpalać grilla. Czy już pojęłaś, że paliwo do samolotów nie jest najlepszą rozpalką?

- A skąd ja mam wiedzieć, co ten mój idiota trzyma w garażu? Ale nie zaprzeczysz, że ten strażak, który cię wynosił był podobny do Mela Gibsona?

- Oczywiście. A policjant, który przesłuchiwał cię, to wypisz-wymaluj Bruce Willis... Ty się ciesz, że spalił ci się tylko taras.

- A pamiętasz, jak ruszt od grilla, zaraz po wybuchu, spadł sąsiadce do oczka wodnego?

- Jak mam nie pamiętać? Pozostałe kawałki pokryły okoliczne ogródki. Małyśmy fart, że nikogo nie zabiło. I że się jakoś wyłgałyśmy z posiadania tego paliwa lotniczego.

- Chyba i tak nie uwierzyli, jak im powiedziałaś, że kupiłaś na rynku od Ruskich jako naftę do lampy po babci.

- Wymiękli, jak ich poprosiłaś o autograf na biuście. „Panie Willisie, ta pańska była żona, Demi Moore, to niby taka fajna laska, a taka głupia. Jak ona mogła pana zostawić? Szkoli pan polskich policjantów zgodnie z zasadami „Szklanej pułapki” I czy II?

- Przynieść to, co zwykle?

- Jeśli byłabyś na tyle uprzejma, to nie będę się z tobą bić. Sztywny bukiet zawsze jest mile widziany.

- Bożka, a czy ty pomyślałaś, że przez to twoje ciągle grillowanie podnosisz statystykę? Pożerasz trzy razy więcej mięsa, kielbasy niż statystyczny Polak. Że już o trunkach nie wspomnę.

- I co z tego? Kompensuję tym sobie tym braki w seksie, uprawianym przez statystycznego Polaka.

- Domyślam się. Będę o siódmej.

Chyba muszę przestać do niej chodzić, bo popadnę w alkoholizm.

Przez jakieś dziewięć lat byłam workiem treningowym mojego ślubnego, który od czasu do czasu ćwiczył na mnie nowe uderzenia, a ja, maskując sińce na twarzy, doszłam do takiej perfekcji, że mogłabym pracować w filmie. Spokojnie mogłabym sobie sama udzielić pierwszej pomocy, wyłączając jedynie resuscytację. Usztywnić policzone zębra? Nie ma sprawy. Wsadzić sobie kark w kołnierz ortopedyczny? No problem.

Jestem pogodna, radosna i szczęśliwa. Mam męża, wspaniałą córkę, psa, koty, samochód, bałagan w sypialni, nie mam AIDS, przede mną świetlana przyszłość w kinematografii. A do tego wszystkiego, kto by się spodziewał, jestem pismakiem. Dziennikarzem dyplomowanym. Dyplom oprawię sobie w gustowną ramkę i powieszę nad łóżkiem, żeby o mi tym przypominał. Bo nie pracuję w zawodzie. Te krótkie felietony od czasu do czasu to istny czyn społeczny. Ze świadomością, że marnuję swój wrodzony talent oraz odbieram milionom czytelników na całym świecie szansę na wzruszenia towarzyszące im podczas czytania moich reportaży i felietonów, a sobie szansę na Nagrodę Pulitzera, tkwię biernie i niezmiennie w świecie, który budowałam sobie latami. I mam w tym niemałe sukcesy. Już nawet po uderzeniu w splot słoneczny, gdy tylko zacznę swobodnie oddychać, potrafię nie tylko natychmiast o tym zapomnieć, ale i nie uronić ani jednej łzy, co nie jest rzeczą łatwą.

To jest tak, jakby ktoś zakręcił ci budę z tlenem. Patrzysz na ten cholerny zawór, masz go na wyciągnięcie ręki i nic nie możesz zrobić. Poza oczekiwaniem. Aż zawór znowu sam się odkręci. Nawet nie myśli się wtedy zbyt jasno, nie bardzo wiadomo, czy się przewrócić, czy wyprostować. Ani jedno, ani drugie nie wchodzi w grę przez najbliższych 60 sekund.

I tkwię tak w pozycji scyzoryka, zanim oddech się nie ustabilizuje.

Wygląda się wtedy nieciekawie, przyznaję. Ale cóż: jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Albo też na przykład, podczas uroczego rodzinnego obiadu w restauracji, gdy po krótkiej wymianie zdań mąż przewraca stolik wraz z zawartością, potrafię kontynuować jedzenie, przesiadając się do stolika obok, i to jeszcze z apetytem. I stoickim spokojem. Zabiłam swój strach. Zatraciłam emocje. Stałam się zimną małpą.

I wiecie co? Dobrze mi z tym, cholernie dobrze. Czasami tylko, gdy pada deszcz i cały świat płacze wraz z nim, zadaję sobie pytanie - kim jestem?

Może małpą, wołającą o pomoc dziewczynką?

Kogo to obchodzi? Przecież, statystycznie rzecz biorąc, nie jestem osamotniona. Przemoc w rodzime jest na porządku dziennym. Bo zupa była za słona. Bo znowu nie miała orgazmu (wersja męska).

Więc głowa do góry. Jest OK.

Nie jest.

I już nigdy nie będzie. Kropka.

Popadam w obłęd. Pozasłaniam chyba wszystkie lustra w domu, bo jeśli zjem choćby kawałek rogalika, od razu się przeglądam i patrzę, czy aby nie obrastam znowu tłuszczem. Wąłki pod biustem wkrótce będą większe niż sam biust. Z furią w oczach pędzę do łazienki i nadludzkim wysiłkiem zmuszam się do wejścia na wagę. Następnie stwierdzam, że na pewno jest zepsuta - bez względu na to, czy wskazówka pokazuje za dużo, czy podejrzanie za mało - tym bardziej. Cholera!!! Posiadanie ciemnych włosów miało jednak swoje dobre strony. Mogłam mianowicie nie kłaniać się sąsiadom, których nie cierpię, a do mówienia im „dzień dobry” zmusza mnie jedynie dobre wychowanie, jakie odebrałam. Nie musiałam im się kłaniać z tej prostej przyczyny, że mnie najzwyczajniej w świecie nie rozpoznawali.

Może rozważę ponownie zmianę koloru? Albo nie. Od razu zrobię sobie operację plastyczną. Ale najpierw zdefrauduję trochę czyjejs kasy albo zaciągnę ogromniaste kredyty w pięciu bankach i dopiero wtedy zwieję? A dla odstraszenia sąsiadów wystarczy przybrać morderczy wyraz twarzy, z czym nie powinnam mieć specjalnie kłopotów. Doskonale nauczyłam się grać wredną, nieprzystępną, niemłą małpę. Oscar dla tej pani!

Dzisiaj moja Amelka zapytała mnie, kto to jest DZIEWICA. Zadaje ostatnio wiele dziwnych pytań, z których większość jednak nie nadaje się do druku.

Więc z właściwą sobie subtelnością i szczerością (często bolesną) odpowiedziałam, podnosząc szczękę z podłogi, jak na nowoczesną matkę przystało:

- Jaką odpowiedź chcesz usłyszeć? Ma być wersja prawdziwa czy dla małych dziewczynek?

- Prawdziwa - odpowiedziała Amelka takim tonem, że od razu spojrzałam na nią jak na nastolatkę.

- Więc dziewica, moje dziecko - rzekłam z namaszczeniem. - To taka pani, która nigdy jeszcze nie uprawiała seksu. Uprawianie seksu mniej więcej polega na tym, że pan użycza pani na stosunkowo krótki czas, stosunkowo niewielką część swego ciała. Pan jest tak wspaniałomyślny, że nie dość, że użycza, to jeszcze w prezencie zostawia jej nawet część swoich płynów ustrojowych, z których to, gdy pani ma pecha, powstaje taka mała jędzka jak ty, córeczko droga moja. Gdy pan już zabierze z pani to, co jej chwilowo użyczył, a trzeba ci wiedzieć, że to coś jest wtedy już bardzo bardzo malutkie i całkiem bezużyteczne, zazwyczaj idzie spać, bo go to użyczenie wycieńczyło. I jeśli owa pani do momentu użyczenia była dziewicą, to z pewnością już ją nie jest, gdyż pan, żeby mógł jej to wspomniane coś użyczyć,

musiał pokonać pewne przeszkody - coś w rodzaju tarczy ochronnej, jakby ci to opisać... O - taka guma balonowa tuż przed zrobieniem balona.

- Mamo - wyjąkała Amelka, zbierając tym razem swoją szczękę z podłogi. - A jaka jest wersja dla małych dziewczynek?

- Nie wiem, ale jak chcesz, to coś wymyślę. O Jezu, dziecko, coś ty tak zbladła?

Po tego typu dialogach z moim dzieckiem dochodzę do wniosku, że ona nie będzie całkiem normalna. Nie może być. Nie ma po kim. Szaleństwo ma w genach. Jej prapraprababka była Hiszpanką, onegdaj porwaną przez dziadka praprapra mojego z gorącej Hiszpanii do nie tak znowu dalekiej Polski, nosiła urocze, acz wcale nie hiszpańskie nazwisko Makafry. Na imię jej było Paulina. I ta Makafry Paulina cały swój majątek zapisała jakimś zakonnikom, co ewidentnie świadczy o tym, że musiała być szalona.

Ojej! Wszystko pomieszałam. To nie babcia Paulina obdarowała zakonników, tylko babcia Wikcia. Wiktoria. Już teraz wiem, skąd w naszej rodzinie taki zapal do długich i dziwacznych imion. Zaraz po tym, jak już zapisała braciszkom wszystko, co miała, a jak głosi rodzinna legenda, miała niemało, znikła w niewyjaśnionych okolicznościach. Pewnie ją braciszki ukatrupili albo, w wersji optymistycznej, zaniknęli w klasztorze, co na jedno wychodzi. No i proszę bardzo - jak ja mam być normalna? Z taką przeszłością? Ale jedno, co mam po praprababce, a z czego akurat jestem zadowolona, to hiszpański, ognisty temperament. Tylko dobrze zakamuflowany. Tak dobrze, że zapominam, że go mam.

No i jak tu się nie wkurzać? Siedzę tu sobie spokojnie i piszę pełna twórczej pasji, a tu nagle i podstępnie dopada mnie zew natury. Z dumnie podniesionym czołem przemaszerowałam przed siedmioma facetami stojącymi dokładnie przed celem mojej podróży, czyli, krótko mówiąc, damską toaletą, a miałam taki wyraz twarzy, jakbym właśnie udawała się na audiencję do papieża, a nie do kibla. Kurczę, nie piję piwa, a sikam jak najęta. Kawa. Piję morze kawy. Oczywiście nie było papieru.

Poszłam na casting na prezenterów lokalnej telewizji. Odniosłam niebywały sukces, bowiem udało mi się wejść w pierwszej pięćdziesiątce i przeżyć! Z dość poważnymi obrażeniami ciała, zważywszy na to, że przez kilka kolejnych dni nie mogłam ruszać prawą ręką i miałam obawy co do stanu mojego barku, dostałam się do budynku telewizji, choć właściwsze byłoby określenie: szturmem go zdobyłam.

Udało mi się także nie udusić oraz nie zostać stratowaną przez pół tysiąca potencjalnych prezenterów lokalnych wiadomości. Niestety, nie poznali się na mnie, choć wdałam się (i może właśnie dlatego) w bardzo interesujący dialog z Panem Niewidzialnym. Pan z telewizji zabawiał się w Wielkiego Brata - sadzał każdego z osobna w pokoju zwierzeń,



tj. przed kamerą i przemawiał. Głupio tak gadać z kimś, kogo nie widzisz, ale za to ten ktoś widzi ciebie. W każdym razie nie zadzwonili do mnie z radosną, powalającą propozycją pracy. A szkoda, bo już się widziałam na szklanym ekranie, a teraz nici z kariery. Już nie będę sławna. Trudno. Ja to jakoś przeżyję, ale co z milionami widzów na całym świecie? Od Rosji po Australię? No bo przecież kto wie? Dziś lokalna telewizja, a może jutro CNN?

Świat runął mi na moją głupią głowę. Siedzę i ryczę. Łzy płyną mi po twarzy razem z tuszem Max Factor, zostawiając za sobą dwie piękne bruzdy. Właśnie dzwonił Wymyślony. Jeszcze nie wraca. Nie wie, kiedy wróci. Prawie nie sypia od trzech tygodni. Ma oczy jak chomik - małe, czerwone i przekrwione. Ministerstwo przedłużyło termin rozmów. Po raz trzeci. A ja już dłużej nie mogę. Zadzwoniłam do Ewy, żeby się wyzalić, a ona powiedziała krótko... Po chwili namysłu stwierdzam, że to, co ona powiedziała, nie nadaje się do dalszego przekazu.

Tak, tylko kobieta wie, jak pocieszyć drugą kobietę. Czy wiecie, jakie to uczucie kochać kogoś tak mocno, że na samą myśl, że mogłoby się go stracić czuje się fizyczny ból? Że nie można oddychać? Nie można na niczym się skoncentrować, gdy on nie dzwoni równo z wybiciem każdej następnej godziny?

Co powinnam pomyśleć, gdy słyszę, że nie wolno mu mnie kochać i że to jest wersja oficjalna?

Co mam do cholery myśleć, gdy wychodzę spod prysznic i trzęsąc się jak galareta, zwijam się w kłębek na łóżku obok niego, a on, mówiąc: „Chodź do mnie, przytulę cię, zaraz będzie dobrze, będzie ci ciepło”, głaszcze mnie po włosach i tuli tak mocno i blisko, że czuję bicie jego serca, niemal słyszę jego myśli? Co ja mam do jasnej cholery myśleć próbowałam się jakoś pocieszać, bo, od kiedy wyjechał, łapię się na tym, że popadam w paranoję, histeryzuję i hamletyzuję, odchodzę od zmysłów. A co gorsza, broniąc się przed samą sobą, przed swoimi emocjami, które odbierają mi rozum i zdolność jasnego myślenia (zdolność myślenia w ogóle!!!), ranie jego.

Z chirurgiczną wręcz precyzją uderzam w najczulsze miejsca. Zamiast go wspierać, stać u jego boku jak wierny giermek, wbijam mu nóż w plecy.

Nienawidzę się za to. Jakbym mogła, to bym się opluła.

Rozsypałam się na drobniutkie kawałeczki. Moje serce pękło z radości. Powiedział, że jestem najwspanialszą kochanką świata, bardzo za mną tęskni, chciałby się do mnie przytulić, pogłaskać po głowie i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Rozmawialiśmy 14 minut i 35 sekund, z czego ja większość tego czasu przepłakałam. Opowiedział mi kawał, żeby mnie rozśmieszyć. Świński. O Boże, jaki on jest przystojny.

Wygląda jak Richard Gere. Kiedy na niego patrzę, to rzęsy mi się same wywijają. I tak pięknie wygląda w garniturze. Uwielbiam go w garniturze. Jest wtedy taki nieprzystępny. Albo... nie. Może wolę go jednak na sportowo? No nie wiem. Opcji jest wiele, a moja wyobraźnia ma nieograniczone pole działania. Czy to możliwe, żeby ten facet mnie kochał?

Niemożliwe.

Richard Gere kochał Julię Roberts. I ona była dziwką. Ja niestety nie jestem. Ale jeszcze nic straconego, jestem jak kobieta pracująca, żadnej pracy się nie boję. A on był obrzydliwie bogaty. Zatem żadnych podobieństw. Jestem boginią seksu!!!

Po raz pierwszy usłyszałam, jak siarczyście zbluźnił. Nigdy nie bluźnił. Udałam, że nie słyszę, a jednocześnie zdałam sobie sprawę ze stanu, w jakim się znajduje. Przeraziło mnie to. Boże, jak ja go Kocham!!!

A co mi tam. Małe dzieci mają nieistniejące zwierzątka i wyimaginowanych towarzyszy zabaw, to dlaczego ja nie mogę mieć kochanka niczym z argentyńsko-brazylijsko-wenezuelskiej noweli?

Takiego z harlequinów albo z powieści Barbary Carland?

Robiłam porządek w szafie u Amelki i zapytałam, gdzie są jej granatowe rajtuzy. A ona na to:

- Rajtuzy są w worku z WF-em, worek jest w tornistrze, a tornister jest w łazience, a łazienka jest wiesz gdzie.

Wiem, gdzie łazienka była jeszcze kilkanaście minut temu i mam cichą nadzieję, że nic się od tego czasu nie zmieniło.

Amelka najchętniej odrabia lekcje w łazience, siedząc na muszli klozetowej. Albo na schodach. W ogóle robi wiele przedziwnych rzeczy. Dzisiaj na przykład, rano o 6:00, poszła do toalety grać na skrzypcach. Nie powiem, że grała w pozycji siedzącej, bo i tak nikt mi nie uwierzy.

I właśnie dla takich chwil warto żyć. Dobranoc.

Jednak jeszcze nie dobranoc. Dzwonił Wymyślony. Mam mu zrobić sweter na drutach, czekając na jego powrót. Albo zmieszać kilogram maku z kilogramem ryżu i przebierać ziarna. No jasne, na pewno. Jak Kopciuszek? Na co ja: „A potem pójdę na bal, zatańczę z księciem i z wybiciem północy zbiegnę po schodach, gubiąc pantofelek”. Wymyślony: „No, no, no. Ja ci dam księcia!” Do tego momentu się zgadza. Z tą różnicą, że bajka o Kopciuszku ma szczęśliwe zakończenie. Czy to życie musi być takie pokręcone? Nie czuję się w żadnym stopniu odpowiedzialna za to, co stało się w raju i nie solidaryzuję się z

Ewą. Chcę być szczęśliwa i guzik mnie obchodzi reszta świata. Absolutnie w tym wypadku nie popieram solidarności jajników. O! Chyba właśnie wzniosłam się na wyżyny egoizmu.

Amelka nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Pomyśleć, że dzieci mają niewiarygodną wręcz zdolność koncentracji jednocześnie na kilku rzeczach, mają fantastyczną pamięć i do tego wszystkiego zawsze w najmniej odpowiednim momencie potrafią wyciągnąć najbardziej kompromitujące nas fakty.

O, na przykład taka Nicolka, córka koleżanki z boiska, razem rznąliśmy w nogę. Więc Iza troszkę zabalowała z mężem i ciężko się rozchorowali. Mąż cierpiał bardziej, do tego stopnia, że zaszło podejrzenie rozerwania jelita. Grubego. Bo ileż można razy biegać w tę i z powrotem? W każdym razie Iza stwierdziła, że to nie jelito, a zapewne jakaś hemoroida mu pękła. Byli tak zaaferowani stawianiem diagnozy, że nawet nie zauważyli, kiedy mała weszła do pokoju. Następnego dnia wybrali się do Gdańska, pociągiem, przedział pełen ludzi, a Nicolka zaczyna wiercić dziurę w brzuchu tatusiowi. Tatusь kategorycznie odmawia spełnienia zachcianki córki, nie tracąc rezonu. Nagle mała zniża głos do szeptu i cedzi przez zęby: jeśli natychmiast mi tego nie dasz, powiem wszystkim, że masz hemoroidy.

Podobnie było kiedyś z Amelką. Pamiętam, jak którejś zimy była u moich rodziców. Miała wtedy chyba z pięć lat. Rodzice akurat mieli gości, tych z tak zwanej wyższej półki. Najspokojniej w świecie, niczego nie podejrzewając, prowadzili ożywioną i mocno ambitną dyskusję, w tle telewizor, na ekranie jakiś facet z rozkwaszonym nosem, z którego krew tryskała niczym woda w gorących źródłach. I wtem, niespodziewanie, słychać głos Amelki:

- O, patrzcie. Tatusь też tak zrobił mamusi, jak byliśmy w górach. Mama była cała we krwi. I śnieg też zrobił się różowy.

Moja mama oniemiała, goście taktownie udali, że nie dosłyszeli, a mojemu ojcu nabrzmiały żyły na szyi.

Właśnie się obudziłam w środku nocy zlane potem. Która może być godzina? O! 2:49 - super. Miałam koszmarny sen. Śnili mi się Flip i Flap. Któryś z nich był prezydentem, tyle że nie wiem jakiego kraju, i nie pamiętam który. Flip czy Flap?

A w ogóle, który to Flip, a który Flap? Gruby - Flip, chudy - Flap? Czy może chudy Flip, a gruby Flap? I któryś z nich obzerał się owocami morza.

Jutro dam ogłoszenie do gazety: „Psychiatra, z długą praktyką, specjalista od najcięższych przypadków - na gwałt potrzebny”. Włączyłam telewizor, a tam program o transseksualistach. Jedno kliknięcie i na innym kanale mamy program o chorych na AIDS. A mój kot buja się w ratanowym fotelu i podejrzliwie mi się przygląda. Pewnie się dziwi, co ja tu robię o tej porze.

Chyba zjem sobie śliwkę. Albo nie, bo mnie rozedmie jak starą ropuchę. No to zjem banana. I wypiję resztę przedwczorajszego szampana. Na pewno będzie pyszny. O nie, w szampanie pływają trzy urocze, martwe muszki! A co mi tam, muszki można wyłować. Oooooo!!! Uwaga, na godzinie trzeciej widzę nowiuteńką, dziewiczą jeszcze butelkę tnatini. Rzucam się do lodówki i rozpaczliwie szukam oliwek. Aktualnie w telewizorku pokazują karły. Rany boskie, całe studio karłów. Czy oni muszą puszczać takie rzeczy w nocy? A teraz znowu infantylna pani redaktor, której błyszczak z ust zaraz zacznie kapać na podłogę, przesłuchuje transseksualistę, który ostatecznie okazał się być byłym narkomanem chorym na AIDS, a do tego jest karłem. Chyba coś mi się pomerdało. Martini, martini.

Droga pani redaktor, a może opowie nam pani coś o sobie? Przed chwilą udało mi się spaść z kanapy i nie potłuc przy tym szklanki. Boże, ten facet miał dziewczynę z HIV-em i uprawiał z nią seks bez zabezpieczenia.

Idę spać. Nie chcę tego słuchać. Może znowu przyśni mi się Flip albo Flap, albo cała gromada transseksualnych, naćpanych, chorych na AIDS, uprawiających seks bez prezerwatywy karłów.

Amela wróciła ze szkoły i już od progu zapytała:

- Mamo, a mogłam chociaż jednej osobie powiedzieć, że będziesz się widziała z prezydentem?

Od razu przelecieli mi przez głowę Flip i Flap jednocześnie... Wyczuwając podstęp, szybko pootwieralam pliki mojej mózgowicy i uprzytomniłam sobie, że Amela musiała podsłuchać moją rozmowę z ojcem, kiedy to wspominałam mu, że idę na zamkniętą imprezę przedwyborczą z udziałem prezydenta i przyszłego premiera. Moja intuicja, którą mam, choć w szczątkowej formie, podpowiadała mi, że chyba już pół szkoły wie.

- A komu powiedziałaś? - zapytałam ostrożnie, badając teren.

- Eli. I obiecałam jej autograf. Mamo - parła dalej Amelka, nie bacząc na to, że robię się na przemian zielono-czerwona. - A możesz załatwić mi sześć autografów?

- Pan prezydent jednak nie przyjedzie. Będzie tylko premier. Ale mam już jego autograf. Mogę ci zrobić ksero.

- A nie możesz mi tego skserować? Bo wiesz co? Ja będę te autografy sprzedawała - zakończyła Amelka z wyrazem triumfu na twarzy, najwyraźniej zadowolona z siebie w roli bizneswoman.

No to pięknie. Ja w jej wieku sprzedawałam za ledwie bez, z którego uprzednio ogołociłam wszystkie krzewy w okolicy. W dodatku namierzyła mnie sąsiadka i

zaprowadziła, mała wredna, do mojej babci (zazdrosna o moją przedsiębiorczość, bo nie wyglądała mi na wojowniczkę z Greenpeace).

Całe szczęście, że wcześniej zdążyłam przepuścić prawie całą forszę. Cóż, czasy się zmieniają. Teraz dzieciarnia z trzeciej klasy podstawówki handluje autografem prezydenta.

Faktycznie idę dzisiaj na tę imprezę z przyszłym premierem. Rano w panice zaczęłam przymierzać wszystko, co wpadło mi w ręce, łącznie z bokserkami mojego męża i, szczerze mówiąc, wyglądałam w nich najlepiej. Opamiętałam się, gdy sterta ubrań osiągnęła poziom sufitu. Bo cały problem w tym, że od kiedy schudłam, większość ubrań wisi na mnie jak na wieszaku.

Już za późno, żeby coś kupić. Chyba założę dyżurną szarą sukienkę, w której wyglądałam jak pensjonarka. Czyli grzecznie i niewinnie.

I taka właśnie jestem.

Chyba sobie walnę drinka - na odwagę. Tylko że ja prawie wcale nie mogę pić. Nawet wiem, dlaczego mam taką słabą głowę. W tym przypadku niestety nie wdałam się w ojca. I chyba Bóg mnie pokarał za to, co wykręciłam na weselu mojej dużo starszej ciotecznej siostry.

Kawał już był ze mnie kobiety, miałam całe osiem lat. Rodzice w przypiływie ludzkich uczuć zabrali mnie na wesele. I szybko o tym fakcie zapomnieli, szalejąc na parkiecie piętro wyżej. Ja nie byłam gorsza. Usadowiłam się dokładnie przy samym barze, po drodze podrywając zabójczego ośmiolatka (szczerbaty był, ale ja też nie mogłam pochwalić się zgryzem Whitney Huston, poza tym nie było wyboru), też chwilowo porzuconego przez rodziców.

Kelner był najwyraźniej wstawiony albo niedowidział, bo bez mrugnięcia na moje pytanie, co jest w tych wysokich kielichach, podał mi szampana. A potem drugiego, trzeciego, czwartego. Smakował mi. Już od małego wiedziałam, co dobre.

Mniej więcej po piątej lampce opadłam bezwładnie na krzesła i usnęłam. Mówiąc na marginesie, jako pięciolatka mogłam wypić więcej niż dzisiaj - zgon zaliczam po trzecim kieliszku. Na co mój bezzębny potencjalny narzeczony wszczął alarm, rycząc jak syrena przeciwlotnicza, że umarłam. Tym samym niechcący wezwał rodziców i wszystkich gości, którzy jednoznacznie i z pełnym znanstwem problemu wynikającym z wieloletniego doświadczenia orzekli, że nie umarłam, tylko usnęłam, ponieważ jestem w pestkę zalana. Oczywiście tę relację znam jedynie z podań rodzinnych, jako że sama byłam nieprzytomna. Pan młody zaniósł mnie do taksówki, a kilku innych gości weselnych taszczyło mojego ojca. I do dzisiaj mi wszyscy wypominają to moje pijaństwo (czym skorupka za młodu nasiąknie... -

aż się samo z gardła wyrывa). Podobnie jak i złodziejstwo. Oprócz picia byłam bowiem specjalistką od rozwalania świnek skarbonek. Cudzych. Dlatego też, przed opuszczeniem gościnnych gospodarzy, ojciec poddawał mnie osobistej rewizji. Kradłam też z upodobaniem gumki do ścierania. Raz nawet w sklepie ukradłam kawałek żółtego sera. Zupełnie nie wiem, w jakim celu.

Już jako dziecko zasłynęłam z wygłaszania niezwykle taktownych przemówień. Byłam niezła w spiczach i tak mi do dziś zostało. Pamiętam doskonale, jak podczas składania ślubnych życzeń mojej drugiej ciotecznej siostrze, wypaliłam na całą salę:

- I cieszę się, że nareszcie wyszłaś za mąż, bo już wszyscy się baliśmy, że zostaniesz starą panną.

Ale czuję się usprawiedliwiona, sama przecież tego nie wymyśliłam. Musiałam usłyszeć na imieninach u jakiejś życzliwej cioci. Jednocześnie ze składaniem życzeń posyłałam uwodzicielskie spojrzenia moich ośmioletnich oczu jej dopiero co poślubionemu mężowi i oświadczyłam publicznie, że go kocham. A on za niedługo okazał się nie być takim miłym facetem, na jakiego wyglądał. Okazał się łobuzem i alkoholikiem. Czyli standard.

Amelka pojechała z moją mamą do stolicy. Powinnam powiedzieć: stolicy. Z takim praskim akcentem. Tak w ramach ukulturalniania oraz pokazania biednemu dziecku z prowincji prawdziwego miasta europejskiego. Wsadziłam je do pociągu, wyrecytowałam całą listę nakazów i zakazów oraz wyliczyłam na palcach liczbę niebezpieczeństw, jakie na nie czyhają i z żalem pozwoliłam zawiadowcy odgwiszać odjazd.

Za kilka godzin Amelka zagrzała moją komórkę do czerwoności, a ja, zanim odebrałam, zdążyłam już wyobrazić sobie całą masę tragedii różnej maści, jakie je spotkały. Bo inaczej nie dzwoniłaby jak do pożaru, prawda? Z sercem w gardle odebrałam telefon.

- Mamo, mamo - zaterkotała pełna entuzjazmu Amelka. - Mamo, wiesz kogo spotkałam na dworcu w Warszawie?

Zapowietrzyłam się już, żeby błysnąć intelektem, ale wobec jej nieopanowanego potoku słów nie miałam szans.

- Grzegorza Ciechowskiego. I zrobiłam sobie z nim zdjęcie!

- Amelko, to jest raczej niemożliwe.

- A dlaczego? - Amelka była uparta.

- Ponieważ on nie żyje. Dość ciężko jest spotkać nieboszczyka i zrobić sobie z nim zdjęcie na dodatek.

- No chyba że się ktoś już bardzo uprze - wtrąciła mama.

- Nie żyje? - drażyla moja latorośl. - A, to w takim razie był chyba Markowski. Też Grzegorz. I wyglądał na bardzo żywego.

Bardzo żywy Markowski Grzegorz udawał się na peron, ale mocno utrudniali mu to fani, którzy zaczęli się wokół niego kłębić. W pewnej chwili pan Markowski, patrząc na zegarek, bardzo żywo, o jakże żywo, krzyknął:

- Kurwa, ludzie, przepraszam, za minutę mam pociąg!

I pognął na ruchome schody.

Moja mama w pierwszej chwili, gdy Amelka wyrwała się jej z okrzykiem „Babciu, babciu, zobacz!!!!!!”, wskazując paluchem na Markowskiego Grzegorza, powiedziała: „Dziecko, zostaw tego bezdomnego w spokoju”. Pewnie dlatego, że zmyliły ją te długie włosy. Całe szczęście, że trafiła na Markowskiego. Swoją drogą skąd ona wiedziała, kto to jest? I jak go rozpoznała? To, zdaje się, artysta mojego pokolenia. I tak nieźle trafiła. Jak ja byłam w jej wieku i zwiedzałam Warszawę, spotkałam pana Himilbsbacha w stanie wskazującym na spożycie. Ledwie łapał pion z tego wyczerpania, ale autograf dziecku dał. Do dziś dnia bardzo mile go wspominam. Powiedział coś w stylu: „Dziecko, pamiętaj, że nie zawsze stan, w jakim znajduje się w danej chwili człowiek (chyba chodziło mu o stan upojenia alkoholowego), świadczy o tym człowieku źle. Nie oznacza, że on jest zły. Ma po prostu gorszy dzień. Nie wolno oceniać ludzi na podstawie ich słabości”. Tak jakoś to zapamiętałam. Miałam z jakieś \ 10 lat, ale utkwilo mi to w pamięci.

- Amelciu, a czy widziałaś już Pałac Kultury i Nauki? W de dochodziły mnie szamotaniny.

- Tak - mama przejęła po krótkiej walce telefon. - Widziała. Pierwsze pytanie, jakie skierowała do portiera brzmiało: „Przepraszam, czy przychodzi tu ktoś sławny?”. - Sławny? - zasepił się portier. - Ostatnio była tu Manuela Michalak z Big Brothera.

No, jeśli to oznacza dzisiaj sławę, to ja wolę być incognito.

- Mamo, co dzisiaj robiłyście? - zaryzykowałam pytanie w nadziei na jakąś ambitną odpowiedź, np. jadłyśmy lunch z prezydentem. - Jeździłyśmy metrem, w tą i z powrotem. Wiesz, jak fajnie było? Jezu, załamalam się zupełnie. Wysyłam dziecko na wycieczkę kulturalną do stolicy po to, by jeździło metrem???

- Amelko, powinniście pójść obejrzeć Łazienki - podrzuciłam plan zwiedzania.

- Mama, no co ty? Wiesz, jakie ja łazienki w życiu widziałam!!! W szkole ostatnio wyremontowali damską.

No tak. W obecnej sytuacji zacznę chyba rozważać skok z okna. Choć powiało optymizmem, bo wieczorem wybierają się do opery. Podejrzewam, że zamiast patrzeć na balet, Amelka będzie tropiła jakieś znane z TV twarze.

Po operze idą na jakiś bankiet ze znajomą, która wzięła je na przechowanie w Warszawie i opiekuje się nimi. Włosy mi stanęły dęba, jak się o tym dowiedziałam. Moja córka i bankiet. Szwedzki stół. Nałoży sobie na talerz tyle jedzenia, że będzie się z niego wysypywało, a najgorsze, że to wszystko zje.

Kiedy ostatni byliśmy w Pizza Hut i wykupiłam jej barek sałatkowy, dokonała niemożliwego, nakładając sobie stos jedzenia do małych misek. Po tym, co zobaczyłam, zanim oczywiście schowałam się ze wstydu w toalecie, stwierdzam, że Zygmunt Chajzer mógłby przydzielić mojej córce niejedno trudne zadanie w „Chwili prawdy”. Następnie bez odrobiny skrępowania uda się po następną porcję, następną i następną. Moje dziecko je, jakby miało tasiemca. Zazdroszczę jej tego, bo je, a nie tyje, skubana. OK. Dziecko było gwiazdą wieczoru. Goście w smokingach i muchach, panie w sukniach bez pleców. Potrawy, których mama nie dość, że nawet nie potrafiła nazwać, to nie wiedziała, czym się to je. A w dodatku wykonała klasyczny piruet na środku kuchni, ponieważ nie zauważyła (pewnie z tego podniecenia), że kuchnia jest dwupoziomowa. Ogólnie sami swoi: ten ma w swojej posiadłości kort tenisowy, tamten basen, a trzeci znowu pole golfowe. Gospodyni domu posiada trzy kuchnie i trzy osoby z pomocy domowej na etacie. I co z tego? Ja mam w kuchni pełno moli, a oni nie. Amelka brylowała na parkiecie niczym córka prezydenta, zabawiając gości rozmową. I opowieściami różnej maści. Między innymi o tym, jak nasz kot upolował w domu mysz.

- O Boże! - pani z dekoltem do pępka potrząsnęła z obrzydzeniem ufryzowaną głową, a jej zwisające do ramion kolczyki zagrały brylantowymi szkiełkami. - A skąd się ta mysz wzięła w domu? Mama, wypluwając pospiesznie na talerz sałatkę z łososia, ratowała sytuację.

- No jak to skąd? Jak się otwiera drzwi, to z pola wbiegają. Jednocześnie modliła się, żeby przypadkiem Amelka nie zaczęła opowiadać o wszystkich zjedzonych z trzech szuflad przez myszy przyprawach. Na szczęście pominęła ten drobny szczegół. Ciekawe, czy gdyby nie pominęła, mama na pytanie pani z dekoltem do pępka: „O Boże, a skąd się ta mysz wzięła w szufladzie?”, odpowiedziałyby zapewne: „No jak to skąd? Jak się otwiera szuflady, to wbiegają”. Następnie 30 osób w smokingach ochało i achęło:

- Och, jakie to elokwentne dziecko!

- Ach, a jakie mądre!

- Ojej, jakie wykształcone (no tak, całe dwie klasy podstawówki).



- I języki obce zna! Proszę, proszę, w jej wieku?

- Na skrzypcach grasz? Co ty powiesz? Śpiewasz? To może coś zaśpiewasz?

I stało się. Zaśpiewała, zatańczyła, zastępowała, porysowała podłogę za nie wiem jaką sumę i skończyła o piątej rano. O tak, dziecko jest idealne! Gdyby usłyszały, jak ten chodzący ideał dyskutuje ze swoimi rówieśnikami na podwórku, padłyby trupem prosto na sofę a la Ludwиг XVI.

Podśluchałam Amelkę ostatnio. Przycupnęłam na tarasie, gdy rozpoczęła się bardzo pouczająca wymiana zdań pomiędzy Amelką a dziećmi sąsiadów. Starszy syn sąsiada, najwyraźniej bolał go palec środkowy, bo pokazał go w wymownym geście Amelce. Już się zagotowałam. Już miałam się zdekonspirować, ale zaczepiłam się stringami o ruszt od grilla. Chwilę potrwało, zanim się zdołałam odczepić, niestety nie bez pewnych strat. Stringów nie da się naprawić, a ruszt od grilla nieco się wygiął, bo straszliwie się szamotałam. Pozostało na nim także troszkę moich włosów, bo musiałam się nachylić, żeby wyplątać majtki z rusztu, no i zaplątały mi się włosy. A to gnojek jeden! Postanowiłam interweniować, wychyliłam się przez barierkę i groźnie spojrzałam na chłopaczka. Najgroźniej jak umiałam. Wrzasnął na mój widok jak opętany i uciekł. No! Ale jestem groźna i mam poważanie! Wróciłam mocno z siebie zadowolona do sypialni i postanowiłam poświęcić na wszelki wypadek groźne miny. Zobaczyłam się w lustrze i wrzasnęłam jak opętana. Wyglądałam jak Czarownica z Eastweek - rozczochrana i usmarowana węglem drzewnym, biel białek mych oczu kontrastowała z czernią twarzy. Nagle usłyszałam donośny głos mojej córki, zwracającej się do uciekającego kolegi pokazującego jej palec, z angielskiego, nie tłumacząc: fuck you!

Amelka, niezrażona:

- Wiesz co? Palec pedała na mnie nie działa!

Innym razem usłyszałam nieco inną przypowieść. Jakoś tak mniej więcej leciało: „Jedzie ci z pyska jak z dupy Tygryśka”. Cóż. Pięknie. Widzę, że moja interwencja jest zbyteczna, przynajmniej w tym kierunku, o jakim myślałam. Zamiast ratować własne dziecko, powinnam pomagać innym. Generalnie to dobrze, że nie interweniowałam, bo mogłabym przestraszyć dzieci.

Ostatnie trzy dni przeżyłam na koszt naszego ukochanego państwa. Żywił mnie szpital wojewódzki, a konkretnie oddział chirurgii. Nie powiem, jedzonko przednie, tylko te pobudki o piątej rano nieco zakłócały mój wypoczynek. Nie ma mowy o spaniu, gdy do sali wtacza się salowa, ciągnąc za sobą wiadro z mopem. Gdyby nie to oraz fakt, że moje sumienie nie pozwoliło mi na dalsze okłamywanie całego personelu medycznego, zostałabym dłużej. Głupio tak trochę za każdym razem, gdy pojawiał się na obchodzie nowy lekarz, odpowiadać

na pytanie: „W jakich okolicznościach powstał uraz głowy?” - spadłam ze schodów w nocy, gdy szłam do toalety. Tym bardziej że nikt w to nie wierzył, zważywszy na to, że innych obrażeń typu siniaki, otarcia na ciele, nie miałam. Służba zdrowia zafundowała mi gratisową sesję zdjęciową - z profilu i en face oraz przy okazji prześwietlono mi odcinek szyjny kręgosłupa. Żadnych niepokojących zmian) nie było, wobec czego postanowiłam udać się do domu. Niestety, lekarz prowadzący był innego zdania i namiętnie przysyłał mi codziennie (nie, Niestety nie kwiaty) neurologa. Ten kazał mi wyczyniać różne śmieszne sztuczki - zbliżone do tych, które muszą wykonywać podpici kierowcy.

Stań na baczność. Zamknij oczy. Prawą ręką dotknij czubka nosa. Teraz lewą to samo. Rozłóż ręce na boki i przejdź prosto kilka kroków. A teraz się połóż. Młoteczką w kowadełko - pac! Dotknij brodą klatki piersiowej. Na koniec jeszcze połaskocz ci stopy i orzekną, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Jestem pod ogromnym wrażeniem postępów, jakie poczyniła współczesna medycyna, począwszy od czasów, gdy chodziliśmy mocno zgarbieni, trzymając w rękach maczugę. Tomograf komputerowy, zwany fachowo CT, nie jest urządzeniem, które należy wykorzystywać w przypadku podejrzenia stłuczenia mózgu. Wystarczy kilka prostych ćwiczeń, znanych nawet przeszkolonym policjantom z drogówki, i od razu budżet służby zdrowia ma się lepiej. Natchniona optymizmem, że gdy będę miała raka mózgu, to się o tym przed śmiercią nie dowiem, bo przecież badanie CT głowy jest kosztowne i jeśli nie mam raka piersi i nie grozi mi przerzut do płuc, to użycie tomografu jest zbędne. No, chyba że się zapłaci pięć stówek. Odwiedził mnie w szpitalu mój mąż, który, widząc mnie na sali, w łóżku, miał w oczach zdumienie całego świata i nawet spytał, co ja tam robię. Dlaczego nie jestem zdziwiona? Co ja tu robię? Schodzę z kosztów, odciążam budżet domowy. Bardzo ekonomicznie byłoby dostać manto częściej. Ale mu tego nie powiem, bo jeszcze gotów wziąć to na serio. Podobno nie pamiętał, że autorem mojego mechanicznego urazu jest właśnie on.

Miałam głowę jak biurko, guz na guzie, kark sztywny jak Maria Stuart, a on, biedaczek, nie wie dlaczego. Nie będę sobie tym głowy zaprzętać. Póki co, jeszcze żyję, tak łatwo się mnie nie pozbędzie, twarda sztuka ze mnie.

Polska to nie Stany i tu nic nikogo nie obchodzi. Co ja gadam? Jakie Stany? To nawet nie Leśna Góra, gdzie przewrażliwieni lekarze zwracają uwagę na najdrobniejsze zadrapanie pacjenta, który leży na zapalnię płuc.

Sama na męża nie doniosłam, bo i po co? Nie można przecież donosić na kogoś, kogo się kocha. W sumie to dobry facet. No. To jestem już w domu i po raz stutysięczny

zastanawiam się, co mam zrobić ze swoim życiem. I po raz stutysięczny nie jestem w stanie zrobić, cholera jasna, nic. Zastraszająco szybko zacznę tracić do siebie szacunek.

Podejrzliwie przyglądałam się bluzce Amelki, a konkretnie jej klatce piersiowej. I moje czujne oko wypatrzyło coś na kształt stanika. Ale to przecież niemożliwie, ona ma dziewięć lat, a ja, pomimo że jestem zapracowana, nie mogłam przegapić tak ważnego wydarzenia jak pojawienie się cycuszków.

- Amelka, co masz pod bluzką?

- Jak to co? Stanik - odparła moja córka takim tonem, jakby nosiła biustonosz co najmniej od kołyski.

Jednym zgrabnym ruchem rozebrałam ją i stanęłam jak wryta. Nie myliłam się. Moje dziecko spojrzało na mnie wyniośle i rzekło:

- Od dziś mów do mnie: Amelio!

- Ja ci dam, Amelio. Natychmiast melduj, skąd to masz!

Niczego nie przegapiłam. Po prostu moje dziecko postanowiło dojrzeć nieco wcześniej. Miała na sobie biały, koronkowy biustonosz i nie należał on do mnie. Przeprowadziłam błyskawiczne śledztwo, w którym głównymi podejrzanymi byli: biały stanik - oraz moja mama. Bo, jak słusznie czułam, to ona obdarowała Amelkę stanikiem.

W międzyczasie musiałam jeszcze odpowiedzieć na pięćdziesiąt pytań, które mniej więcej wszystkie zmierzały do jednego: kiedy ja zaczęłam nosić stanik? Nie chcąc do końca skompromitować się w oczach córki, skłamałam, mówiąc, że dopiero wtedy, gdy miałam co do niego włożyć. Tak naprawdę dość późno, choć już wcześniej udawałam, że mam. Za jakiś czas faktycznie miałam, ale jeśli chodzi o mnie, to mogłabym mieć trochę więcej. Z przodu. A dużo mniej z tyłu. Jednak moja córka oczekiwała nieco innej odpowiedzi. Prawdopodobnie chciała znać dokładną datę oraz godzinę. Coś w stylu: „Słuchaj, kochanie, piersi urosną ci 23 marca 2005 roku o godzinie 13:56”.

Miłość potęgą wielką jest. A tęsknota potrafi być nawet twórcza. Wymyślony wyjechał za granicę. Wysłałam mu maila. Specjalnie wybrałam jego ulubiony kolor czcionki: zielony. Odpisał mi: „Zuzanko, mała czcionka i kolor black. Ale to tylko forma. Liczy się treść. Dobra jesteś dla mnie. Bardzo.” Odpowiadam zdziwiona: Jaki black? „Promyczku Zielony, jak to, black? Przecież wybrałam zielony, który u mnie był niebieski. Dlaczego u Ciebie jest czarny?” „Zuzanko, u Ciebie zielony jest niebieski, a u mnie czarny. Ale wiem, dlaczego. To idzie przez serwer w Stanach, a operatorem serwera jest Murzyn”.

No tak. To wszystko jasne.

W zeszłym tygodniu przemaalowałam szafę, komodę i nocne stoliczki w mojej sypialni. Wyszorowałam podłogę w łazience szczoteczką do zębów. Gąbką do mycia naczyń umyłam 54 stopnie, od piwnicy po sam strych. Umalowałam front domu od parteru aż po dach. Ku przerażeniu łypiących zza firanek sąsiadów. Pewnie robili zakłady, kiedy spadnę. A teraz, kiedy nie ma go już trzy tygodnie, to żeby nie zwariować, chyba powinnam zburzyć dom i zbudować go na nowo. Tęsknię za normalnością. Co to takiego ta normalność?

Nie mogę założyć szarej sukienki, ponieważ wyglądam w niej jak dziewczynka z zapalkami. Ratunku!!! Gdzie ja teraz kupię coś sensownego? Właśnie pozbawiłam się przedostatniej szansy kupienia nowej kiecki. Przeczesalam pół miasta w poszukiwaniu tego, co sobie wymyśliłam i nic. Wszystko, tylko nie to.

Jest! Dokonałam rzeczy niemożliwej i kupiłam to, co chciałam, podobało mi się, a na dodatek jeszcze nie wyglądam w tym jak w starym frotowym szlafroku mojego dziadka. Więc drzyjcie premierzy, wicepremierzy, ministrowie od finansów. Nadchodzę!

Już po wszystkim. Nadeszłam. Przeszłam i poszłam. Szczerze mówiąc, bardziej od osoby przyszłego premiera zainteresował mnie lider zespołu, który jest teraz na topie, co zapewne świadczy o mojej niedojrzałości emocjonalnej. Nie wiedziałam, że tam będą śpiewać. Jak zobaczyłam ich na scenie, to zamarłam. Z przerażenia, że nie uda mi się zdobyć ich autografu, a po przyjściu do domu moja córka nie odezwie się już do mnie nigdy więcej.

Ona ich uwielbia. Zwłaszcza tego z czerwonymi włosami. Nosi ich zdjęcia w tornistrze. Zanim się otrząsnęłam z szoku, oni właśnie skończyli śpiewać i szykowali się do zejścia ze sceny. Jednym przytomnym spojrzeniem blondynki (sic!) ogarnęłam halę, w której mieści się 8,5 tysiąca ludzi i, jak wystrzelona z procy, pobiegłam tam, gdzie przypuszczałam, że pójdą. I tu po raz pierwszy tego wieczoru okazało się, że jestem genialna. Trafiłam w dziesiątkę, ale za to wpadłam na obrzydliwego ochroniarza, który miał chyba zły dzień. Oprócz mnie stało tam z jakieś pięćdziesiąt osób chcących tego co ja. Stałam z boku i przysłuchiwałam się mocno inteligentnym wymianom zdań między ochroniarzami a rozhisteryzowanymi nastolatkami. Po jakichś pięciu minutach zostałam tylko ja, bo reszta dała się pięknie spławić. Po krótkiej obserwacji terenu wyłowiłam gościa, który wynosił instrumenty. Głównie interesowało mnie, którędy je wynosi. Zakradłam się za nim jak kot... i wpadałam na kolejnego ochroniarza, który już-już otwierał usta, żeby mnie wyrzucić, gdy nagle ja wypaliłam:

- Przemawiam do pana jako matka! Apeluję do pańskiego rodzicielskiego sumienia. Którędy oni będą wychodzić? Ja muszę mieć ten autograf, inaczej będzie pan miał mnie na

sumieniu. A jak umrę z rozpacz, że straciłam zaufanie i miłość mojego dziecka, to przyjdę do pana w nocy i będę pana straszyć.

Facet na pewno pomyślał, że jestem nienormalna, ale powiedział, żebym się stąd nie ruszała, bo zespołowi się bardzo spieszy na koncert na 18:00 do Warszawy, tu stoi ich samochód, a innego wyjścia nie ma, więc za jakieś osiem minut tędy przejdą. Tak więc zostałam sama, z T-shirtem Amelki w jednej ręce i flamastrem w drugiej.

A jak już się pojawili, to o mało ich nie przegapiłam, bo zwyczajnie ich nie poznałam. Autografy dla małej zdobyłam i po raz chyba tysięczny utwierdziłam się w przekonaniu, że pomnik zdjęty z cokołu jest zwykłym kawałkiem betonu. Mogłam spokojnie wracać do premiera. Spokojnie oraz z poczuciem dobrze spełnionego matczynego, obowiązku.

Ale to nie był jeszcze koniec wrażeń. Już dojeżdżałam do domu, gdy nagle zawibrował mój telefon. Dzwonił Wymyślony. Powiedział, że jest w Warszawie i wraca. Za dwie godziny. Z wrażenia, zaskoczenia i niedowierzania mowę mi odjęło. Myślałam, że się przesłyszałam. Odbieram go z dworca. Życie jednak może być piękne! Jakiś czas po...

Nooo! Może, może, i to jeszcze jak. Milutko było, wszystkie szyby nam zaparowały w samochodzie. Może jednak on mnie kocha? Znowu zaczynam pleść głupoty. Jestem boginią seksu i tyle. Jestem wdzięczna mojemu okresowi za to, że był uprzejmy nie pojawić się wczoraj. Matka natura jednak wie, co jest dla nas dobre.

O żesz ty, w mordę! Amelka paraduje po ulicy w koszulce z podpisami przyszłego lewicowego premiera oraz w szaliku socjaldemokratycznej partii.

Cóż... Zawsze możemy wyemigrować do Czech. Teraz już wszyscy sąsiedzi w promieniu kilometra będą wiedzieli, że jestem wstrętnym, czerwonym, zgniłym komuchem. Odczuwam lekkie zaniepokojenie spowodowane brakiem okresu. Ale jeszcze nie wpadam w panikę. Histeryzować zacznę dopiero za dwa dni.

Przeglądałam szafę Amelki i postanowiłam uzupełnić jej zawartość. Szafy, nie Amelki. Sobie też przy okazji coś niecoś, pojechałam z Ewką na zakupy. Skończyło się jak zwykle - wróciłam z torbami pełnymi ciuchów dla Amelki, a sobie kupiłam... winogrono. Chyba miałam pomroczość jasną, bo gdyby nie Ewa, kupiłabym wszystko za małe. Chyba czas przyjrzeć się lepiej własnemu dziecku. Przyglądałam się, przyglądałam i dochodzę do wniosku, że ktoś podmienił mi dziecko. Dziewczynka, z którą mieszkam, jest pilną uczennicą, odrabia lekcje bez; użycia szantażu, jest grzeczna, sumiennie wykonuje swoje obowiązki bez stosowania łapówkarstwa, chociaż nadal rozrzuca swoje rzeczy po wszystkich piętrach. Tak na oko to nawet i rysopis się zgadza. Więc o co chodzi? Wyczuwam podstęp.

Jestem VIP-em. Jestem GRUBYM VIPEM. Nie mylić z grubą rybą. Jestem grubym VIP-em, bo jestem gruba, a przynajmniej tak mi się wydaje. Zjadłam cztery puddingi: najpierw dwa waniliowe, później dwa czekoladowe, jeden za drugim, a następnie wypłam pół litra piwa jabłkowego. Jeżeli za chwilę zachce mi się kiszonych ogórków - powieszę się.

Aaaaaaaaaaaaa! Okresu nadal nie widać. Cholera! Cholera, cholera! A VIP-em jestem dlatego, że awansowałam w bankowej hierarchii klientów. Przekształcili mi konto z plusa na VIP. I to nie dlatego, że nagle zwiększył się stan moich oszczędności, lecz dlatego, że pewnie nagle zmniejszyła im się liczba klientów, a to w związku z permanentną obniżką oprocentowania lokat. Więc teraz jestem grubym, snobistycznym VIP-em.

Po piątym puddingu i drugim piwie mój organizm postanowił zwymiotować. Z radością trzymałam w objęciach mój kibelek. Na całe szczęście nie siedziała na nim Amelia ze skrzypcami.

Leżałam sobie spokojnie i czytałam książkę, a przy tym sprawdzałam, ile warstw tłuszczu mam na tyłku i nagle zamarłam. Pod palcami wyczułam dość słusznych rozmiarów guz. Zerwałam się jak oparzona i wdzięcznie wypięłam zadek do lustra. No proszę, siniak. Duży.

Skąd się wziął? Przyjrzałam się uważniej i zamarłam ponownie. Siniak miał kształt ni mniej, ni więcej, rączki dźwigni zmiany biegów. Po głębszej analizie dochodzę do wniosku, że niezłym miejscem na uprawianie seksu byłaby toaleta na stacji benzynowej (taki seks na umywalce na przykład). Wtedy mogłaby mi się odcisnąć bateria, popularnie zwana kranem. Następnym razem rozważę, gdzie będzie lepiej. Więc wiem, skąd się wziął. Rewelacja. Mam odcisniętą dźwignię zmiany biegów na lewym pośladku. Dobrze, że nie odcisnęła mi się kierownica. I znowu trzeba będzie wychodzić tyłem z sypialni. Chyba dzisiaj nie poczytam. Anielka postanowiła się ze mną popieścić, czyli poprzekadzać mi. Z tym że pieszczoty w jej wykonaniu przypominają zapasy w błocie. I kończą się też podobnie. Właśnie o mało nie złamała mi szczękę. Jak usłyszała zgrzytnięcie, to się nawet na moment przestraszyła i zaczęła mnie całować przepraszająco, ale nie wytrzymała i zaczęła się histerycznie śmiać. Bo ją tak to skrzypnięcie rozbawiło. „Mamo, zgrzytnęło ci, pewnie ze starości?”. Na koniec próbowała mi założyć nogę na szyję. Moją nogę na moją szyję. Jak to pójdzie w takim tempie, to najbliższy weekend spędzę na chirurgii urazowej z nogą w gipsie i zdrutowaną szczęką. Ciekawe, czy dla Wymyślonego będę boginią seksu.

Byłam już w połowie książki, gdy dostałam ataku śmiechu. Jest tak: babka idzie na pierwszą od dłuższego czasu randkę i z nadzieją na sukces zaczytuje się w poradach typu: jak zostać najlepszą kochanką świata. Wnioski są następujące:

„Możesz iść na randkę, ale wtedy, gdy już będziesz dziewczyną blondynką o czarnych włosach, szczupłą, ale o obfitych kształtach, z dużą piątką w biuście, ale taką, która zgrabnie mieści się w męskiej dłoni. Musisz włożyć na jedną krótką, a drugą długą nogę pończochy i buciki. Narzucić koszulkę przezroczystą i długą suknię z milionem guzików. Udać się w tym stroju do kuchni i przygotować coś lekkiego do jedzenia, ale za to tłustego, bo on lubi zjeść. Swoją chłopięcą fryzurę upiąć w długi koński ogon, żeby potem włosy spływały falą na plecy. Popryśkać się feromonem, żeby potem pachnieć Calvinem Kleinem. Umalować wampowato oczy, żeby być naturalnym kociątkiem. Powitać go w drzwiach. Naga, w samej sukni do ziemi. Zapiętej, ale rozpiętej. Potem delikwenta należy nakarmić. Po jedzeniu trzeba wrzucić go pod prysznic i tam od razu włączyć pranie. Jak już będzie czysty, trzeba go rzucić na podłogę, żeby było niekonwencjonalnie, a dopiero potem wziąć go do łóżka. Ponieważ lubi kobiety z inicjatywą, powinno się wylać na niego miód i szampana, radośnie przy tym pokrzykując, zlizać, a kostkami lodu obłożyć genitalia. Potem należy uściskać delikatnie penisa, ale mocno, tak jakbyś ścisnęła dłoń szefa. Potem popieścić siebie i mieć orgazm. Namówić go, żeby sobie zrobił to samo”.

Śmiałam się tak głośno, że moja córka przybiegła z odsieczą z łazienki i, podejrzewając, że nieodwracalnie oszalałam, przyniosła mi coś w prezencie. Piękne, welurowe, granatowe pudełko na biżuterię, a w nim piękny, gustowny, złoty spinacz do bielizny.

Wstałam wczesnym rankiem i zakradłam się na strych, bo mi się przypomniało, że w nocy zostawiłam tam pusty słoik po Nutelli, którą byłam uprzejma skonsumować w ramach dokarmiania mojego nienarodzonego dziecka oraz odchudzania się. Pomyślałam sobie, że skoro nie mam okresu, to na pewno jestem w ciąży, więc mogę, a nawet muszę dostarczyć maleństwu magnezu, który jest w czekoladzie. Zzałam tę Nutellę paluchem, a gdy już nie mogłam dosięgnąć dna, to wygrzebywałam ją długopisem. Później wsunęłam pusty słoik pod kanapę. No i rano musiałam usunąć kompromitujące dowody mojego łakomstwa. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że słoik był prawie pusty, zanim się do niego dobrałam. Co nie zmienia faktu, bo cały też potrafię zjeść.

Następnie poszłam do łazienki, a tam stwierdziłam, że niestety nie będę matką. Mój okres był uprzejmy mnie odwiedzić. O kurza twarz! Po co ja żarłam tę Nutellę? Teraz będę się musiała dwa dni odchudzać, żeby pozbyć się tych kalorii. Teraz biję się z myślą, czy się zważyć. Oto jest pytanie. Głód na świecie, wojny, kataklizmy, a ja mam problem! Jak się zważę i będzie za dużo, to mogę to zgonić na mój okres - wiadomo - wtedy zawsze jest

więcej. Ale jak się nie zważę, będę żyła w błogiej nieświadomości i za dwa dni miło się zdziwię. Albo i nie.

Tak więc, dręczona hamletowskim pytaniem: „Zważyć się? Nie zważyć się?”, dzielnie podążam do łazienki. Żeby cała ludzkość miała tylko takie dylematy!

Zadowolona z faktu, że nie przytyłam, rzuciłam się na butelkę maroni i paczkę krakersów. Całkiem miło zaczyna się sobota. Nienawidzę weekendów, bo wtedy nie widuję się z Wymyślonym. Więc najlepszym sposobem na przeżycie jakoś tych dwóch koszmarnych dni jest spożywanie trunków w celu doprowadzenia do upojenia alkoholowego, co w moim przypadku nie jest rzeczą trudną i nie wymaga wielkich nakładów czasu oraz „surowca”. Dwie, trzy lampki i gotowe. Kiedyś pobiłam swój własny rekord i przewróciłam się po jednym kieliszku wódki. Bols o smaku owoców leśnych.

Przyjrzałam się sobie uważnie - w końcu za dwa dni idę na randkę. Taką prawdziwą od dwóch tygodni. Patrząc od góry, to nawet nieźle. Ale mój samozachwył został wyraźnie osłabiony, gdy doszłam do poziomu nóg. I nie chodzi tu o obwód ud. Ale o moje owłosione łydki. Gdy Wymyślony był codziennie, moje łydki były gładko wygolone. I cała reszta też. A teraz sobie nieco popofołgowałam. To z litości dla moich cebulek.

Ale teraz przypomniała mi się rozmowa z nim dotycząca depilowania nóg, w której to stwierdził, że jest to absolutnie niezbędne, ponieważ inaczej mogłabym podrapać mu plecy! Po czym, obrzuciwszy spojrzeniem moje nogi powyżej kolan, stwierdził, że tam nie muszę ich golić. Co za ulga! Ludzki kochanek. I jaka niesprawiedliwość. Faceci nie muszą sobie niczego golić. Chyba że wąsy, jak już im się znudzą. I nie muszą sobie malować paznokci, chyba że lubią, nie muszą wyszarpywać sobie włosów z głowy, próbując doprowadzić je do ładu.

Właśnie zrobiłam coś beznadziejnego. Wysłałam mu SMS z treścią, że jeśli nie może powiedzieć mi, że mnie kocha, to niech powie, że mnie nie kocha. Chytre, ale ryzykowne.

Oczywiście, że nie powie, bo jest zbyt dobrze wychowany. Wyłączyłam dzwonek w telefonie i teraz co trzy minuty histerycznie sprawdzam, czy jest odpowiedź. Nie ma. I nie będzie.

Zmuliło mnie po tym martini i zdrzemnęłam się. Gdy wstałam, najpierw wyrznięłam głową w lustro, a potem, przeglądając się w nim, dojrzałam odcisnięty na policzku gustowny wzorek poduszki. Oprócz tego moje włosy ułożyły się w coś na kształt dzwonu. Teraz mogłabym bez charakteryzacji zagrać Madame Butterfly. Jestem niemiłosiernie blada i tak samo nieszczęśliwa jak ona. Beznadziejnie zakochana i za chwilę popełnię samobójstwo z miłości. I mimo że nie jestem japońską gejszą, widzę wiele cech wspólnych. Czytałam, że one



potrafią doprowadzić faceta do orgazmu, siedząc na nim i jedynie zaciskając mięśnie Kegla. Ćwiczę zatem dzielnie. Wprawdzie bez gumowych piłeczek w środku, ale ćwiczę. Na sucho, rzec by można.

Jasna cholera! Ja już dłużej tak nie wytrzymam. Nie potrafię żyć bez miłości. Sama kocham nieprzytomnie i boli mnie jak cholera brak uczucia z jego strony. Kiedyś nawet powiedziałam mu, że nie mogę tak dłużej i wolę żebyśmy się rozstali, niż mam się nadal dręczyć tym, że mnie nie kocha (a serce mi krwawiło, gdy to mówiłam). A on na to, wysiadając z samochodu, że nawet jeśli byłby nie wiadomo jak bardzo pijany, to nie wolno mu powiedzieć mi, że mnie kocha. I żebym to przemyślała. I prosi mnie, żebym była tu za godzinę, to porozmawiamy. Siedziałam więc godzinę w samochodzie, zalewając się łzami i użalając się nad sobą, gdy tu nagle ktoś puka w szybę. Jezu! Jak się przestraszyłam.

O mało nie wykorkowałam na zawał. To był on. Otworzyłam drzwi, a on przycupnął przy krawężniku i zapytał, czy się zastanowiłam.

I że w ogóle to ja nie mogę z nim zerwać, bo kto będzie mu wysyłał erotyczne SMS-y, no i kto mu będzie marudził?

Z tego zaskoczenia nie spojrzałam w lusterko, zanim mu otworzyłam. Przeraziłam się na swój widok. Zamiast oczu miałam dwie czarne plamy, a razem z tuszem spłynął mi puder UOreal. Jeśli on po tym wszystkim, co ujrzał, nie postanowił zerwać ze mną, to musi to być miłość. A wczoraj znowu próbowałam swoich sił w prowokacji, ale nic z tego. Wysiadając z samochodu, pogroził mi palcem i powiedział: „Maruda”, na co ja, w przypiływie odwagi, wyzwałam go od tchórza. Już mam dosyć tego gadania, że on nie może, bo jedno z nas musi być rozsądne, bo możemy zniszczyć nasze życie, bo odpowiedzialność i takie tam. Srutututu, pęczek drutu. Myślę, że on po prostu mnie nie kocha i nie chce, żeby mi było przykro. Dlatego ta cała mowa-trawa. Gdyby był odpowiedzialny, toby się ze mną nie spotykał.

Aha, kiedyś powiedział, że przywiązuję zbyt dużą wagę do słów i może powinnam raczej skupić się i odczytywać uczucia z tego, co się robi, a nie mówi. A jeśli nadal nie rozumiem, co mi chce powiedzieć, to albo naprawdę jestem blondynką, albo nie chcę rozumieć.

Mam 30 lat i nie dam się zwieść. A co, niech nie myśli, że jak jest starszy, to pozjadał wszystkie rozumy. Myślałam, że jak już będę taka nowa, odchudzona, ładna i jeszcze bardziej atrakcyjna, to mnie pokocha. I nawet jestem inteligentna. To znaczy, miewam przebłyski. A tu guzik. Czuję się wybrakowana jako kobieta. Jest nam ze sobą bardzo dobrze, wyłączając te chwile, kiedy jestem upierdliwa i marudna. I co? Wielkie NIC.

Nie byłam w stanie poruszyć jego serca. Widocznie bycie najwspanialszą kochanką świata to za mało, żeby mnie pokochać. Jak to zwykła mawiać moja szwagierka: są trzy prawdy: - moja prawda, - twoja prawda, - i gówna prawda.

Hmm, co prawda to prawda.

Wróciłam z urodzin mojej mamy, które odbywały się u mojej babci. Uroczko. Mniej więcej pomiędzy tortem a ciastem ze śliwkami rozpoczęła się, zapewne mająca na celu wspomoczenie apetytu, dyskusja o rozmaitych chorobach, które dręczą moją rodzinę. A zaczęło się całkiem niewinnie. Amelka postanowiła umalować swojej prababci paznokcie i wtedy się wydało, że babcia ma jeden palec inny niż pozostałe. I to wystarczyło. A dlaczego ten palec jest taki? No a dlatego, moje dziecko, że: „Kiedyś kupowałam róże i ukłułam się kolcem w palec. I palec zaczął się paprać, ropa lała się strumieniami, wdał się gronkowiec, martwica, skrobali mi i cięli. Dlatego wygląda jak wygląda” - wyrecytowała pięknie babcia, unosząc z dumą do góry obiekt opowieści, jednocześnie zając ciasto.

Dwudziestominutowa mroząca krew w żyłach opowieść dobiegła końca, zapanowała cisza, ja zamarłam w oczekiwaniu na ciąg dalszy, Amelka zrobiła zmartwioną minę, podrapała się po głowie i spytała:

- Ile kosztowały te róże?

Wiedziałam, co będzie za chwilę. Na to mój dziadek, najwyraźniej zaniepokojony słabnącym zainteresowaniem jego osobą, wyskoczył z opowieścią, jak to w zeszłym tygodniu zaczął mu schodzić paznokieć z palca u nogi. Nie szczędził nam szczegółów lejącej się ciurkiem ropy i tym podobnych. Zatrzęsło mnie od nadmiaru wrażeń. Widelec z kawałkiem pysznego tortu znieruchomiał nad stołem. Ale jeszcze spokój. W telewizji akurat puszczał film o szpitalu. Na to wszystko mama radośnie obwieściła, że tata nareszcie zlikwidował sobie ból, jaki miał w kciuku (co on z tymi palcami, jak Boga Kocham?). Potem babcia wyjechała z artretyzmem, a dziadek, rzuciwszy okiem za okno, krzyknął, że właśnie dwa dni temu zauważył, że tuż obok jezdnii, na trawniku, stoi krzyż i płoną znicze, no to chyba tu musiał kogoś samochód przejechać, i jak on mógł to przegapić, ale sąsiad mu powiedział, jak rano szedł po mleko (nie ustaliłam, który z nich szedł - sąsiad czy dziadek, pewnie obaj) i spotkali się przy kiosku z gazetami, że człowiekowi głowę urwało i jej szukali w pobliskich krzakach przez dwie godziny. Nie wiadomo, czy znaleźli.

- A może byśmy, Zuzanko, poszli poszukać? - padła nęcąca propozycja.

- Dziadziusiu, może kiedy indziej. Jeśli tam leży, to raczej nigdzie nie pójdzie - perspektywa poszukiwań głowy przyspieszyła moją decyzję o powrocie do domu, ale

chciałam wypić strzemiennego. Czując, że już nie pojem, postanowiłam co wypić. Było tylko wino.

1 dobrze. Bycza krew. Może zapiję te wątpliwe wrażenia. Coś to winko podejrzenie słodkie. Zamiast wytrawne. Pytam więc, co to jest. Babcia na to, że bycza krew, ale ją osłodziła.

Urodziny były super. Nic nie zjadłam, nie wypiałam, a w nocy na pewno przyśnił mi się palce rąk i nóg mojej rodziny rozjechane przez autobus oraz leżąca w krzakach głowa. Nie ma jak udane niedzielne popołudnie. Ale miłe momenty też były. Dziadek się bardzo ucieszył z książki z autografem przyszłego premiera i przez cały wieczór chodził z szalikiem SLD na szyi. Kochany komunista. Wzruszył się. Poważnie. Partia to jego życie.

Kocham mojego dziadka. Najbardziej za to, że gdy babcia tłumaczy mu coś pół godziny, a on cały ten czas przytakuje, a na koniec, zapytany przez podejrzliwą i przewidującą babcię, czy słyszał, co mówiła, z rozbijającą szczerością odpowiada, że NIE.

Ostatnio wszystko mnie wkurza. Amelka coś ode mnie chciała, a ja jej odwarknęłam, żeby spadała. Bardzo wychowawczo. Ona na to:

- Ale się zrobiłaś wredna - a za sekundę: - Nie, ty po prostu masz PMS-a.

Skąd taka małolata, dziecko przecież, wie, cóż to takiego PMS? Chociaż możliwe że wie, bo po moich wyjaśnieniach przebiegu aktu seksualnego dokształciła się na własną rękę i ostatnio musiałam jej tłumaczyć, co to jest penis.

Ledwie się zdążyłam w jęzor ugryźć, by nie powiedzieć: penis to w zasadzie nic wielkiego.

Jak chodzę, to czuję, jak mi pośladki falują. Wymyślony mówi, żebym się już nie odchudzała, że jest OK, że wyglądam bardzo dobrze i w ogóle akceptuje mnie taką, jaka jestem. Ciekawe, czy gdybym była brzydka, ważyła 120 kg i miała tylko jedno oko jak cyklop, czy wtedy też by mnie akceptował? Taką, jaka jestem?

A zresztą, czy warto, abym przywiązywała tak dużą wagę do swojego wyglądu, skoro on i tak nie jest w stanie mnie pokochać? I w ogóle dlaczego jest to dla mnie takie istotne?

Bo dla kobiety najważniejsza w życiu jest MIŁOŚĆ Musi słyszeć, że ktoś ją kocha, po prostu po to, by żyć. Potrzebuje tych słów jak powietrza. Jak kwiat pragnie wody, tak ona pragnie miłości. Bez tego umiera. Nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, że związek dwojga ludzi jest jak ogród. Niepielęgnowany może umrzeć. Jak kwiat. A jeśli raz zwiędnie, bardzo trudno będzie przywrócić go do życia. Podobno zbyt częste mówienie magicznych słów „kocham cię” osłabia ich znaczenie, wymowę i sens. Ale przecież zawsze spragnieni jesteśmy tego wyznania. Jasne, że oprócz słów, są jeszcze gesty. A one podobno znaczą więcej niż

słowa. Nie potrzeba wcale wielkich słów, by udowodnić kochanej osobie siłę naszego uczucia. Wystarczy: „uważaj na siebie”, „potrzebuję cię”. Albo „dobrze mi z tobą”, „dobrze, że jesteś”.

Czy to słyszałam? Tak, wiele razy. I czy to jest tym, czym jest? Jak zwykły mawiać Wymyślony: przeanalizujemy fakty. Analizuję. I co? Wynika z nich, że... Nie, to niemożliwe. A poza tym, ja potrzebuję słów. Nie musi mi tego powiedzieć. Wystarczy, że da mi do zrozumienia. Wyraźnie. Niech kiwnie głową, niech napisze, pokaże na migi, niech powie, że moje odczucia są właściwe. Kurka, niech powie, że mnie kocha!

Nie powie, beznadziejna idiotko, bo nie kocha. Kocha, ale nie ciebie. Tylko swoją żonę. I lepiej przyzwyczaj się do tej myśli, bo inaczej wszystko straci sens. Ma być miło, a nie marudnie. Mam być mi dobrze i przyjemnie. Mam być szczęśliwa, tak jak mogę, a nie cierpiąca i skwaszona. Mam być uśmiechnięta, a nie boleściwie się wykrzywiać. Chrzanić to. Żaden facet nie jest wart, żeby przez niego płakać. Faceci są po to, by sprawiać nam przyjemności i zarabiać pieniądze.

Przestaję jeść owoce. Bo są podobno transgeniczne. Mutanty zagrażające zdrowiu i życiu. Ostatnio przyglądałam się jabłkom na straganie. Wszystkie niemal identyczne. Jakby je kto cyrklem wyrysował.

Widział ktoś kiedyś takie jabłka? Jestem pewna, że wszystkie dzisiejsze owoce są zmutowane genetycznie.

Jej a! To co ja teraz będę jadła?

Wyczytałam kilka porad, co zrobić, aby nie odszedł w siną dal (swoją drogą, cóż za konsekwencja, zważywszy na treść poprzedniego zdania).

Po pierwsze: Nie krzywdź go. Nie histeryzuj, nie urządź karczemnych awantur, nie rób scen zazdrości.

Cholera. Krzywdzę go.

Po drugie: Rozmawiaj z nim. Opowiadaj o swoich planach i pozwól mu na to samo. Pogadajcie o tym, co was wkurza i drażni. Tu nieźle. Punkt dla mnie. Rozmawiamy, rozmawiamy. Z tym że ja przeważnie mu marudzę.

Po trzecie: Nie męcz go. Nie bombarduj swoją obecnością przez 24 godziny na dobę, nie wymagaj rzeczy niemożliwych, nie ograniczaj jego wolności, nie stawiaj ciągłych ultimatum. I nie pytaj 62 razy dziennie, czy cię kocha.

O jasna cholera! To chyba o mnie. Męczę go ewidentnie. Zamęczam.

I o czwarte: Szanuj go. Jego przyzwyczajenia, poglądy, przyjaciół, pasje. Nie traktuj go jak worek treningowy, na którym wyładowujesz swój żal i pretensje do świata.

0 żesz ty! To znowu o mnie. Nie jest dobrze. Pioruńsko źle! Ale idźmy dalej.

1 o piąte: Mów mu miłe słówka. Powiedz mu, że świetnie wygląda, że jesteś dumna z jego zawodowych sukcesów. I nie zapomnij o magicznym «kocham cię», którego potrzebuje tak samo jak ty. Uffff!

No dobra. Tu punkt dla mnie. Słyszysz pan, panie Wymyślony? „Potrzebuję j tego tak jak i pan”!!!

I po szóste: Zabiegaj o niego. Zdobywaj go ciągle czułym gestem, uśmiechem, niespodziankami. Pokaż mu, jak bardzo ci na nim zależy. Powiedz, że marzysz aby trwał obok ciebie choćby po kres świata.

No proszę, a nic nie napisali o tym, żeby w ramach podtrzymywania i uatrakcyjniania związku zrywać z nim dwa razy w miesiącu, co ja zwykłam czynić. W akcie buntu i rozpacz. Ale zabiegam o niego. Żyć bez niego, cholera, nie mogę. I niczego tak nie pragnę, by trwał przy mnie do końca moich dni.

Błagam cię, Wymyślony - nigdy mnie nie opuszczaj! Moja mama dodałaby coś jeszcze: - weź duży rozbieg, - rozpędź się, - porządnie zamachnij, - i kopnij najmocniej, jak umiesz, - a potem stój i patrz, czy wystarczająco daleko polecisz, aby już nie wrócić. Cóż, a ja wciąż taka głupia.

Aha, jest jeszcze wersja z cytryną. Bardzo popularna zresztą. Faceta należy wycisnąć jak cytrynę i wyrzucić. O rety, a ja cytryny zazwyczaj zjadam!

A ja wiem, dlaczego taka szurnięta jestem. To od czasu tego upadku z szafy. Kiedy miałam pięć lat, poprosiłam dziadka, żeby mnie wsadził do szafy, do której normalnie chowali pościel. Bo tam mnie jeszcze nie było. Niby nie wysoko, dwa i pół metra. Dziadek, jako że spełniał wszystkie moje zachcianki, wsadził wnusię do szafy. I poszedł. A wnusia, czyli ja, zapragnęła sprawdzić, czy dziadziuś zamknął ją na klucz, czy nie. Jak się okazało, nie zamknął. Mogłam się o tym przekonać dopiero, jak odzyskałam przytomność w szpitalu. Prosto na głowę wypadłam, popychając drzwiczki. I tak mi zostało do dziś. Niby ci mówią w tym szpitalu, że wszystko w porządku, a tu masz lekarze, fachowcy, myślałby kto. Nie wolno im ufać. Po latach okazuje się, że jednak coś tam się stłukło.

Wpadła Bożka. Powiedziała mi, że mama Ani, najlepsze przyjaciółki mojej córki, zginęła w wypadku samochodowym. Miał oprócz mej jeszcze czwórkę dzieci. Moja Amelka bardzo to przeżyła. Do dziś nie wiedziałam, jak bardzo. Zaczęła płakać, Zapytałam co się stało, powiedziała, że żal jej Ani. I jeszcze, DLACZEGO to właśnie Ani mama musiała umrzeć? Dlaczego Pan Bóg na to pozwolił? Dlaczego to właśnie ona musiała umrzeć?

I co odpowiedzieć dziewięcioletniemu dziecku, które pyta dlaczego ludzie umierają? Że życie jest niesprawiedliwe, najlepsi z ludzi odchodzą najszybciej?

Tuląc więc ją do siebie i powstrzymując napływające do oczu łzy (że też te łzy nie mają wycucia i zawsze przychodzą nieproszone), powiedziałam:

- Dlatego, córeczko, że Pan Bóg potrzebował mamy Ani do ważniejszych zadań u siebie w niebie.

I była to największa bzdura, jaką udało mi się ostatnio wymyślić. Sama nie wierzę, że to powiedziałam. Choć pomogło, ale tylko na chwilę. Amelka dalej:

- Mamo, ale co mogło być ważniejszego od Ani? - i w ryk.

Jezu, już myślałam, że i ja zacznę płakać. I pomysły mi się skończyły. Więc w tej rozpaczycy chwyciłam czekoladowego ptysia, który na szczęście leżał na stole i rozpląszczyłam go sobie na twarzy. Podziałało. Amelka zaczęła się śmiać, wprawdzie jeszcze przez łzy, ale jednak. Za moment zrobiła to samo i wszystko skończyło się dobrze. Tym razem. Ale wiem, że dalej będzie coraz trudniej. Za rok może już nie kupić tej bajki.

W obliczu śmierci wszystkie problemy kurczą się do rozmiaru ziarnka maku, a wszystko, co dotąd wydawało się ważne staje się po prostu nieistotne. Nasze miłości, codzienne zmartwieją kłótnie z sąsiadami, złamane serca, ból głowy czy spóźniony autobus. I przystajemy wtedy i popadamy w zadumę. Problem jednak w tym, że ta zaduma i refleksja trwa zbyt krótko. Za krótko, abyśmy potrafili wysnuć odpowiednie wnioski. Za krótko, byśmy nauczyli się być lepsi na zawsze, nie tylko na chwilę.

O Jezuniu, ale mnie nastrój ogarnął. Nie chcę! Nie chcę być smutna. Chcę być radosna i szczęśliwa. Mimo wszystko i wbrew wszystkiemu.

Nie Maks. Nie uciekniesz od tego. Od życia nie można uciec. Ani od śmierci. I pozostaje tylko pytanie, jak chcemy przeżyć ten czas pomiędzy życiem a śmiercią. Z moich doświadczeń i obserwacji wynika, że zazwyczaj przepięknie potrafimy zepsuć tę chwilę, przez którą jesteśmy na tym świecie.

Amelka raz wydaje mi się bardzo dorosła, a znowu kiedy indziej znowu tak strasznie dziecinna. Zupełnie tak jak ja. Są takie momenty, gdy przeglądam się w lustrze i widzę małą, wystraszoną, zapłakaną dziewczynkę z umorusaną buzią.

O kurczę, nie jest ze mną dobrze. Te huśtawki nastrojów! Dzisiaj mogę to zrzucić na miesiąckę, ale siebie nie oszukam. Ja tak mam często. Chyba jestem nienormalna. To ma też łagodniejszą nazwę: wolę myśleć, że jestem niezrównoważona emocjonalnie.

Budzę się rano i czuję że mam dziwnie ściągniętą twarz. A nie robiłam sobie maseczki z białek. Nieśmiało dotykam palcem nosa - coś jakby piana. Otwieram jedno oko, a obok mój

mąż z czekoladowym ptysiem na prawym policzku. Otwieram drugie oko, a tu w lustrze ja z ptysiem na nosie.

Myślę: Eros Ramazotii. Śnił mi się. Myślę dalej: Michał Bajor. Też mi się śnił. Myślę: Marian Krzaklewski. Nie śnił mi się, ale może dowiedział się, jak go nie lubię i rozpląszczył mi tego ptysia, podstępnie zakradając się nocą do mojej sypialni. Otwieram szerzej oczy. Widzę: Amelka z ptysiem na czole siedzi nade mną i mówi:

- Mamo. Dziękuję ci, że mnie wczoraj uratowałaś. Kocham cię tak bardzo, że mogłabym ci odrąbać nogę i zjeść. Z tej miłości. Cudowna inauguracja dnia. To mi wygląda na kanibalizm.

No. To wspaniale zaczyna się tydzień. I w dodatku skończyły mi się OB. W panice postanowiłam przekopać moją szufladę z bielizną, może stanie się cud. Znalazłam: - baterię, czyli kran do umywalki, - świeceki pływające, - dyktafon, którego szukałam od pół roku, - kasety do kamery wideo - sztuk trzy, - kalkulator - sztuk dwie, - kasety magnetofonowe, - kajdanki, - termometr zaokienny, - rozgałęźnik, - opakowanie silnego leku przeciwbólowego, - zdjęcia cmentarza żydowskiego (???), - kluczyk od samochodu, który sprzedałam dwa lata temu (oryginalny), - swoje roznegliżowane zdjęcia, - oraz OB. W kształcie pocisku artyleryjskiego. Sztuk dwie.

Co za ulga. A swoją drogą, po co ja trzymam te wszystkie dziwne rzeczy w szufladzie z bielizną? Cóż, wraz ze wstaniem każdego nowego dnia tracę wiarę w to, że może jednak jestem normalna. Chociaż troszkę.

Właśnie byłam w połowie bardzo poważnej rozmowy z Wymyślonym, gdy zadzwoniła moja komórka. To był mój ojciec i pytał, czy spełniłam wczoraj swój obywatelski obowiązek. Czyli czy poszłam na wybory. Nie uspokoiła go moja twierdząca odpowiedź.

- A na kogo głosowałaś? - i zaraz sam sobie odpowiedział: - Na pewno na Ligę Polskich Rodzin.

- Nie tatusiu - powiedziałam zniecierpliwiona. - Na Samoobronę, bo kocham skrycie ponad życie Leppera (głosowałam na SLD). I to nie moja wina, tato, że nie mamy większości parlamentarnej.

Na co tata:

- Samoobrona może być.

I rozłączył się, nieświadomy zupełnie tego, że właśnie ważyły się losy mojej przyszłości, i kto wie, może byłam o włos od usłyszenia tych magicznych słów. I tym sposobem SLD, Samoobrona i Liga Polskich Rodzin stanęły na drodze do mojego szczęścia. Z niemałą pomocą ukochanego tatusia. Jeszcze zapytał, gdzie jestem, z kim jestem, co robię?

A gdy poinformowałam go, że jem obiad (wcale nie jadłam, ale co miałam mu powiedzieć: że tylko patrzę jak inni jedzą?), to nawrzeszczał na mnie, że niepotrzebnie wydaję pieniądze. Chyba zapomniał, że sama je zarabiam od 11 lat. Przepraszam za to, że jem. Od jutra przestanę także pić, pojutrze spać, a od czwartku także nie będę oddychać. I na pewno od razu poczuję się lepiej. Czasami wydaje mi się, że mój ojciec nie pamięta, ile ja mam lat i że 16. urodziny miałam jakiś czas temu.

Rozmowa z Wymyślonym, tradycyjnie już, skończyła się niczym. A konkretnie dowiedziałam się, że jeśli z nim zerwę teraz, to NIGDY SIĘ NIE DOWIEM. Czy mnie kocha. Gadanie. I tak się nie dowiem. Cholerny szantażysta. Jak on może grać tak na moich uczuciach. Oczywiście, że nie chcę się z nim rozstawać - ani teraz, ani nigdy, ale tym, co powiedział, dał mi nadzieję.

Rozstaliśmy się dość miło, zważywszy na temat naszej rozmowy. Wymyślony złożył zamówienie na spełnienie jego fantazji: poprosił o czarny pasek do pończoch. A w samochodzie, gdy jechaliśmy w strugach deszczu i ledwo co widziałam, a korki były niemiłosierne, bardzo, bardzo zmysłowo wytargał mnie za włosy, opowiadając, co będziemy robić jutro (!!!), a na koniec, gdy już miałam prawie skręcony kark, groźnie powiedział: „Ja ci dam ze mną zrywać!”. Co to może zrobić z facetem urażona męska duma. Natychmiast jak wysiadł, pojechałam zrealizować zamówienie na fantazję. Ale nie ograniczyłam się tylko do paska do pończoch. Po tej rozmowie dotarło do mnie, że dla niego powiedzenie „kocham cię” jest jednoznaczne ze złożeniem deklaracji bycia z kimś do końca życia. Z małżeństwem. On uważa, że jeśli powie się A, to trzeba powiedzieć i B. A skoro on wie, że nie mógłby powiedzieć B, to nie mówi A. Proste, prawda?

Nie może. Ale kochać się ze mną może. Nic z tego nie rozumiem. To znaczy rozumiem, ale nie wierzę. Bo jeśli to wszystko, co on mówi jest prawdą to znaczyłoby to, że ma cholernie poważne podejście do naszego związku. A takich facetów nie ma. Wyginęli razem z dinozaurami. A ja mam w nosie małżeństwo. Już jestem mężatką. Wcale nie chcę, żeby się ze mną żenił (broń mnie Panie Boże), tylko żeby mi czynił wyznania. Ma mówić, że mnie kocha, a nie oświadczać się. Romantyk jeden. Wychodzić za niego? Przecież bym umarła z zazdrości, wpadła w alkoholizm i cały czas, czekając aż wróci, siedziałabym na kanapie i obgryzała ze złości paznokcie aż do samej krwi. A ponieważ mam chorą wyobraźnię, snułabym wizje Wymyślonego zabawiającego się z haremem panienek.

Najlepsze na zmartwienia jest martini, ale tylko wtedy, gdy pije się je prosto z butelki. Brawo, odnotowuję upadek obyczajów oraz zanik dobrych manier u pani Maks.



Jutro mamy randkę. A teraz idę odrabiać matematykę. Nie wiem, czy sobie poradzę. Trzecia klasa podstawówki może okazać się ponad moje siły i wiedzę matematyczną. Oto nadchodzi czas ostatecznej kompromitacji.

Ostatnio moja córka, Amelka - Amelia (to od czasów tego stanika nieraz tak do niej mówię) - uczyła się do historii. Co to są termy. Napisałam jej w skrócie na kartce, żeby nie musiała ciągle paluchami brudzić książki. „Termy - w starożytnym Rzymie publiczne łaźnie, ale także miejsce spotkań. Znajdowały się tam także biblioteki, gdzie odbywano uczone dyskusje”. Odpytuję ją więc, męcząc twardego już jak kamień tosta. Amelka mówi:

- Termy, w starożytnym Rzymie publiczne łaźnie, biblioteki i huczne dyskoteki.

Najpierw myślałam, że mnie sprawdza, czy jej słucham. Ale nie. Mina poważna, a na dodatek wyrażająca zadowolenie z samej siebie. Trzeźwa byłam, jak jej to pisałam, więc nie mogłam się pomylić.

- Córeczko, powtórz - proszę.

- ...liczne huczne dyskoteki - powtarza i nawet jej powieka nie drgnie. Jezus Maria! Jak ona tak jutro napisze na kartkówce, to dopiero będzie. Trafi do humoru szkolnych dowcipów zaczerpniętych z uczniowskich zeszytów albo, co gorsza, do „Teleexpressu”.

- Amelka, nie żadne dyskoteki, nie huczne w dodatku ani nie liczne. **DYSKUSJE UCZONE!!!**

- To naucz się pisać jak człowiek. W twoim wieku już byś mogła - skwitowało niezrażone dziecko.

Jednak nie wiem, dlaczego po głowie zaczęła krążyć mi myśl o tych balangach, które się tam odbywały, niekoniecznie w termach. W Rzymie w ogóle. Żeby moje dziecko wiedziało, jakie imprezki miały miejsce, toby natychmiast straciła zainteresowanie dla term i Forum Romanum, na korzyść imprez w pałacu cezara. Kaliguli na przykład.

Mój mąż zwariował. Oszalał. Odbiło mu. Dzisiaj o siódmej rano zapytał, czy jestem z nim szczęśliwa!!! Co on Luois Hey się naczytał, czy co? Ależ oczywiście kochanie, zupełnie nie rozumiem, jak możesz mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Jestem z tobą wprost bezgranicznie szczęśliwa, a to dlatego, że uwielbiam być bita, kopana i poniżana. Nie mogę żyć bez podbitych oczu i cieknącej z nosa krwi. Nie wiem, czy jestem z nim szczęśliwa. Nie wiem, czy jestem nieszczęśliwa. Nie narzekam i nie użalam się nad sobą. Już nie. Bo teraz jestem szczęśliwa tak ogólnie. Bo mam Amelkę. Bo jest Wymyślony. Bo świeci słońce. Bo żyję. Kocham mojego męża. To niemożliwe, choć psychologowie potrafiliby to wytłumaczyć. Nie mam serca jak tramwaj i nie jestem kochliwa jak bohaterowie „Dynastii” czy „Mody na sukces”, gdzie w 1268. odcinku wszyscy spali już ze wszystkim. Chyba jestem emocjonalnie

okaleczona. Tkwię w dwóch toksycznych związkach i czekam na cud. A cud się nie zdarzy. Bo cuda zdarzają się tylko w bajkach. A może trafiłam do złej bajki?

Założyłam body, które sobie wczoraj kupiłam w ramach , realizacji zamówienia na fantazję erotyczną. I pończochy samonośne. Czarne. Inny kolor nie wchodził w grę. I moje odlotowe kozaczki do kolan. No, nie powiem. Jak tak na siebie patrzę, to sama bym się ze sobą przespała.

Zawsze twierdziłam, że najważniejsza w życiu jest skromność. Jezuniu, ale mam tremę. Przed randką. Ciekawe dlaczego, przecież robiliśmy to chyba z tysiąc razy. Tysiąc cudownych razy. Podobno wielu mężczyzn przypomina myśliwych. Polują a łupem jesteśmy my, kobiety. Po celnym strzale myśliwy konsumuje ofiarę, potem odchodzi. Czasami jednak zostaje ze zdobyczą. No tak. To mnie upolował, choć, gdyby to teraz przeczytał, zaczęłby głośno oponować, że było odwrotnie. Idźmy więc na kompromis. Upolowaliśmy się wzajemnie. Ha, ha, ha! Polowanie było krótkie, ale za to konsumpcja znacznie się przedłużyła. A propos. Za trzy godziny będziemy się konsumować! Więc uzbrojona w seksowne koronkowe body i pasek do pończoch wyruszam do krainy rozkosznej nieprzyzwoitości.

Amelka przynosi ostatnio niesamowite powiedzonka ze szkoły, ale jej ulubionym jest motyw z filmu, którego nigdy w swym dziewięcioletnim życiu nie powinna była obejrzeć. Wczoraj wpadła do pokoju i woła do mojego męża: - Lecisz na mnie, ty peklowany fiucie? Mowę mi odjęło. A ona zaraz dalej:

- Mamo, co to znaczy „peklowany”?

Nie co znaczy „ty fiucie”, ale co to jest „peklowany”?!!!

No, to jest oczywiste, każdy przecież wie, co to takiego „fiut”. Myślę, że za metody wychowawcze, które stosuję, czyli za ich permanentny brak, powinnam zostać pozbawiona praw rodzicielskich.

Byliśmy w sklepie. Zgodnie z planem zakupów dotarliśmy do regałów z olejami. Nagle słyszę głos Amelki.

- Mamo! Z pierwszego tłoczenia??? Kujawski??? I zaczęła śpiewać, wzięwszy się pod boki:

- Miałam ci ja pieczeń, ale marnowałam.

Kujawskiego oleju wcale nie dodałam.

Uciekłam i schowałam się za najbliższym regałem. To nie moje dziecko, przepraszam. Przyczepiło się do mnie na parkingu, chciało coś do jedzenia. To je wzięłam do sklepu. Wieczorem przyrządzałam kanapki zapiekane w piekarniku i o mały włos nie upiekłam kota.

Już zamykałam drzwiczki, gdy moja kocica wychyliła łepkę. Do środka zwabił ją zapach wędliny. Jejku, ale by się narobiło. Powinnam też uważniej patrzeć, gdy zamykam lodówkę. Inaczej będę miała mrożonego kota. Albo z rusztu. I jeszcze coś. Wymyślony autorytatywnie orzekł, niezwykle dokładnie przyglądając się mojemu siniakowi na pośladku, że to nie może być dźwignia zmiany biegów. Jego zdaniem to od zapięcia od pasa bezpieczeństwa. Proszę, jaki ekspert. A wcześniej, dowcipniś jeden, dopytywał się, czy cyferki też mi się odcisnęły. Bardzo śmieszne. Bardzo. Można umrzeć ze śmiechu.

Właśnie byłam w trakcie sporu z moim mężem, dotyczącego klientów, z którymi obawiałam się sobie nie poradzić, gdy Amelka postanowiła stanąć w mojej obronie i powiedziała:

- Tato, mama ma rację. Nie da sobie z nimi rady, bo oni są zbyt UPOKORZENI.

Zielonego pojęcia nie mam, co faktycznie chciała powiedzieć, ale tamto też mi się podobało. Chyba chodziło jej o to, że są upierdliwi, bo upokorzeni to dopiero będą jak trafiają na moje trudne dni.

Rany, ja to mam sny. Śniło mi się, że Wymyślony zostawił dla mnie rodzinę, powiedział mi o tym przez telefon, a ja biegłam mu naprzeciw, boso, po rosie, w samej koszuli nocnej i, co najgorsze, bez makijażu. Płakał, a jak to zobaczyłam, to kazałam mu natychmiast wracać do żony. Był naprawdę nieszczęśliwy, tęsknił za dziećmi. Ten sen był pewnie wynikiem naszej rozmowy, której głównymi bohaterami byliśmy my oraz król Anglii, Edward VIII, który, jak powszechnie wiadomo, abdykował w imię miłości. Na co Wymyślony stwierdził, że gdyby on miał do stracenia tylko tron, to też by dla mnie abdykował. I to mnie chyba miało pocieszyć.

Na zakończenie zapytał, czy chcę być z nim kolejne 16 miesięcy i prosił, abym obiecała, że nie będę marudziła. Prawdopodobnie chciał się upewnić, czy będzie mnie mógł dalej bezpiecznie (i za darmo) używać. Obiecałam, ale wynegocjowałam ustępstwa. Mogę pomarudzić dwa razy w miesiącu: raz jak będę miała te trudne dni, a raz tak sobie.

Postanowiłam dzisiaj odwiedzić swój samochód. Żeby mu nie było przykro. A przy okazji skontrolować pracę mechaników, których głównym zajęciem jest najwyraźniej jedzenie, ponieważ zawsze, kiedy przychodzę, akurat się obżerają. A to chińszczyzna, a to kiełbaski na grillu. A moje auto jak stało, tak stoi, choć ostatnio odnotowałam niemały postęp. Z jednego garażu przepchnęli je do drugiego.

A sobota zbliża się wielkimi krokami, a wraz z nią minie termin odbioru mojego autka. Jeszcze, cholera, do niego nie wsiadłam, a już mam serdecznie dosyć. Powinnam pomyśleć o czymś przyjemnym. Na przykład o odchudzaniu.

Monotematyczna jestem. Monotematyka to moje drugie imię. Pewnego razu przeczytałam o najnowszej metodzie, która pozwala zrzucić w ciągu niecałej godziny nawet do pięciu kilogramów. Ten cud nazywa się hydrokolonoterapia, czyli płukanie jelit, czyU po prostu wewnętrzna lewatywa. Już się nawet zdecydowałam, omamiona wizją schudnięcia o te pięć kilogramów, ale po dokładniejszym zapoznaniu się z metodą stwierdziłam, że co jak co, ale nie wytrzymam 45 minut z rurką w tyłku. Wymyśliłam więc zastępczo, że się pozwolę odessać. To znaczy zafunduję sobie odsysanie tkanki tłuszczowej. Liposukcję. A tu pierwsza przeszkoda: cena za jeden punkt (chyba chodzi o jedno miejsce do odessania, np. jedno udo) - 1200 zł. Obliczyłam się na jakieś pięć tysięcy w przybliżeniu.

Druga przeszkoda: blizny. Więc chyba się nie odchudzę, za to poprawię sobie biust. Wyjdzie dużo taniej (nie chcę się szpikować silikonem, tylko podciągać) i jednocześnie odwróci uwagę od reszty. Jestem nienormalna.

Ewka mówi, że to, co wyczyniam ze swoim ciałem, to ciągle gadanie o odchudzaniu, szukanie metod, to jej wygląda na ukrytą anoreksję. Głupia czy co? Czy ja wyglądam na anorektyczkę? Anoreksja to przekleństwo doskonałości. „Na anoreksję i bulimię najbardziej narażeni są ci z nas, którzy bardzo wcześnie w swoim życiu poczuli się w jakiś sposób zagrożeni fizycznym lub psychicznym unicestwieniem. Wtedy trudno nam uznać, że sami w sobie, tacy, jacy jesteśmy, mamy bezwarunkowe prawo do istnienia.”

Muszę się pozbierać. Powinna może gdzieś wyjechać, daleko, żeby nie mogła tak łatwo i szybko wrócić. Nie mogę się tak bezgranicznie zatrać dla faceta. Tracę do samej siebie szacunek i źle mi z tym. Czuję się taka słaba. Chyba w ramach relaksu i dowartościowywania zaprzyjaźnię się z kochanką mojego męża. Domniemaną. Ja tak domniemuję, bo może jest mi łatwiej myśleć o niej jak o jego kochance. Sądzę również, że nie jestem daleka od prawdy. Myślę, że chętnie wskoczyłaby mu do łóżka. Aż mi się w żyłach krew zagotowała, gdy zobaczyłam, jak ona z nim rozmawia, a w dodatku są po imieniu. Zaproponowała mu to niezwłocznie po tym, jak za mną zamknęły się drzwi. Szkoda, że nie mam pewności, że z nią spał. Pokochałabym ją natychmiast szczerą, prawdziwą miłością. Ostatnio okazywałam, jak bardzo ją lubię, więc przestała się pojawiać, ale i tak wiem, że za moimi plecami i wbrew mojemu wyraźnemu sprzeciwowi, nadal mój mąż robił z nią interesy. I wyszedł na tym jak Zabłocki. Gwiazdeczka wzięła towar i się zdematerializowała. Ale miałam satysfakcję, znowu wyszło na moje. Wyczułam cwaniarę. Rozwódka. Niebezpieczna. I w dodatku po czterdziestce. Co znaczy jedynie, że łatwo nie zrezygnuje. Ale za to szczęśliwa u boku nowego narzeczonego, jak mnie była uprzejma poinformować,

wyczuwając pewnie jad, który spływał z moich ust w jej kierunku. Ciekawa jestem, czy tym narzeczonym nie jest aby przypadkiem mój mąż. Bronił jej jak Sobieski Wiednia.

No więc DOMNIEMANA postanowiła wyplakać mi się w mankiet, którego rolę zastępczo pełnił telefon. Jaka to ona nieszczęśliwa przez eksmęża, jaki to on cham i prostak, bo kulturalnie rozstać się nie potrafi, jaki głupi, bo sobie znalazł kochankę o 10 lat starszą od niej i jaka tamta brzydka i wredna. Odezwała się ta niewredna. I proszę bardzo, krokodyle łzy zaczęły mi niemal kapać ze słuchawki. Odruchowo chwyciłam chusteczkę. Żal mi się zrobiło kobitki, mimo że chętnie pozwoliłaby się použíwać mojemu mężowi i wykazałam się pełnym profesjonalizmem w zakresie porad pt. „Kącik złamanych serc i zranionych żon”. Powiedziałam mianowicie: - No i czego pani ryczy? Przecież żaden facet na świecie nie jest wart tego, żeby przez niego płakać. Wszyscy są tacy sami - szowinistyczne męskie świny i toksyczne dupki (usłyszałam to chyba ostatnio w „Rozmowach w t(ł)oku”). Czułam się w pełni predysponowana do udzielania tego typu porad, jako że należę do tej wąskiej grupy kobiet, które nigdy, ale to nigdy w życiu nie uroniły ani jednej łzy - przez faceta, oczywiście.

Ale jestem perfidna. Ale ja naprawdę tak myślę, tylko trochę mi nie wychodzi zamiana słów na czyny. I z konsekwencją u mnie na bakier. Jestem konsekwentnie niekonsekwentna. Ale wracając do kochanki. Chyba pomogło, bo przestała płakać. Musiałam być bardzo przekonująca. Przez moment nawet popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze z nieklamany podziwem. No, no, no, Maks, jaka ty jesteś mądra i twarda. Na koniec rozmowy Domniemana powiedziała, że musimy się umówić na dłuższą pogawędkę, to mi wtedy wszystko opowie. Ciekawe, czy znajdzie się tam kawałek o romansie z moim mężem. Koniecznie musi przyjść. Koniecznie. Już nie mogę się doczekać.

Z wielkim bólem oderwałam się dzisiaj od telewizora, bo właśnie puszczała „Gladiatorów”. Fascynujący program, fascynujący. I ile wnosi do naszego szarego codziennego, nudnego życia. Przepelniony dowcipnymi, inteligentnymi uwagami, wymianami poglądów na dręczące obywateli problemy. I to wysublimowane poczucie humoru uczestników. No i jeszcze wysoka kultura i ambitne plany na przyszłość:

„Najbardziej chciałabym, żeby na świecie zapanował pokój i nie było głodnych dzieci w Afryce”. Co to? Wybory Miss Świata?

„Przyszłem (!) do programu, bo jestem przystojny i może mnie ktoś zauważy. Mogie (!) zostać modelem albo zagrać w filmie” Ja cię zauważyłam, przystojmaczku - całe twoje 155 centymetrów. Zagraj w filmie, najlepiej niemym.

„Na zachodzie łatwiej zrobić karierę, bo jest tam większe uprzemysłowienie i konsumizm”.

„Może być wszystko, tylko nie mięso - może być kurczak”.

„Ja się nie rozdwoję na pięknych i na mądrych”.

„I tak wciąż nie wiem, dlaczego miałam wiedzieć”.

No cóż. Ja też wciąż nie wiem, dlaczego miałam wiedzieć. Pociąć się można. Z rozpaczki, jak się to ogląda. I kto to ogląda? Chyba psychosocjologowie, po to, aby rozszerzyć swoją wiedzę o ciężkich zjawiskach społecznych. Bo nie pytam; po co ktoś produkuje taki chłam. Wiadomo, że dla kasy. Katastrofa. Katastrofa. Żenada. Kompromitacja. No ale może ja się nie znam.

Wieczorem była w telewizji Amelka. Chociaż „była” to może za dużo powiedziane. Konkretnie to był jej lewy profil, a cała reszta Amelki wisiała na Ani, która z wielkim przejęciem odpowiadała na pytanie:

„Dlaczego dzieci powinny czytać książki?”.

Dlatego, żeby nie były wtórnymi analfabetami, ofiarami komputera, Internetu, telewizji, wideo, DVD. Aby miały duży zasób słów i potrafiły się pięknie wypowiadać. Aby ortografia nie miała przed nimi tajemnic. Aby umiały samodzielnie myśleć i miały własne zdanie. Aby były mądre i potrafiły nas tą mądrością zadziwić. I wreszcie po to, by nigdy nie przyszło im do głowy wystąpić w takim programie jak „Amazonki” czy „Gladiatorzy”. Alleluja!

Rany Julek! Znowu dostałam kwiaty. Zaczęłam chyba podejrzewać, że mam cichego adoratora. To cudowne uczucie dostać kosz z kwiatami od nieznajomego. Takie... romantyczne. Tajemnicze i podniecające. Bożka pęka z zazdrości. Pewnie myśli, że sama sobie wysyłam te bukiety, żeby ją wkurzyć. Tak po prawdzie, to gdybym była w nieco gorszej kondycji psychicznej, sama bym się zaczęła o to podejrzewać. Ale na szczęście, mimo wszystko to jeszcze nie ten stan. Póki co. A od Wymyślonego przyszedł e-mail: „Mam nadzieję, że spokojnie śpisz, zawieszam nad Tobą moje ciepłe, spokojne myśli, żeby czuwały.”

Jestem dobra w udzielaniu porad. Amelka mnie ostatnio informowała, że jej koleżanka z klasy, z którą się trzy lata temu przyjaźniła, a później nastąpiło gwałtowne ochłodzenie stosunków, spowodowane zmianą koleżeńskich zainteresowań koleżanki wspomnianej, teraz chce wypalić fajkę pokoju. Czyli, w gwarze mojej córki: zrobić zgodę.

Zmroziło mnie aż, bo doskonale pamiętam, jak po takich zgodach Amelka przychodziła do domu z oczami zapuchniętymi od płaczu. Bo gwiazdy, trzy psiapsiółki, zabawiały się jej kosztem. Jak miały dobry humor i wstały prawą nogą, było: Amelka, zgoda?

Muchy w nosie, lewa noga: Amelka w odstawkę. I tak sześć razy w ciągu dnia. Amelka jak piłeczka pingpongowa. Mało mi psychicznie dziecka nie wykończyły. Więc mówię do córki:

- Słuchaj, zrobisz jak zechcesz, ale zanim podejmiesz decyzję, przypomnij sobie, jak było poprzednio. Z tą zgodą. Dopóki Marta była tylko z tobą, było dobrze. Gdy na horyzoncie pojawiały się Magda z Izą, stawałaś się jej wrogiem. Taka zgoda to żadna zgoda, a taka przyjaźń to oszustwo.

Wraca Amelka ze szkoły i mówi:

- Mamo, Marta znowu chciała się pogodzić. Ale powiedziałam, że jej przyjaźń to oszustwo.

No to pięknie. Propozycja przyjaźni przestała być ponawiana, jak i również przestała się do mnie odzywać sąsiadka - matka Marty. Z takim talentem mediacyjnym powinnam pracować w dyplomacji. Teraz się zastanawiam, czy dobrze zrobiłam. Przecież ludzie się zmieniają. Ale nie wszyscy. Nie dzieci matek, które za szczyt sukcesu i życiowej kariery uważają poślubienie cudzoziemca.

O cholera! Jakaś afera przed domem. Skradam się i podglądam. Amelka biegnie i woła już z daleka:

- Mamo, mamo! Marta złamała Ance palec.

- Który? - pytam, drąc się wniebogłosy, zupełnie tak, jakby to było istotne który.

- Mamo, nie wiem, jak on się nazywa - drze się Amelka do mnie.

- Serdeczny? Wskazujący? No, no ten, no... - niecierpliwi się moja córka.

- Złamała jej palec „fuck you”.

To nic. Zawsze możemy wyemigrować do Czech. Albo nie, Czechy już były? Rumunia? A swoją drogą to przerażające, że dziewięcioletnie dzieci potrafią być tak wyrachowane. Aż strach pomyśleć, co będzie, gdy skończą 15 lat? Może wystąpią w superprogramie „Amazonki”.

Wymyślony, wchodząc dzisiaj do pokoju zapytał: „O, nowy zapach. Co to za perfumy?”.

Mam przykazane, żeby się zbytnio, a najlepiej wcale, nie perfumować przed randką bo już kilka razy jego żona podobno go obwąchiwała. Nie śmiałam więc mu powiedzieć, że to FEROMONY, które dopiero co nabyłam w sex-shopie. I albo tak się za mną stęsknił, bo mnie nie widział całe dwa dni, albo te feromony naprawdę działają!!! Kupiłam je sobie, bo za kilka dni mam ważne rozmowy handlowe, a że jestem przebiegła, to pomyślałam, że pomogę szczęściu i mojemu talentowi mediacyjnemu. I postanowiłam je wypróbować na Wymyślonym. O Jezuniu!!!

Jeżeli to one tak działają, to na spotkanie biznesowe powinnam wynająć ochroniarza. Chociaż chyba wolę myśleć, że to, co działo się dzisiaj, i dzieje się zawsze, nie jest zasługą feromonów za 108 złotych. Jestem oszołomiona i nieprzytomna. Trzy orgazmy potrafią zmęczyć. A mówią, że masturbacja jest niezdrowa!

Wczoraj wpadł do nas znajomy, który nagle odzyskał „wolność” po odejściu żony. Dodam, że nie należy do taktownych osobników. Na powitanie wytknie ci wszystkie swoje wady, zauważy najmniejszą plamkę na bluzce, a nawet potrafi namacalnie szukać dowodów wzrostu wagi.

Wszedł i jeszcze zanim zdążył powiesić płaszcz na wieszaku, wystrzelił ostrymi nabojami:

- Oj, kochana, jak ty wyglądasz! Strasznie się zaniedbałaś ostatnio! Przybyło ci ze trzy kilo.

„No jasne, mój drogi - mówię do siebie. - Gdyby twój mózg liczony był na kilogramy, mogłabym powiedzieć, że tobie ubyło ze trzy kilo. Ale w twoim wypadku jedyne, co mogę stwierdzić, to ubytek kilku gramów z całych kilkunastu”.

Przez tych kilka lat, jak go znam, nauczyłam się ripostować odpowiednio szybko. Zazwyczaj jego totalny brak taktu mnie przytykał i zanim coś Wymyśliłam, zwykle było już za późno. Tym razem wykazałam się refleksem i oczywiście złościwością:

- Och, Boże mój, co też stało ci się z prawą ręką? Te odciski to pewnie od onanizmu?

Gratulowałam sobie w duchu. Z nim trzeba ostro. Inaczej wdepcze cię w ziemię.

Jestem rozczarowana. Treścią artykułu o orgazmach. Podobno, kiedy „to” już nadchodzi, to wszystkie mięśnie są tak napięte (coś się zamyka, a coś otwiera), że nie można wydać z siebie żadnego dźwięku, ERGO: kobiety, które krzyczą podczas orgazmu, UDAJĄ. Natomiast moje doświadczenia dowodzą, że nie jest to prawdą. Zawsze po TYM nabożnie się posilamy kanapkami. Mniej więcej przy szesnastej, przedostatniej, Wymyślony pyta: „Tobie też zostawić?”. Pyta, bo przecież ja się wiecznie odchudzam, więc nie wie. Dzielnie odmawiam, choć język mi ucieka. Jak już się najemy, mówi: „A teraz spróbuję się doczołgać do łazienki”.

Siedzę i kombinuję. Jak by tu urozmaicić nasze życie erotyczne. Jeśli mu zaszerwuję podstępnie hiszpańską muchę, to mogę tego nie przeżyć.

Kurczę, ale to myślenie jest męczące. Potężny wysiłek psychiczny, jak Bożię kocham.

No dobra. Myślę: pokojówka. Zgrabny przezroczysty fartuszek, wstążka na szyi i we włosach to, no, jak to się nazywa. Takie coś co przypomina trochę pielęgniarzki czepek. I jak



już to włożę, to postawię przed Wymyślonym jogurt firmy Danone i zalotnie powiem: „Kremowy, li. Waniliowy, li?” A on: „Kremowy, li. Śmietankowy, li”.

A potem zaczniemy tarzać się nieprzytomnie ze śmiechu po podłodze i z seksu nici.

Myślę dalej: króliczek z Playboya. Może być, ale jest problem z uszami.

Nieosiągalne!!!

Myślę: Lolita. Fajnie, bo wykonanie najprostsze. Biała bluzka, czarna spódniczka, tenisówki. Obowiązkowo białe podkolanówki. Włosy związane w dwie kitki z kokardami. Kiedyś się tak ubrałam w domu. I nawet wyglądałam jak starsza siostra mojej Amelki. W półmroku, rzecz jasna.

Amelka pobiła dzisiaj rekord w jedzeniu ogórków kiszonych. Zjadła dwa słoiki, jeden po drugim, a następnie popiła to mlekiem. Po tym wtrąbiła talerz zalewajki, paczkę serowych chipsów i popiła woda mineralną. I przegryzła to wszystko ciastem kokosowym. Dwie godziny później, wpadła do mojego pokoju z dzikim okrzykiem. Nie rozumiem, jak można tak głodzić własne dziecko. Daj mi coś do zarcia.

Niestety, nie zadowolili się „cosiem”. Miała mocno skonkretyzowane żądania. Mianowicie chodziło o potrawkę z kurczaka.

W związku z ogórkami przypomniała mi się pewna historia. To było tuż przed feriami zimowymi. Amelka, leżąc w łóżku, pyta (jedno oko mi się zamknęło):

- Co to jest za choroba, ta STRZELBA?

Ona wprost uwielbia mnie tak męczyć, akurat gdy zaczynam odlatywać. Natychmiast się ocknęłam i nawet dość przytomnie skojarzyłam:

- A może nie strzelba, tylko WIATRÓWKA?

- O, no, no, no. Właśnie.

Więc jej wytłumaczyłam i dowiedziałam się, że aktualnie połowa klasy ma strzelbę. A później były ferie i Amelka wyjechała do babci. Rano budzi mnie dźwięk SMS-a: „I have got wysypka. Wstałaś już?”. Kupienie jej komórki było kolejnym błędem mojego życia. Tknięta złym przeczuciem, wsiadłam w samochód i pojechałam przyjrzeć się tej wstrętnej wysypce. Tylko podniosłam Amelce bluzkę, a już wszystko było jasne.

- No Amelka, gratuluję. Pozwolenie na broń jest? Bo dostałaś strzelbę. I przedłużone ferie o jakieś trzy tygodnie. I tak oto spędziłam prawie miesiąc z uzbrojoną po pas sześciolatką.

Ale nie mogę narzekać. Wiatrówka, zwana strzelbą, była na tyle miła, że szybko sobie poszła, nie zostawiając przykrych dowodów swojego pobytu. I chwala jej za to.

A tak było miło u moich rodziców. Dopóki ojciec nie zapytał, czy zamierzam do końca życia być ze swoim mężem (aktualnie są w stanie wojny, choć właściwie wojna trwa dziesięć lat, przerywane chwilowymi rozejmami). Kurde, a już naprawdę było miło. Nie zastanawiałam się nad przyszłością. Potrafiłam zapomnieć. Jasne, że o tym myślę. I wcale nie z powodu Wymyślonego. Wiem, że nie powinnam dalej tak żyć. Nie mam prawa fundować Amelce takiej samej przyszłości jak moja terażniejszość i przeszłość. Najprawdopodobniej powtórzy schemat - znajdzie sobie faceta, który będzie ją tłukł i znieważał. A ja będę patrzyła, jak cierpi moje dziecko. Po jaką cholere ojciec wyjechał z takim egzystencjalnym tekstem, teraz mam zepsuty cały weekend. Wiem doskonale, że gdy uciekłyśmy od niego w zeszłym roku, nigdy nie powinnyśmy były wracać. Dostałam tak, że połamały mi się na twarzy okulary przeciwsłoneczne, cud, że mi oka nie wybiły. Bo głupio bym wyglądała z jednym. A jak się schyliłam, żeby je podnieść, oberwałam kopniaka w klatkę piersiową. Założyłam okulary, a dopiero później Amelka powiedziała mi, że nie mam jednego szkła. Wyszłam, tak jak stałam, ciągnąc za sobą płaczącą Amelkę. Ale ból i łzy nie odebrały mi zdolności jasnego myślenia.

Zamiast do hotelu, pierwsze kroki skierowałam do banku i wypłaciłam nasze oszczędności. Zmieniłam bank, konto, numer komórki i dopiero zameldowałyśmy się w hotelu. To zadziwiające, czego zdesperowana kobieta potrafi dokonać w ciągu godziny. Te pieniądze wypłaciłam nie po to, by go puścić z torbami, ale po to, by uchronić dorobek naszego życia. I tak błąkałyśmy się trochę po hotelach, trochę po rodzinie. A on płakał, prosił, błagał, obiecywał. Wróciłyśmy, chociaż Wymyślony mówił, że nic się nie zmieni. Że nadal będzie bił, może nie od razu, ale będzie.

Podobno należy dać szansę każdemu człowiekowi. Trzeba wierzyć w ludzi. Wytrzymał dwa miesiące. Następnie złamał na mnie kij od szczotki.

Teraz jest spokój. Czasami przerywany małym trzęsieniem ziemi. Połamane żebra nie bolą. Nie ciało mnie boli, lecz dusza. Ale mam Wymyślonego. Jest przy mnie. Wyimaginowany, bo wyimaginowany, ale jest. Wspiera mnie, choć nie rozumie, dlaczego nie chcę się rozwieść. Ja też nie. Dziwne jest to życie. Czasami zastanawiam się, czy nie cierpię na rozdwojenie jaźni. Jesteś długo z kimś i jesteś szczęśliwa, ale tak naprawdę nigdy nie będziecie mogli być ze sobą i jesteś z kimś, z kim nie powinnaś być, a prawdopodobnie będziecie ze sobą do końca życia. Pytanie tylko - czyjego.

Myślę, że w życiu nie ma przypadków. Wszystko dzieje się z określonego, choć nie całkiem znanego nam powodu. Dlaczego, gdy jesteś w dołku, gdy jest ci już tak wszystko jedno, że świat mógłby się skończyć w jednej chwili, nagle na twojej drodze pojawia się ktoś,

kto jednym słowem, gestem, zdaniem, spojrzeniem pełnym ciepła potrafi przywrócić ci wiarę w sens istnienia. Sprawia, że poczujesz się piękna. Mądra. Potrzebna. I od tego dnia nie czujesz już bólu, i zaczynasz wierzyć w siebie. I nagle słońce świeci jeszcze jaśniej, niebo jest bardziej błękitne, a lzy wcale nie są słone. I nawet zaczynasz patrzeć na wszystko inaczej - nawet na swojego męża. Bo to przecież nie jego wina, że jest słaby - znęcanie się nad innymi to przejaw własnej bezsilności. I trzeba mu pomóc. I pomagasz. Ale szkodzisz sobie. I tak bez końca. Dopóki jest ON, jest łatwiej. Ale co dalej?

Nic nie może przecież wiecznie trwać. Ani miłość, ani nienawiść. A przecież kiedyś łączyło nas takie gorące uczucie. To była naprawdę wielka miłość. Moja pierwsza, prawdziwa. Kiedy tak bardzo się od siebie oddaliliśmy? Nie obwiniam go. Wina zawsze leży po dwóch stronach. Ale starałam się być dobrą żoną. Może starałam się nie dość mocno?

Nie tak dawno urządziliśmy sobie z Wymyślonym krótki wypad za miasto. Nocą księżyc odbijał się w tafli wody. Gwiazdy mieniły się swym srebrem na granatowoczarnym niebie. Z dwoma świeżo zakupionymi kompletami erotycznej bielizny, planem w głowie i wibratorem w torbie dotarliśmy na miejsce. To, że udało mi się trafić, to cud. Ponieważ było wczesne popołudnie, zamknęłam się w łazience i zastanawiałam, co by tu robić, bo do nocy jeszcze daleko. A ja przecież miałam plan. Może spacer? Obiad? Drzemka? Bo seks dopiero w nocy - najważniejsze trzymać się planu. Wylazłam spod prysznic, ponownie ubrana od stóp do głów, ku ogromnemu rozczarowaniu Wymyślonego. I już-już miałam przemknąć w stronę telewizora, gdy powiedział: „Skarbie mój, chodź do mnie” i przyciągnąwszy mnie do siebie, posadził na kolanach. Zaczęłam ostro protestować. Może by na spacer? A tu czuję rękę pod spódnicą. Albo się zdrzemniemy, co? Może obejrzymy „Klan”? I bluzka na podłodze. Może obiad? A on na to: „Później, później”. I zamknął mi usta pocałunkiem. I był spacer (sześć razy), i obiad, kolacja, i szampan, i drzemka. Tyle że wszystko w odwrotnej kolejności. Spacerowaliśmy sześć razy i gruchaliśmy jak dwa gołąbki, trzymaliśmy się za rączki jak Jaś i Małgosia, Adam i Ewa, Tristan i Izolda, Romeo i Julia, Wilk i Zając - ee, chyba się zagalopowałam. W środku nocy wytaszczył mnie na spacer, choć ledwo powłóczyłam nogami. Byliśmy zupełnie sami w samym środku ciszy, wokół nas lustro wody, a nad nami Wielka Niedźwiedzica i Kasjopeja. Oczywiście musiałam wysłuchać referatu astrologiczno-astronomicznego. Przeżyłam jakoś, bo byłam wtulona w jego ramiona, on głaskał moje włosy i się mądrzył, a mnie było tak dobrze. Boże, jaka cudowna jest wolność.

I tylko jedna myśl zakłócała ten cudowny spokój. Dobijała się do mojej głowy jak nieproszony, natrętny gość - łup, łup, łup: jutro trzeba wracać. O jeden spacer wcześniej, gdy byliśmy w lesie (ja oczywiście wybrałam się w szpilkach i pończochach) chcieli mnie zeżreć

komary. A on bronił mnie jak Don Kichot swej Dulcynei. Ale czując, że przegra, zarządził odwrót. Więc wróciliśmy i postanowiliśmy zjeść kolację. W blasku świec, na stole wdzięczyła się do nas butelka szampana i szeroko uśmiechał się martwy pstrąg. A Wymyślony siedział niebezpiecznie blisko mnie, bezwstydnie głaszcząc mnie po udzie i wpatrywał się we mnie jak w święty obrazek. Nawet się przestraszyłam, bo przyszło mi do głowy, że zaraz padnie przede mną na kolana i zacznie się oświadczać. A ja taka nieuczesa. Ale znowu rozsądek zwyciężył nad emocjami. Zamiast prosić o moją rękę, powiedział mi, że mam przepiękne oczy. No to akurat wiem. I jest to jedyna pewność, jaką mam. A następnie zaczął się wykład o starożytnej Grecji. A konkretnie o tym, że największym komplementem, jaki mogła wtedy usłyszeć grecka kobieta od greckiego faceta, to taki, że MA OCZY JAK KROWA.

O mało nie wyplułam całej sałatki. Greckiej zresztą. A on, niezrażony moją dość oryginalną reakcją, kontynuował. Czy widziałam kiedyś krowę? No jasne, zdarzyło mi się parę razy. Ale czy przyglądałam się jej oczom? Szczerze mówiąc, nie, ale zaraz pogalopuję na łąkę, poszukam jakiejś mućki i zajrzę jej w oczy. On mówi poważnie. Ja też. Krowa ma cudne oczy, takie duże, pełne wdzięku, uroku i smutku. I piękne długie rzęsy. Piękne, głębokie spojrzenie. Romantyk jeden. Głęboką to ja za chwilę będę miała, ale depresję. A nie zamierzam w nią wpadać z powodu krowy. I gapił się tak cały wieczór w te moje krowie oczy. Zoolog czy co? W każdym razie oczy mam naprawdę ładne. Skromnisia.

Gdy wróciłam do domu, z braku krowy w okolicy, włączyłam komputer i przyjrzałam się wirtualnej krasuli. I wiecie co? To wspaniałe! One mają rzeczywiście piękne, duże, smutne obwiedzione wachlarzem rzęs oczy. Poważnie. Z tym że ja mam niebieskie. Szaroniebieskie. Mam szaroniebieskie oczy jak krowa. Co za radość!

Rano obudziliśmy się w pościeli pełnej czerwonego pierza. Po krótkim dochodzeniu ustaliliśmy, że to z mojej fikuśnej, nieprzyzwoitej bielizny.

Pióra sypały się ze mnie jak z oskubywanej kury.

Wracaliśmy z mocnym postanowieniem: więcej takich wspólnych wyjazdów i nigdy więcej bielizny z piórami. No nie! Wymyślać takie bzdury przy moim racjonalizmie???

Idę do babci. Świetnie stawia tarota. Kiedy akurat nie reanimuje dziadka. Potrzebuję psychiatry. Co ja opowiadam? TAROTA???. Nie mogę tak dłużej żyć. Czuję się jak narkoman. Prawie każde spotkanie z Wymyślonym rozpoczynam od złożenia oświadczenia, czego to więcej nie będę robić, na co on dostaje ataku śmiechu, bo jeszcze nigdy nie udało mi się dotrzymać deklaracji. A potem dodaje: „No, pokokietuj mnie jeszcze troszkę”. Na co ja, dotykając prawą ręką swojej szyi, a lewa w tym czasie ruchem posuwisto-zwrotnym przesuwam

po stole kieliszek z winem, mówię szczerze zdziwiona: „Ja? Przecież wcale cię nie kokietuję!”.

#### POSTANOWIENIA Zuzanny Maks:

Więc od dzisiaj solennie sobie postanawiam, że NIE BĘDĘ: - dzwoniła do niego pierwsza, - dzwoniła do niego osiem razy dziennie, - mówiła, że go Kocham, - marudziła, - wyjadała jogurtu końcówką długopisu, bo z lenistwa nie chce mi się iść po łyżeczkę, - po kryjomu żarła Nutelli, zwłaszcza w nocy, - płakała przez faceta, - przejmowała się pierdołami, - odchudzała się (skreślam po namyśle), - piła martini (jak wyżej), - zmuszała go do wyznań, - reagowała na głos sąsiada wołającego swojego psa, - ważyła się dwadzieścia razy na dobę, - chodziła spać o dwudziestej (zasypiam przed Amelką), - miła dla tych, którzy są niemili dla mnie, - wydawała tyle pieniędzy, - odwiedzała sex-shopów i hipermarketów, bo tracę czas i forszę - zadrezczała się myśleniem, czy mnie kocha, - wyładowywała złości na innych, - zaniebdywała sobie (duchowo), - gadała z Ewką półtorej godziny przez telefon, - gotowała smacznych rzeczy, bo mnie korci - piekła ciast (powód ten sam), - wysyłała trzystu SMS-ów w miesiącu, - oglądała: „Rozmów w toku”, „Big Brothera” i „Gladiatorów” - nieszczęśliwa.

Ale za to od dzisiaj BĘDĘ: - nadal się odchudzać, - wyniosła i chłodna, - panowała nad emocjami, - mniej spontaniczna, - bardziej pewna siebie, - mądra i inteligentna (???), - gardziła wszystkim facetami na świecie (nawet Pierce'et Brosnanem), - mniej nerwowa, - KONSEKWENTNA (ojojjoj!!!), - mniej snobistyczna, - mniej naiwna (choć może być ciężko), - wyrozumiała dla Domniemanej, - walczyła o kanapki w łóżku, - udawała, że wcale mi na nim nie zależy, - częściej dzwoniła do znajomych, - codziennie rozmawiała z Amelką o jej kłopotach, - mniej krzyczała, - bardziej tolerancyjna dla znieawidzonych ugrupowań politycznych, - odpowiedzialna, Krucbosc forcelany - uprawiała jogging, - wykonywała przynajmniej 20 „brzuszków” dziennie, - oglądała więcej programów publicystycznych, - szczęśliwa.

#### Niedzielnny poranek.

Spokojnie schodzę do kuchni przygotować śniadanko, włączam komórkę, bo a nóż widelec będzie jakaś wiadomość Wymyślonego. I rzeczywiście. Po chwili pika. SMS. Czytam i nogi się pode mną uginają: „Bądź dzisiaj przed McDonalodem. Przynieś 1 000 000 USD. Inaczej powiem prasie”. O mało ducha nie wyzionęłam. Ale szybko zaczęłam myśleć. I 18 razy przeliczyłam zera. Trochę się uspokoiłam. Jeden milion dolarów amerykańskich. To musi być głupi żart. Który szantażysta domagałby się tak absurdalnie wysokiej kwoty? Chociaż czubków nie brakuje. Myślę dalej, aż mi się grzeją zwoje mózgowie. Czy jest numer nadawcy? Jest.

To na pewno żart. Dzwonię. A to odzywa się Kaśka. Ta od grzybicy. Radośnie szczebiocząc, pyta, czy, ha! ha! ha!, dostałam od Jarka wiadomość. Dostałam, jasna cholera, dostałam. Jak i również zawału mało co nie dostałam. To się nazywa poczucie humoru. Powinnam się tego spodziewać po historii z piwem. Ale i tak ich lubię. Bardzo. Teraz także za to, że ten SMS okazał się być żartem. Ale co się strachu najadłam! A jak mi się ręce trzęsły! Jak alkoholikowi na odwyku. Sumienie mam nieczyste czy co?

Chyba się zastrzełę. Najpierw nie mogę spać po nocach i snuję się po domu niczym biała dama, a potem zasypiam. Dzisiaj o mało Amelka nie spóźniła się do szkoły. Ale udało się. Mogłabym iść do wojska. Pobudkę mam opanowaną. Gorzej z makijażem. Nie da rady. W pięć minut zbiec do kuchni, zrobić śniadanie, kanapki do szkoły, naszykować małej ciuchy, zrzucić na dół tornister, ubrać się. Nie wyrabiam się z makijażem. Chociaż kiedyś próbowałam. I efekt był żalorny. Jedno oko fioletowe, drugie różowe, jedno z tuszem, drugie bez. Krzywe usta. Poza tym takie pospieszne malowanie rzes grozi trwałym kalectwem, gdyż w ferworze walki można sobie wydłubać oko szczoteczką.

Kiedy już Amelkę wyekspediowałam, weszłam do jej pokoju. I przeraziłam się. Pomyślałam, że to przecież niemożliwe, żeby ktoś się do nas włamał w ciągu ostatnich 10 minut. Taka rozkojarzona jeszcze nie jestem, żeby nie zauważyć włamywacza. A wyglądało jak p° włamie albo rewizji.

Drzwiczki wszystkich szaf pootwierane, w promieniu sześciu metrów walające się wokół ubrania. To po prostu niewiarygodne, jak w tak krótkim czasie można tak zdewastować pokój. Zupełnie jakby pokój nawiedziło tornado. Ona nie powinna mieć absolutnie żadnych mebli, a ubranie wyłącznie jednorazowe. Papierowe. Albo osobistą pokojówkę.

Byłam w warsztacie samochodowym. Na horyzoncie zaświtała nadzieja na moje auto. Mechanik mocno się do mnie przystawiał, a ma chyba ze 150 lat i pewnie nie ma w domu lustra. Albo nie miał kompleksów. Zaprosił mnie do Szczecina na Wały Chrobrego. Oraz na ognisko. I ryby. Ja w rewanżu zaprosiłam go do psychiatry. Nie zorientowałam się też, czy będziemy piec kiełbaski i łowić ryby na owych Wałach. A nawalony był jak stodoła. I dobrze, bo następnego dnia nic nie pamiętał. Dzięki Ci Ktosiu, co wymyśliłeś napoje wysokoprocentowe.

Ale moje szanse na odebranie samochodu w tym tygodniu zwiększyły się. Znacznie. Pomimo że jako kandydata do wypadu do Szczecina zaproponowałam mojego męża.

Ojej, ojej, ojej! Całkowita kompromitacja. W kwestii feromonów. Wymyślony, wsiadając do samochodu, mówi z odrazą wręcz: „A co to za zapach?”. Milczę jak grób. „Nowe perfumy?”. Ja nic. Niech mnie kołem łamie. Nie przyznam się bez tortur. „Na pewno

były bardzo drogie, ale dla mnie są trochę zbyt intensywne. A może to FEROMONY?” A Zuzia, z pąsem na twarzy i świętym oburzeniem w głosie: „No co ty, skąd ci to przyszło do głowy!!!!???” Wymyślony: „Przecież lubisz eksperymentować”.

Jasna cholera, myślałam że mnie żółć zaleje. Jasnowidz czy co? Tak mnie niecznie podejrzewać! A potem było tylko gorzej. Bardzo się starał mnie nie urazić. Mógł po prostu powiedzieć, że zwyczajnie śmierdzę, choć nie śmierdziałam, tylko ten zapach jest faktycznie bardzo duszący. Nareszcie wiem, na jakiej zasadzie działają te feromony: facet traci dla ciebie głowę, bo nie może oddychać, mózg nie pracuje jak trzeba z powodu niedodolenia i już gościu nie myśli, co robi i chwyta się ciebie (a ty myślisz, że na ciebie leci) jak ostatniej deski ratunku.

Ostatecznie przyznałam się bez tortur. Chciałam się pod ziemię zapaść. Ale koteczek się tylko roześmiał i powiedział, że nie pociągają go ani sztuczne feromony, ani moje najdroższe perfumy, pociągam go TYLKO JA. JA SAMA BEZ ŻADNYCH DODATKÓW Później się obraziłam, bo powiedział, że mam z siebie to spłukać. A jeszcze później się odbraziłam, jak już to z siebie zmyłam. Długo się godziliśmy. Jutro chyba pójde do tego sex-shopu i wyleję całą zawartość buteleczki facetowi na podłogę. Miesiąc będzie musiał wietrzyć sklep. O Jezuniu! Dobrze, że nie kupiłam tej hiszpańskiej muchy! Żadnych eksperymentów!!! Ojej! Za kilka dni mamy rocznicę!!!

Muszę zacząć się leczyć, bo mi głowa wysiada. Poszłam do sklepu. Kupiłam: chleb, owoce, kawę, pepsi i chudy biały ser. Zapomniałam zabrać białego sera. Idę następnego dnia rano: „Przepraszam, zgubił mi się tu chyba ser”. Tak. Znalazł się. Przez 30 minut nawijałam, jaka to jestem kołowata i kupiłam: bułki, mleko, jajka, ciasto i twarożek ze szczypiorkiem i wzięłam zapomniany biały ser. Nie wzięłam twarożku. Zorientowałam się dopiero w domu. Ze wstydu nie wróciłam po niego.

Robię dużo niewytłumaczalnych rzeczy. Zamiast klucza od pokoju, oddaję zdumionej pani kluczyki od samochodu. W środku dnia mówię „dobry wieczór”. Zamiast: „dziura w misce olejowej” mówię: „dziura w misce ozonowej”. Albo może miska w dziurze ozonowej? Niedługo zamiast ręki będę podawała nogę. Czy nie za wcześnie na Alzheimera?

Zachowuję się też nieobliczalnie. Ostatnio, w przyływie głupoty zapewne, zademonstrowałam znajomym (tym od seksu z piwem), mój wibrator. W obecności mojego męża. Śmiechu było co niemiara. Panowie zajęli się analizą techniczną urządzonego. A jak już się wszyscy przestali śmiać, to zrobiła się dziwnie ciężka atmosfera. Znajomi zwinęli się do domu podejrzanie szybko, a mój mąż z rozpaczy upił się w trupa. Poczul się publicznie skompromitowany. Jestem wyjątkowo beznadziejna. Mam koszarne huśtawki nastrojów.

Za wcześnie na Alzheimera. Za wcześnie na klimakterium. Za późno na psychiatrę. A jednak. Zaryzykowałam. Odwiedziłam neurologa. Od czegoś trzeba zacząć. Wchodzę do gabinetu lekarskiego, za biurkiem miła brunetka, na oko w moim wieku.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Co się dzieje? - pyta pani doktor.

- Nic szczególnego. Zwyczajnie. Jestem nienormalna. Przyszłam po skierowanie na zamknięte leczenie - odpowiadam z miną poważną jak kondukt żałobny. - Wie pani, pani doktor, słyszę głosy, dochodzące z wyłączonego telewizora, a w mojej cukiernicy mieszkają krasnoludki. Miła brunetka dostała ataku śmiechu. Przestraszyłam się nie na żarty. Bo przez blat biurka dostrzegłam jej zaawansowaną ciążę. A jak mi tu nagle zaczniesz rodzić? Jak jej odejdą wody płodowe?

To niby jak mam odebrać poród, mając na nogach buty na 15-centymetrowym obcasie (to taka terapia antyplatfusowa) i kostium od Diora? Trudno, gabinet mieści się na parterze. Nawieję oknem, a z samochodu wezwę pogotowie. Tylko kto mi w obecnej sytuacji wypisze receptę na tabletki antystresowe?

- Pani trzyma ten brzuch, bo dziecko wyleci - poradziłam rzeczowo. Uff, wszystko w porządku. Brunetka, trzymając obiema rękami brzuch, uspokoiła się i uśmiechnęła, tym razem przepraszająco.

- Proszę powiedzieć coś o sobie - strzela do mnie od razu jak z kałasznikowa. Zero litości, ślepaków, śrutu albo kulek wypełnionych farbą jak w paintbalu.

- Pani doktor. Jeśli miałabym opowiedzieć cokolwiek o sobie, to pani w międzyczasie zdążyłaby urodzić dziecko, posłać je do przedszkola, szkoły, Pierwszej Komunii Świętej, gimnazjum, liceum, na studia, a być może także do wojska (syn będzie, prawda?).

- Prawda. Ale zaryzykuję. Niech pani mówi.

No to powiedziałam. Pamiętając jednocześnie, że to neurolog, a nie psychoanalityk. Przepisała mi xanax, którego cudowne działanie zdążyłam już przetestować w połączeniu z piwem. Rewelacja. Dwie tabletki, butelka Redd'sa i odlot gwarantowany.

Idę na ślub. Nienawidzę tego. Wolę już pogrzeby. Tam przynajmniej wiadomo, co czeka głównego zainteresowanego, czyli nieboszczyka. A taki, ślub, dajmy na to? Nic dobrego z tego nie może wymknąć.

Ale uwielbiam za to wieczory panięskie. Mam doświadczenie w tej dziedzinie. Kilka lat temu wychodziła za mąż moja przyjaciółka. Zaprosiła nas chyba z sześć. No to oczywiście rzuciliśmy się na przystojniaczka, który miał nam zatańczyć na golasa. Zanim przyjechał,



wszystkie zdążyłyśmy się wstawić jak messerschmitty, bohaterka wieczoru umierała z przepicia w łazience, a my próbowałyśmy ją cucić, bo to w końcu numer roku, a ona nieprzytomna. Niech sobie ostatni raz popatrzy na gołego faceta innego niż jej narzeczony. Przyjechał kolega, ale był mocno zestresowany, no to mu, trach - kilka głębszych prosto do gardła. Niech się chłopak wyluzuje.

Jak się już wyluzował, to dopadł do magnetofonu. Miał swój. I kasetę też. I się zaczęło. Sześć narąbanych pańienek i jeden średnio narąbany striptizer. To się nie mogło skończyć dobrze.

Najpierw wzięłyśmy go w krzyżowy ogień pytań. Nurtowało nas głównie to, czy on się przy tym tańcu podnieca. I przesłuchałyśmy go na okoliczność erekcji. Twierdził, że się nie podnieca. Jak później mogłyśmy się przekonać - kłamał, obrzydliwiec. Albo nie. Bo obrzydliwe to byłyśmy my. Nie chciałyśmy być gorsze i tańczyłyśmy razem z nim. To znaczy - też się rozebrałyśmy. Z tą różnicą, że nikt nam za to nie zapłacił. Rozbierałyśmy się za friko. Na moje szczęście byłam akurat świeżo schudnięta.

Więc stwierdziłyśmy obecność erekcji ku naszemu zadowoleniu, zapłaciłyśmy koledze i wypchnęłyśmy na klatkę schodową, jako że był już kompletnie nieprzydatny. Panna młoda zaczynała nam trzeźwieć, więc trzeba było coś wykombinować. Postanowiłyśmy o drugiej nad ranem odwiedzić dyskoteki. Zamówiłyśmy taryfę z przebrzydłym zбочonym kierowcą, który w efekcie usiłował wraz z kolegą wprosić się na naszą imprezę. Myślał, że mu się trafi darmowy seks. Faceci to świnię, o czym przekonywali nas przez cały wieczór oraz noc.

Uwielbiam wieczory panieńskie. Fajne w nich jest to, że wszystkie dziewczyny są tak pijane, że żadna następnego dnia nie pamięta, co wyrabiała. I nie wiadomo, czy się wstydzić, czy nie. O zesz ty w mordę! Jeśli my się tak świetnie bawimy (ale nie uprawiamy seksu, bo jesteśmy zbyt przyzwoite), co w tym czasie robią nasi faceci na wieczorze kawalerskim?

Pies zrobił piękną, dorodną, śmierdzącą kupę dokładnie przed drzwiami mojej sypialni. Fuj! Czym ja karmię te zwierzaki! Zdecydowanie muszę zmienić im menu. Ledwo udało mi się ją wyminąć. Kotka zsikała się na biurko Amelki. Dziwne, bo Nijak - tak ma na imię moja kotka - zazwyczaj oblewała porozrzucane koszule mojego męża. Teraz z rozkoszą sika na mój modem.

Dach mi przecieka. Woda spływa po mojej własnoręcznie położonej tapecie. Prawie wszystko w domu jest dziełem jeśli nie moich rąk, to z pewnością zdolności organizacyjnych. Szczególnie dobrze mi szło trzymanie za twarz robotników: dekarzy, tapeciarzy, malarzy,

glazurników, hydraulików. Kupiliśmy dom, ale to ja miałam nadzorować prace wykończeniowe, jako że „kawał ze mnie suki”. Koniec cytatu. No to nadzorowałam.

- Zasada pierwsza: żadnych zaliczek.

- Zasada druga: żadnego spoufalania się.

- Zasada trzecia: nie spuszczać z oka.

Terakota do kuchni kupiona, klej przytachany, glazurnik też. - No to jadę, panie Zenku - mówię do glazurnika, fachowca co się zowie.

- Szefowa, spokojnie. Ja tu zaraz, szybciułko położe płytuczki, tak że szefowa kuchni nie pozna. Raz dwa i gotowe. Coś nie miałam zaufania do pana Zenka i zrobiłam nalot za jakiś czas.

Raz dwa i było gotowe. Pan Zenek:

- No i jak szefowa? Szybciołrem, nie? Ładnie?

No. Bardzo... ładnie. Pięknje, po prostu. Jaka szkoda, że do góry nogami. Ja w krzyk, że powinno być w pionie, a jest poziomo, a fachura na to:

- Szefowa, ale spokojnie. Się zdejmie i się położy jeszcze raz.

Się zdejmie! A kto zapłaci za zepsute kafelki? Wywaliłam pana Zenka. Wynałazłam pana Tadzia. Fachura. Dobra. Robi łazienkę. W połowie roboty, gdzieś w weekend, złamał rękę. Na szczęście nie u mnie. Robota stoi. Wraca z tą złamaną wyleczoną ręką i robi dalej. Prawie skończone, jeszcze trochę podłogi do zrobienia. Dzwoni szef pana Tadzia, że pana Tadzia samochód potrącił na przejściu dla pieszych, vis a vis siedziby pogotowia ratunkowego. Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Pan Tadzio pyta, czy będę czekać na niego z robotą, bo właściwie to nic mu nie jest - żona zamortyzowała uderzenie. I za jakiś tydzień to on może przyjść. Mówię, że zaczekam, pechowy ten pan Tadzio.

Po jakimś czasie okazało się, że nic mu nie było i ręki też nie złamał, tylko zasuwał na dwa fronty - u mnie i u kogoś innego jednocześnie. Przychodzi i kończy łazienkę. Nawet ładnie. Wiszę jego szefowi dwie stówy, ale najpierw on nie ma czasu po nie przyjechać, a później ja. Mijamy się. Wracam do domu i nie zapalając światła w łazience (z braku światła), odkręcam kran w umywalce, co mi ją pan Tadzio montował. Woda leje się prosto na podłogę. Macam: kurde, nie ma umywalki. Lecę po latarkę.

Patrzę, a tu nie ma też bidetu oraz muszli klozetowej. Szczęście, że chciało mi się siku, inaczej mogłabym się mocno poturbować. Myślę: kosmici ukradli mi kibel. Wieczorem dzwoni szef pana Tadzia, że wymontował mi umywalkę i bidet za karę, że mu nie zapłaciłam. Ale mi to odda, łaskawca, jak mu oddam dwieście złotych. - A przepraszam bardzo - pytam - jak pan wszedł? Normalnie, ma komplet kluczy, które mu nieopatrznie powierzyłam, jak

pracował pan Tadziu. Czyli się bezczelnie wpakował do mojego domu na pasówkę, włamał się podczas mojej nieobecności. Czuję, że się robię purpurowa ze złości. Dzwonię do gazety i wszystko opowiadam. Zastanawiam się nad policją. Przecież to normalny regularny włam. Ale ostatecznie dochodzę do wniosku, że nie będę rozśmieszać przepracowanej władzy.

Przed panem włamywaczem pracowała 12-osobowa ekipa dekarzy. Z piwnicy zginęło mi wszystko, co kupiłam sobie do domu, czyli: lampy stojące, składane krzesła, stoliki nocne, małe grafiki, a nawet kubki do zębów. Pół Ikei mi ukradli. Dach zrobili tak, że cieknie. A przy rozliczaniu wyszło cztery razy więcej niż się spodziewałam, bo pan zapomniał wspomnieć o paru drobiazgach.

Jak przyjechali montować okna, to mi pół ściany rozkuli, bo wymiary brali chyba po pijaku i okna zrobiły im się za duże. Klej do glazury i terakoty zwoziłam tonami, chyba go jedli zamiast kanapek. Od zapachu środka do konserwacji drewna wylądowałam na oddziale ostrych zatruc. Ledwo się wylizałam.

Po szczęśliwym mimo wszystko zakończeniu prac związanych i wykańczaniem domu, adresy wszystkich hurtowni budowlanych miałam w małym palcu. I czułam się tak, jakbym własnoręcznie budowała ten dom, cegła po cegle. Byłam wykończona. Psychiczni i fizycznie. A ostatnio jak malowałam elewację i niebezpieczni lawirowałam na parapecie okna trzeciego piętra, sąsiedzi podglądali zza firanek, a potem wylegli przed domy, zebrali się w ogródkach i pewnie robili zakłady, kiedy spadnę. Dobrze jest mieć ludzkich sąsiadów.

Uwielbiam się umartwiać. W związku z tym obejrzałam jakiś program o zgwałconych kobietach. Nawet mnie nie zdziwiły śmieszni niskie wyroki, jakie zapadają w sprawach o gwałt. Przecież takie procesy przebiegają tak, jakby oskarżoną w sprawie była ofiara, a nie gwałciciel. To kobieta jest winna. Musiała go przecież jakoś sprowokować, dziwka jedna. Takemu gnojkwowi powinno się smażyć jajka na wolnym ogniu, przywiązawszy go do słupa wysokiego napięcia. Oraz jednocześnie polewać wodą i posypywać solą. A potem mu je obciąć tępym nożem i wepchnąć do gardła. Na pamiątkę.

Nie stać mnie na obiektywizm w tej kwestii. Bo kiedyś sama to przeżyłam. I choć od tamtej pory minęło już wiele lat, nadal się z tego lecę. I wciskam te wspomnienia w najodleglejszą część pamięci, a im bardziej wciskam, tym mocniej pamiętam. Mechanizm wyparcia nie zadziałał. Tłumię to w sobie, nie chcąc dzielić tego absolutnie z nikim.

Odprowadzałam Wymyślonego na dworzec i w oczekiwaniu na spóźniający się pociąg gawędziliśmy sobie na peronie. Dziwnie przyglądał się mojej spódnicy. Nagle, zebrawszy się pewnie w sobie, pyta: „A co ty tu masz?”. Myślę, że się znowu skompromitowałam, bo dojrzał moją agrafkę, którą miałam zapiętą spódnice, jako że mi się urwał guzik. Tydzień

temu. Podążyłam wzrokiem za jego ręką, która jednak ominęła miejsce z agrafką, a wyśladowała nieco poniżej pępka. Nadal nie wiem, o co mu chodzi. Wymyślony pyta: „Spódnica ci się popruła i sfastrygowwałaś?”. Jezus Maria! Gdzie? Patrzą, patrzą i dociera do mnie. Spódnica jest taka śmieszna, że w ramach innowacji ma ozdobne szwy wzdłuż paska oraz w miejscu gdzie czasami bywa suwak. Tak dla zabawy. Ale, uff! Nie zauważył agrafki. Wymyślony dąży dalej po moich wyjaśnieniach: „Powinnaś iść do sklepu i powiedzieć, że sprzedali ci wybrakowaną, sfastrygowaną spódnicę”. Ja na to: „Jasne, dopiero wzięliby mnie za blondynkę”. Jeszcze na stopniach wagonu, gdy pociąg już ruszał, żartowniś przesłał mi całusa i powiedział: „I pamiętaj skarbie, oddaj tę spódnicę”.

W ramach pielęgnowania więzów rodzinnych odwiedziłam rodziców. Aż dziw bierze, że od kiedy wyszłam za mąż i wyfrunęłam z rodzinnego gniazdka, widuję ich częściej niż w czasach, gdy z nimi mieszkałam. I lepiej się dogadujemy. Ja traktuję ich jak najlepszych znajomych, a oni martwią się o mnie tak, jakbym miała 12 lat. Muszę się codziennie meldować przez telefon, a jak nie daj Boże nie zadzwonię, to na drugi dzień odbieram alarmujące telefony od roztrzęsionej mamy i wpienionego ojca. Sprawdzają, czy jeszcze żyję.

Dzisiaj, ledwo zdążyłam przekroczyć próg domu rodziców, mój szalony ojciec radośnie zawołał:

- Zuzka! Pamiętasz tego gnojka, co mi tu motorem w te i wewte zapierdalał i kurzył?

- Pamiętam. A pewnie, że pamiętam, jak zapierdalał. Dojechać ostatnio nie mogłam, zanim ten syf nie opadł. A co?

- A już nie będzie zapierdalał. Porąbałem mu ten motorek. Spojrzałam pytająco na mamę.

- Porąbał, porąbał - potwierdziła żona mego ojca, matka moja.

- Gratuluję! A co on wam w odwecie porąbał?

- Nie w odwecie, ale za karę. Trzy metry drewna na opał. I jeszcze poukładał pod daszkiem. No sama zobacz, jak równo.

- Sam z siebie? A jego motor?

- To zwykła emzetka była, mała strata. A czy ja wiem, że tak sam z siebie? Psy go trochę zmotywowały.

Trzy rotwajlery też by mnie zmotywowały.

Mój ojciec ma dar przekonywania i doskonałą pamięć. A jak chce mnie skompromitować, to publicznie opowiada historię z mego dzieciństwa. Miałam wtedy podobno cztery latka i już wówczas byłam bardzo ciekawska i bardzo gościnna. Jak mi się nudziło, to robiłam w mieszkaniu rewizję, zawsze zakończoną sukcesem: raz znalazłam całą

ogromną papierową torbę z prezerwatywami marki Eros. Oczywiście natychmiast chciałam wiedzieć, co jest w tych kolorowych papierkach. Tatuś wyjaśnił, że to guma do żucia dla dorosłych. Przy najbliższej okazji, gdy w domu było pełno gości, wdrapałam się na regał i jak na dobrą gospodynię przystało, przyniosłam torbę z gumami do żucia do stołu i zaczęłam częstować. Jedyne intuicja mogła podpowiedzieć mi, że należy zacząć od mężczyzn. Wyobraźcie sobie czterolatkę z kucykami, która podchodzi z uroczym uśmiechem do komendanta milicji, wyciąga w jego stronę torbę z rzeczonymi gumami i częstuje gościa. A gość, no przecież nie odmówi dziewczynce, zwłaszcza, że miał ochotę pożuć wkłada rękę i wyjmuję prezerwatywę marki Eros. Wniosek: nie należy okłamywać dzieci.

A jak już troszkę podrosłam, to i zainteresowania mi się zmieniły, jednak cały czas krążąc wokół seksu: znalazłam kajdanki ojca i tuż przed wyjściem do szkoły postanowiłam je przymierzyć. Skułam się regulaminowo i wpadłam w histerię. Bo kluczyków nie było, a ja się do kaloryfera przykułam. Udało mi się jedynie dosięgnąć do telefonu i zadzwonić do taty, błagając, by przyjechał i mnie rozkuł. Do szkoły nie poszłam. Tata napisał usprawiedliwienie: „Proszę o usprawiedliwienie nieobecności córki mojej, Zuzanny, gdyż w trakcie wychodzenia do szkoły, przypadkiem przykuła się kajdankami do kaloryfera”.

Ale gdy chce mnie całkiem już pograżyć, opowiada, jak podglądałam go w łazience przez szparki w wywietrznikach. Oczywiście mnie namierzył, bo za głośno oddychałam. Z wrażenia chyba. Jak już mnie namierzył, to mi kazał iść do księdza i wyznać grzechy. Taki mądry, taki cwany, a zapomniał, jak znalazłam w szafie zdjęcia pornograficzne? Głównie penisy w zbliżeniach? Bezcelnie nakłamał, że to karty do gry dla dorosłych. Niech Bogu dziękuje, że nie postanowiłam zaproponować gościom gry w makao. Tymi kartami, zaraz po poczęstunku prezerwatywami.

Na Pierwszą Komunię Świętą podarowali Amelii między innymi Wielką Encyklopedię PWN. Mój tata na pierwszej stronie napisał dedykację: „Kochanej Amelce od babci i dziadka. PS. Bardzo ważne. Jeżeli zapamiętasz znaczenie haseł zawartych w tej księdze, nie będziesz musiała w przyszłości trudnić się lichwiarstwem ani likwidowaniem zbędnych na tej Ziemi śmieci”.

Zadzwoniła do mnie zaryczana Ewka i powiedziała, że kot jej umiera. Jechałam jak do pożaru. Nie zdążyłam. Umarł. Zastanawiające, że bardziej wzrusza mnie los zwierząt niż ludzi. Kupiłam piwo i dwie bombonierki na pocieszenie, a kotek leżał nieżywy w pudełku po butach. Piłyśmy za spokój jego duszy. Za godzinę przyszła Agnieszka - kolejna pocieszycielka. Przyniosła butelczynę. Za kolejną godzinę przyjechał tata Ewki w celu zabrania zwłok umarniętego kota. Nie przyniósł butelczyny, lecz reklamówkę na kotka.

Wszystkie już byłyśmy nieźle wstawione, a w szczególności moja Amelka, i coraz bardziej zrozpaczone. Z wyjątkiem Amelki, bo ona upiła się piwem jabłkowym na wesoło.

Jak tata zabierał trupka, zawyłyśmy jak syreny alarmowe. Rozpaczałyśmy tak, jak cały naród po śmierci Stalina, z tą różnicą, że nasz smutek był prawdziwy.

Plaga jakaś. Czarna seria. Ledwie postawiłam nogę za progu mieszkania, usłyszałam dzwonek telefonu. Gdy już udało mi się zlokalizować źródło dźwięku, czyli słuchawkę, akurat przestał dzwonić „Profilaktycznie poczekam” - myślę pragmatycznie. Dzwoni. Odbieram.

- Cześć. To ja. Kasia.

- No słyszę. A tak na przyszłość, to wiedz, nie musisz się przedstawiać. Znam twój głos od 25 lat. Chociaż przyznam, że dzisiaj brzmisz nieco inaczej. Stało się coś?

- Tak. Coś okropnego. Hitler nie żyje!!! - wydusiła z siebie Kaśka i rozbeczała się. O kurde! Nie jest dobrze. Rany Boskie, a myślałam, że to ja potrzebuję lekarza.

Cholera! Co robić. Dobra. Wybadam grunt.

- Kasiu - mówię pojednawczo anielskim głosem, takim, jakim gadają psychiatrzy do swoich pacjentów. - A kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Dzisiaj.

- Aha... I naprawdę wcześniej nikt ci nie powiedział? Nie czytałaś nigdzie? Nie obilo ci się o uszy? Przecież to jednak, było nie było, dosyć znany osobnik.

Ładne rzeczy. Mówię: „osobnik”, żeby nie powiedzieć „człowiek”.

- A gdzie miałam czytać? - trochę przytomnieje Kasia.

- No jak to, gdzie? W książkach historycznych. Mało to o tym pisali? W radiu o tym mówili, w telewizji. I nawet pełno tego w Internecie.

Tragicznie, tragicznie. Ratunku. Co robić. Ona ma kompletną śrubkę jak można nie wiedzieć, że Hitler nie żyje. Przecież on nie żyje od ponad 60 lat!

No tak, ale nadal muszę być ostrożna. Przecież to moja przyjaciółka.

- Nie gadaj Zuza! W radiu mówili? I w telewizji? I nawet w Internecie? Jak to możliwe? A skąd się dowiedzieli?

- Słuchaj, przecież o tym wiedzą wszyscy na świecie.

- Wszyscy? A jakim cudem? Przecież to się stało dzisiaj rano.

- Kasiu, może to cię zdziwi, ale Hitler umarł prawie 60 lat temu. A nie dzisiaj rano.

- Chyba ja wiem lepiej - lekko obruszyła się Kasia.

Oczywiście. Ona wie lepiej. Lepiej to ja zaraz do niej pojedę, zanim będzie za późno.

- Kasiu, a w ogóle to dlaczego ty się tym tak przejęłaś?

- Jak to dlaczego? Przecież to Jarka ukochany!

Poddaję się. Wydaje ci się człowieku, że znasz kogoś na wylot, a tu taka niespodzianka! Zawsze podejrzewałam, że Jarek nie jest zupełnie normalny, kto zresztą jest, ale żeby kochał się potajemnie w Adolfie?

- I dlaczego twierdzisz, że Hitler umarł dzisiaj rano?

- Chyba ja wiem lepiej. Na rękach mi umierał.

- Hitler? Umierał na twoich rękach? (Łapię za komórkę i dzwonię na pogotowie. Po chwili zmieniam zdanie w obawie przed kompromitacją).

- No, mówię ci. Taki malutki był. I bezradny.

Fakt, podobno nie był zbyt wysoki. I taki jakiś chucherkowaty. Wąły i chorowity. Ale żeby od razu bezradny? Raczej nie.

- Oooo, od razu bezradny! A ilu ludzi zagazował?

- Kto zagazował?

- Jak to kto? Ten twój Hitler!

- Oszalałaś chyba. Jak maleńki kanarek mógł kogokolwiek zagazować?

- Jaki kanarek? O czym ty mówisz?

- A ty? Bo ja o kanarku Jarka. Mówiłam ci przecież, że Hitler nie żyje. O rany! Zapomniałam na śmierć, że oni mają kanarka Hitlera.

Czyli jednak nic jej nie jest. Jak się cieszę!

Pan Bóg mnie skarał. Postanowiłam kontynuować tradycję rodzinną w trzecim pokoleniu linii żeńskiej i zachorowałam. Mam nowotwór. Piersi. To teraz mam jak w banku, że jak mi się przeczuci do mózgu, to umrę w błogiej nieświadomości mojego stanu. A chęć zmiany programu w telewizorze telefonem komórkowym wytłumaczę sobie zwyczajnym roztargnieniem. Los wywinął mi numer i obdarował guzem wielkości śliwki.

- Proszę pani - przemówiła do mnie uroczyście pani doktor, która robiła mi USG. - Ma pani guz wielkości śliwki.

A ja, lubiąc jasne sytuacje, spytałam:

- Może pani sprecyzować, o jaką konkretnie śliwkę chodzi? Do wyboru mam: węgierka, łowicka, ulena, mirabelka.

Okazało się, że mirabelka. Niedojrzała mirabelka.

Paweł, mój onkolog, powiedział, że tak mi wytnie, że nie będzie śladu i będę mogła robić striptiz. Chyba się załamalam. Nie wiem, jak się czuję. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy otworzyłam puszkę Pandory. Wczoraj, gdy jechaliśmy z Wymyślonym samochodem, on zapytał, o której się spotkamy. Ja na to, że nie wiem, bo jadę na badania do szpitala.

Wymyślony: zadzwonię za godzinę. Pytam go, po co? Przecież mnie nie kocha. I ja już dlatego nie mogę się z nim spotykać. Wymyślony: „Jezus Maria! Kiedy wreszcie dostaniesz ten okres, bo już nie wytrzymuję tego marudzenia”. Ja mu na to, że nie zadzwonię. Stajemy na światłach. On mówi: „Dziewczyno, jaka ty jesteś głupia”. Otwiera drzwi i wysiada na skrzyżowaniu. Łzy jak grochy płyną mi po twarzy, ale jestem twarda. Zabójczym wzrokiem wpatruję się w moją komórkę i walczę ze sobą, żeby natychmiast do niego nie zadzwonić. Jadę do tego cholernego szpitala. Pik, pik - masz wiadomość. Czytam, próbując nie wjechać w tramwaj: „Bo się bardzo martwię o Ciebie”. Odnotowuję kolejny postęp w liczbie znaków w tekście SMS-a. Ten dzisiejszy to prawdziwy rekord. Serce mam jak kamień. Piszę bezczelnie: „Dlaczego?”. Pewnie, nie ma lekko. Niech wie, jak to boli. Niech się trochę wysili, wytłumaczy.

Pik, pik, znowu wiadomość: „Bo mi na Tobie zależy”. O nie, mój kochany. Tak łatwo to ci nie pójdzie. Piszę: „Nie potrzebuję litości lecz miłości. A tego mi nie możesz dać. Więc sam rozumiesz. Kocham Cię”.

Cóż za wyrachowanie z mojej strony. Czysta perfidia. I wyłączyłam telefon. Niech się pomęczą. Po godzinie wychodziłam ze szpitala z wynikami badań i wstępnie ustalonym terminem operacji. Zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że jadę do domu. Zrobiłam sobie kąpiel, wydoiłam butelkę piwa i pół butelki wina, i owinięta w ręcznik położyłam się do łóżka. Wymyślony przyjechał po dwudziestu minutach. Leżałam lekko zamroczona alkoholem i wynikami. Oczyma wyobraźni widziałam siebie z jednym cykiem. Lubie panikować. Śmiechu warte - bogini seksu z jednym cykiem. Rozebrał się i bez słowa położył obok mnie, mocno przyciągając mnie do siebie. I jak już mnie o mało nie udusił, przytulając, zapytał, co się dzieje. A mnie tylko łezka za łezką. Na podusie, kap, kap. Wymyślony: jest aż tak źle? Nie wiem, czy jest źle. Dopóki się tego gówna nie wytnie i nie zbada, nie wiadomo jak jest. Podobno nie jest źle. Na oko.

A po operacji budzisz się bez piersi. Koszmar. Wolałabym umrzeć. I żadnej chemioterapii. Włosy mi będą wychodziły garściami. Łysa bogini seksu po mastektomii.

Kochaliśmy się po cichutku, delikatnie, spokojnie. Cały czas powtarzał, że jest i będzie przy mnie. I ze mną. I we mnie.

Ale nie powiedział, że mnie kocha. Skubany. Tylko mówił, że jestem głupia. Głupia, głupia, głupia jesteś.

Dzisiaj znowu powiedziałam, że powinniśmy się rozstać. A on na to, że na pewno polubi tę moją bliznę, której i tak nie będzie widać. I może będzie działała na niego jak



afrodyzjak. I żeby przestała marudzić. Bo rzuci we mnie twarozkiem. Wariat, strzelił serkiem z widelca jak z procy. We mnie. A później mnie czyścił w łazience.

Podobno wyzwalam w nim agresję. Później spytał, czy rozstałabym się z nim, gdyby miał tylko jedno jajko. Albo był impotentem. Kocham go. Za to, że tak bardzo nie pozwala mi odejść. Zapytał, dlaczego nie zrobię sobie tablicy rejestracyjnej do samochodu z moim imieniem. Ja na to, że może być tylko pięć znaków i moje imię się nie zmieści. Wymyślony: zmieści - Zuzuś. Akurat pięć.

Moją metodą walki z nowotworem stało się nadużywanie słowa nowotwór. Najpierw nie chciało mi przejść przez gardło. Teraz powtarzam je jak mantrę. Delektuję się nim. Rozsyłałam znajomym informacje o mojej chorobie w tonie żartobliwym, pisząc: „Cześć. Mam raka”, jakbym mówiła: „Cześć, wiesz, katar mam”.

Wiem, co robię. Zrzucam na moich przyjaciół część mojego bólu. Stosuję swoistą psychoterapię. To nie w porządku wobec nich. Nie wszystkim mówię. Ci, przed którymi to ukrywam, chyba nie są moimi przyjaciółmi.

Koleżanka w odpowiedzi na mój SMS napisała: „Jeśli w tym sezonie jest branie na Amazonki, to ja też w to wchodzę”.

Od kilku dni budzę się w środku nocy zlaną potem. Budzi mnie ten sam sen: leżę w szpitalu, dochodzę do siebie po operacji, otwieram oczy, dotykam ręką miejsca, gdzie powinna być pierś, a jej tam nie ma.

Prawdziwy koszmar.

Muszę przed samym zabiegiem złożyć oświadczenie na piśmie, że gdyby w międzyczasie okazało się, że coś jednak jest nie tak z tym guzem, to nie wyrażam zgody na mastektomię. Nie dociera to chyba do mnie. Choć w pewnym sensie zdaję sobie z tego sprawę.

Upoważniłam matkę do konta. Uporządkowałam wszystkie zaległe sprawy. Popłaciłam rachunki na pół roku do przodu. Bardziej cenię każdą uciekającą minutę.

Cholera. Pojadło się brudnych owoców i zwracało się całą noc. Wytrzymałam do 12 w południe, a potem pomyślałam, że chyba żołądek wypluję i wezwałam lekarza. Sama bym nawet o tym nie pomyślała, ale Wymyślony mi kazał. KAZAŁ. Ale to bez dyskusji. Dostałam superodlotowy zastrzyk w zadek. Obudziłam się dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Chcę więcej takich zastrzyków. Lekarz z pogotowia powiedział, że powinnam prześwietlić sobie kręgosłup z uwagi na moje dolegliwości (kurde, boli mnie w plecach jak jasna cholera, zupełnie jakbym miała krzyżowe bóle porodowe). No to sobie zrobiłam. I mi wyszło, że jest

tak źle, że mam zrobić tomografię komputerową. Bo mi się szkielet sypie. I niedługo przestanę chodzić.

Wymyślony, zjawiwszy się natychmiast po moim rozpaczliwym telefonie, najpierw na mnie nakrzyczał, że się mazgaję, potem pocieszył, mówiąc, że chyba nie widziałam jego kręgosłupa (fakt - zazwyczaj uwaga skupia się na innych częściach jego ciała), a na końcu się ucieszył, że kupi mi wózek inwalidzki z joystickiem. Posikać się można ze śmiechu.

Wiem, że on to wszystko robi dla mnie. Wygłupia się. Ostatnio, podczas mojego kolejnego ataku marudztwa, powiedział: „Czy nie smucę się, gdy ty jesteś smutna, czy nie śmieję się, gdy ty się śmiejesz, czy nie robię z siebie mały i durnia, gdy widzę, że masz podły nastrój, żeby cię pocieszyć? Czy nie jestem przy tobie każdego dnia, nie trzymam cię za rękę, nie przytulam, gdy ci smutno i źle? Czy twoje cierpienie nie staje się moim? Obdarzam cię najlepszymi, najgłębszymi uczuciami, jakie mam, a ty wciąż czepiasz się słów. Słowa niewypowiedziane do niczego nie zobowiązują. Mnie, nie ciebie. Dlaczego patrzysz na to tylko ze swojej strony, a nie pomyślisz, że to ja nie mam do siebie samego zaufania. Nie mogę przekroczyć pewnej granicy (czyli nie może powiedzieć, że mnie kocha), bo wtedy to, co uważałem do tej pory za niezienne (rodzina), może nagle ulec zmianie. To znaczy, że może okazać się nagle, że jest ważne, ale nie tak bardzo, jak myślałem. Czy chcesz, żebym rozsypał się na drobniutkie kawałeczki? Boję się, że sobie z tym nie poradzę. I zniszczę życie sobie, rodzinie i tobie. Bo przecież nie chcesz być ze mną. Tak na stałe. Na zawsze”.

Fakt. Nie patrzyłam na to w ten sposób. Uważałam, że on boi się, że gdy powie, że mnie kocha, ja natychmiast każę mu rzucać żonę i dzieci i żenić się ze mną. Niewiarygodne, jakże ci faceci są zarozumiali!!!

I on teraz, z wrodzoną sobie perfekcją, odwrócił kota ogonem, wygłaszając ową płomienną mowę. Że to niby wszystko dla mojego dobra, bo on, biedaczysko, nagle uświadomił sobie, gdy już wykrztusił z siebie, że mnie kocha, że KOCHA mnie tak bardzo, że żyć bez mnie nie może ani dnia dłużej i będzie nalegał, żebym też się rozwiodła. To dopiero trzeba mieć talent, żeby tak wykombinować!!! On go ma. Oprócz wielu innych zalet, oczywiście.

Oczywiście najbardziej cenię jego intelekt. Zresztą głównie spotykamy się w celu ambitnych dyskusji o problemach dzisiejszego świata, gramy w szachy, rozważamy egzystencjalne bolączki zwykłego śmiertelnika, sens istnienia, itd., itp.

O rany, prawie w to uwierzyłam. Chociaż także rozmawiamy. O bardzo wielu sprawach. Na przykład ostatnio zaproponowałam pójście do kina, na, powiedzmy jakiś film erotyczny. Taką „Intymność”, dajmy na to. Mówię jak na prawdziwą blondynkę przystało:

pójdźmy na to, podobno cały czas się kochają. A Wymyślony z miną cierpiącego: „Zuzuś, promyczku, a może by tak na Sapkowskiego?”.

A proszę bardzo. Chce „Wiedźmina”, to będzie go miał. Też lubię Żebrowskiego. Andrzej Sapkowski gorzej mi wchodzi, ponieważ nigdy nie przepadałam za magią.

Pognałam do księgarni w mocnym postanowieniu kupienia modnej aktualnie literatury. Z rozbiegu nabyłam kilka tomów powieści Sapkowskiego, żeby nie być głupią rozpustną blondynką, która myśli tylko o seksie. Ale nie wiem, czy przez nie przebrnę.

Ostatecznie poszliśmy na „Matrixa Reaktywacje”, poddając się fali matrixomanii.

Z części drugiej również nic nie zrozumiałam, podobnie jak z części pierwszej. Jakoś ten gatunek filmu do mnie nie trafia. Ale takie są czasy, że należy oglądać filmy, które są cool. Usłyszałam przy tej okazji dialog facetów - i nie byli oni blondynkami.

- Ty, ale ten „Matrix” to jest, no nie?

- Człowieku, co ty bredzisz. „Matrix” jest po prostu cool.

- A co to jest cool?

I tu wtrącił się trzeci, podsłuchujący.

- To taki uniwersytet w Lublinie.

Ale to jeszcze nic wobec treści maila, który do mnie przyszedł. Cytuję:

Piątek.

Byłem na „Matrixie”. Fajny film...

Sobota Śniła mi się Trinity. Mogliby zbudować te matryce. Ja już bym wiedział, do czego je wykorzystać.

Niedziela Och, Trinity!

Poniedziałek Poczułem się jak w „Matrixie”. Jechałem windą z agentem Smithem.

To znaczy z panem Mietkiem spod 23., ale dopiero dziś zwróciłem uwagę na te ciemne okulary. Nosi je od zawsze. Dziwna sprawa. Wtorek Spytałem go. Zdziwił się i powiedział, że przecież jest niewidomy.

Akurat.

Środa Dobrzy są! Do ostatniej chwili udawał, że nie widzi tej liny. Wolał stoczyć się aż pod drzwi Grzelakowej, niż dać się zdemaskować.

To znaczy, że na razie jestem bezpieczny. Nie wiedzą, że ja już WIEM.

Czwartek Pan Mietek zniknął. Grzelakowa mówi, że leży w szpitalu z połamanyimi nogami. Udałem, że jej wierzę. Nie mogę jej ufać. Muszę znaleźć Morfeusza.

Piątek Dałem ogłoszenie do wszystkich gazet codziennych: „Do Morfeusza. Wiem wszystko i jestem gotowy podążyć za białym królikiem. Jeśli chcesz się przekonać, że

wybiore wlasniwa pigulke, czekam na ciebie w klubie Hades. Bede mia na koszulce znaczek Playboya”.

Sobota Bylem w Hadesie. Niewiele brakowalo. Na szczescie w Polsce agenci matrixa to pataluchy. Od razu ja poznalem. Mala na sobie identyczna czerwona suknie. Udao mi sie ja zaskoczyc i wystarczyly prawy prosty w szczeka. Wolalem jednak nie czekac, az wstanie z podlogi i zmieni sie w agenta. Zwialem tylnym wyjsciem. Kilku innych mnie gonilo, ale ja bylem dla nich za szybki. Musze zaczac cwiczyc skoki.

Niedziela Bylo w „Wiadomosciach”. „Damski bokser” - tez cos! Idioci nie wiedza, jaka jest stawka tej gry!!! Nie wiem, czy mnie namierzyl. Mam nadzieje, ze zdaze skonczyc montaz nadajnika i wejsc na czestotliwosc I programu.

Poniedzialek Trzecia bezsenna noc. Nie moge sobie pozwolic na przegapienie deja vu.

Wtorek To juz ostatni wpis. Jednak ich nie docenilem. Wlasnie wywazaja drzwi. Jest z nimi trzech agentow. Co kraj to obyczaj. U nas nie nosza garniturow. Mają nienaganne skrojone biale fartuchy. Sprytne - kto uwierzy wariatowi?

Moje koty maja calkowicie beznadziejne imiona. Kocice - one. Jesli ja moge nazywac sie tak jak pies, to one moga miec mskie imiona. Zreszta o tym, jak bedziemy na nie wolac, zadecydowal przypadek. Pierwsza byla szara. Byla brzydka jak nieszczescie, malutka i chudziutka. Wazyła tyle, co pol paczki cukru. Amelka pyta:

- Mamo, a jak ona bedzie miala na imie?

A ja, pochlonieta mysla, ze i tak pewnie to stworzonko nie dozyje nastepnego dnia, mowie:

- Nijak. Amelka:

- Dobra, to moze byc. I jest NIJAK.

Przy nastepnej kotce bylo znacznie lepiej. Na podobne pytanie Amelki odpowiedzialam nieco przytomniej. Jak to jak bedzie miala na imie? Zyskuje na czasie i goraczkowo myslę: „Nie wiem jak, ale na pewno jakoś”. I zostala JAKOŚ. Wiec rozmawiam wczoraj z babcia przez telefon. Babcia pyta:

- Jak tam, Amelka w szkole?

Patrze, a kot doбира sie do dorsza lezacego sobie spokojnie na talerzu. Dorsz nic nie przeczuwal. Moze dlatego, ze nie zył. Sekunda i dorsz na podlodze. Wrzeszcze do sluchawki:

- NIJAK!!!

I rzucam kotem w koniec pokoju, lewa ruka podnoszac zmaltretowanego dorsza. Babcia dziwi sie:

- Jak to, nijak, przecież jeszcze niedawno mówiłaś, że bardzo dobrze? Nadal obserwuję Nijaka, lewym uchem próbuję wylapywać gadającą ja katarynka babcie, a tu już na horyzoncie pojawia się z odsieczą drug kotka. A babcia prze dalej:

- No to może trzeba z nią porozmawiać. Przecież zbliża się półrocze, co się z nią dzieje. Czy ona radzi sobie w tej szkole czy nie?

Pot się ze mnie leje ciurkiem, widzę jak naciąga Nijak. Na sekundę odwracam wzrok, by ustalić, gdzie znajduje się pies, a tu dorsz znowu na podłodze. Znowu ryczę na kota:

- JAKOŚ!!!

Babcia na to, mocno zniechęcona:

- Zdecyduj się wreszcie: jakoś czy nijak? A jak się zdecydujesz - ciągnie dalej lekko nabzdyczona - to zadzwoń.

Ręce mi opadły. Dorsz pokonany. Z obiadu nici. Koty najedzone. Pies zawiedziony. Amelka głodna. Babcia obrażona.

Co też oni wypisują w tych czasopismach? Z prawdziwym zdumieniem przeczytałam, że oprócz punktu G istnieje jeszcze punkt A i B. Za dziesięć lat przerobimy cały alfabet. Ale prawdziwy szok wywołała u mnie informacja, a raczej porada, jak wzmocnić doznania podczas stosunku.

Należy mianowicie do prezerwatywy włożyć ni mniej, ni więcej, tylko piłeczkę pingpongową, a następnie ten oręż naciągnąć na fiutka. Daję sobie prawą rękę uciąć, że wymyślił to facet. I taka niby piłeczkowa konstrukcja ma zwiększyć doznania. Że niby chyba głębiej sięga czy coś. Nie wiem, ja się nie znam, ale obawiam się, że jeśli o mnie idzie, to zwiększyłaby mi jedynie strach przed pęknięciem prezerwatywy. No bo co dalej? Gumka pęka, a piłeczka zostaje w środku. A drugiego do debla nie ma. Obciach byłby z wyjmowaniem. A jakby się nie dało we dwójkę, to co? Na pogotowie, no nie. I jak ja bym im wytłumaczyła obecność piłeczki do ping-ponga w samym środku... Że w ping-ponga chciałam pograć? Eee, chyba nie uwierzą.

A tak w ogóle, to nie rozumiem, skąd u pomysłodawcy tak wielkie ograniczenia. Dlaczego, ja się pytam, nie może być od razu piłka golfowa? Albo, idźmy dalej, do tenisa ziemnego? O niech tam! Do odważnych świat należy: piłka nożna, koszykowa albo, dajmy na to, lekarska? Po co sobie mamy żałować? Jezus Maria, w głowie mi się nie mieści, że ktoś mógł wpaść na coś takiego.

Punkt G. Hmm... O ho ho ho! Wielkie mi mecyje! O co cały ten zgiełk? O wynalazek Grafenberga? „Idzie o małe zgrubienie. Niewielki splot zakończeń nerwowych.

Pięciocentymetrową poduszczkę niezwykle czulej na bodźce erotyczne tkanki, położoną na przedniej ścianę pochwy, w odległości 5-7 centymetrów od jej wejścia. Punkt G nazywany jest drugą, wewnętrzną łechtaczką. Istnieje bowiem teoria, że końcówki nerwowe łechtaczki sięgają bardzo głęboko i da się je pobudzić od przeciwnej strony. Według tej idei, punkt G byłby więc niczym innym jak... drugim końcem łechtaczki”.

Cóż, z punktem G jest tak jak z Adantyda. Wszyscy wiedzą, że istnieje. Dokładnie ją opisano. Ale czy ktoś ją widział?

Przestaję szukać. Nie zmarnuję życia na poszukiwaniach czegoś, co może okazać się przereklamowanym przez seksuologów wynalazkiem. Zadowolę się odkryciem Freuda, czyli orgazmem - bez rozgraniczania na pochwoy i łechtaczki.

Chłonę Sapkowskiego jak gąbka. Cudowne połączenie fantastycznej magii z cholernie aktualnymi zwrotami. Czytam, czytam i oderwać się nie mogę. Po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy przeleżałam beczelnie całą niedzielę w łóżku, z kremem przeciw zmarszczkowym na twarzy, torbą cukierków pod łóżkiem (odchudzam się) i książką w ręku. Kolejne tomy leżały w pogotowiu i czekały na swoją kolej. Zignorowałam obiad i telewizję. Było cudownie.

Już po wszystkim. Wróciłam ze szpitala kompletna absolutnie. No, może troszkę uszczuplona, jeśliby wziąć pod uwagę to, co wyjęli mi z piersi. Zawsze podejrzewałam, że jestem niebanalna, ale zaskoczyłam samą siebie swoją oryginalnością.

Po pierwsze, po zaaplikowaniu mi superodlotowego Jasia, zwanego potocznie głupim (jak się okazało - nie bezpodstawnie), odgrażałam się, leżąc na stole operacyjnym, że jeśli odetną mi pierś, ja w ramach rewanżu poucinam lekarzom jajka.

Owe groźby rzucałam, leżąc nago na stole. Dosłyszeli to lekarze obecni na bloku operacyjnym, lecz ukryci na zapleczu. Paweł wraca po chwili i mówi:

- Słuchaj, koledzy pytają, czy nie mogłabyś odgryźć, zamiast ucinać.
- Przemyślę, jak się obudzę. W tej chwili mogę jedynie zatańczyć dla was na rurze.

Paweł rozejrzał się bezradnie po sali operacyjnej, poszukując jakiejś rury i radośnie wykrzyknął:

- O! Wprawdzie nie mamy rury, ale jest stojak na kroplówki. Może być? Usnęłam.

Po drugie, gdy po przebudzeniu z narkozy zlazłam z łóżka, o mało nie wywinęłam orzełka, zaplątawszy się perfekcyjnie w gumowe rurki, które jak następnie ustaliłam w łazience, łączyły moją pierś z woreczkiem plastikowym.

Po trzecie, okazało się, że operacja, która miała być zabiegiem kosmetycznym, trwała dwie godziny, ponieważ lekarze walczyli z OBCYM. To, że zachowałam pierś w całości

(powiedzmy), zawdzięczam strachowi pana doktora przed wykastrowaniem. Następnego dnia na obchodzie chciałam wpełznąć pod łóżko. Do mojego pokoju przyszli wszyscy panowie obecni na bloku. Dziwnie się uśmiechali i szeptali między sobą. Kiedy ordynator wyszedł, Paweł rzucił mi do ucha:

- Koledzy pytają, czy przemyślałaś swoje groźby.

- Trzeba mi było amputować pierś. Teraz możecie sobie pomarzyć. Aktualnie rozczulam się nad sobą, a konkretnie swoimi nierównymi piersiami, w czym bardzo pomaga mi lustro oraz moja wypaczona psychika. Szwy rwą jak cholera, nic nie pozwolili mi robić, ale ja mam to w nosie i zaraz wracam do pracy. Może być ciężko, bo ręka faktycznie boli i ciężko wykonuje mi się pewne czynności.

Teraz 14 dni oczekiwania na wyrok. Wycinek poszedł do badania histopatologicznego.

Korzystając z przymusowego urlopu, postanowiłam nadrobić zaległości serialowe, chociaż jestem przekonana, że nic nie straciłam, biorąc pod uwagę tempo akcji w rodzimych telenowelach. Nierodzimych nie oglądam, chyba że za karę. Kiedyś próbowałam i nawet mnie wciągnęło. Nowela była o kilku przyjaciółkach, które najpierw wspólnie ćpały i kłóciły się (jedna z nich była służącą w domu drugiej, ale później trafiła do filmu i najpierw zrobiła karierę, a później matkę). Podczas oglądania któregoś odcinka, kiedy właśnie niejaka Roksana - bogata, psychicznie chora kobieta, porzucona przez swego kochanka, który okazał się w kolejnych odcinkach być jej przyrodnim bratem, którego ojcem był ksiądz, chciała oblać kwasem solnym siostrę owego kochanka brata. I w tym momencie zadzwoniła Kaśka.

- Zuza, słuchaj...

- Sorki, Kasiu, zadzwoń za pół godziny, teraz nie mogę rozmawiać - rzuciłam nerwowo do słuchawki.

- A co robisz?

- Film oglądam i właśnie za chwilę Roksana obleje kwasem solnym Himenę.

- Odbiło ci? Argentyńskie nowele oglądasz?

- Nie odbiło, nie odbiło. I w ogóle nie argentyńskie, tylko kolumbijskie. To ma aspekt socjologiczno-psychologiczny. Ojej, poczekaj, już otworzyła buteleczkę z tym kwasem. O o. Kazała Himenie do siebie podejść. O rany, ależ jej się tusz rozmazał.

- Zuza...

- Patrz tylko! Do Roksany podbiegła Laura, Najęli i Ofelia, wiesz, ta co ma AIDS i teraz się szarpia. Ale numer! Roksana wylała ten kwas na siebie.

- No to ja zadzwonię za chwilę.

Ale to jeszcze nic. Pewnego dnia, gdy Wiarołomny wrócił z pracy, powiedziałam triumfalnie:

- Nareszcie! Sebastian nie żyje! Zastrzeliła go ta zresocjalizowana prostytutka, której on zabił matkę i którą zmuszał do sypania z nim! Poważnie tak było. Musiałam przeżywać wyjątkowo trudny okres w swoim życiu, jeśli wstawałam codziennie o siódmej rano i czekałam na tę nowelę. Wstyd się przyznać. Tak mnie wciągnęło. Dobra. Żartowałam oczywiście.

Rodzimych tasiemców zresztą też nie oglądam, bo nie podoba mi się to całe polukrowane pokazane tam życie, które nijak się ma do rzeczywistości. W telenowelach wszyscy mówią do siebie „kochanie”, piją razem drinki i jedzą wspólne posiłki, całują się czule i wspierają wzajemnie. W życiu zaś słowa powszechnie uznane za nieparlamentarne, śmigają po pokojach jak rosyjskie MiG-i, ludzie mijają się w drzwiach, a dzieci przesiadują w parkach lub w najlepszym wypadku w szkolnych świetlicach.

Wzruszona do łez losem bohaterów noweli, której tytułu nie pamiętam, poczułam nieodpartą chęć bliższego poznania się z panem Johnnym Walkerem, a że idąc za wzorcami z filmu, nie chciałam zachowywać się jak prostak i pić z butelki, udałam się w tym celu do kuchni po odpowiednie szkło.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w górnym hallu ujrzałam wychodzącą z mojej sypialni zupełnie obcą mi kobietę. Byłam w domu sama. Nie licząc starego, głuchego najwyraźniej psa. Kobieta, zobaczywszy mnie, zachowała daleko idący spokój, ja natomiast całkiem odwrotnie. Zaczęłam wrzeszczeć jak opętana. Ilością decybeli pewnie przebiłam huk towarzyszący startowi samolotu. Przy tym jeszcze próbowałam coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczęłam się jękać. Na co pani, najwyraźniej mocno zirytowana moimi krzykami, bo nieprzestraszona absolutnie, rzekła, ukazując uzębienie, którego widok uradowałby zapewne niejednego protetyka:

-1 co się pani tak drze? Pani przestanie. W domu jest i nawet nie wie, że drzwi miała otwarte. I po co tak się drzeć? - zakończyła niczym niezrażona i wyszła.

A ja stałam jak oniemiała, poruszając ustami jak karp, czekając, aż wróci mi głos. A później czucie w nogach. Weszłam do sypialni, próbując zorientować się, co też mogło paść łupem pani złodziejki. Na szczęście dla mnie, a niefart dla niej, nienajlepiej trafiła, wybierając sypialnię. Mam w niej tylko łóżko i setki, setki książek. A pani raczej mi na bibliofila nie wyglądała. Twarz miała czystą, nieskażoną inteligencją w najmniejszym stopniu.

Trzej mężczyźni koili moje skołatanе nerwy, a byli to: Johnny Walker, Jack Daniels i Jim Bimm. Prewencyjnie zmieniałam zamki oraz noszę się z zamiarem zakupu psa, który



by choć trochę słyszał. Mój, jak się okazało, słyszy tylko trzeszczenie towarzyszące otwieraniu lodówki.

Generalnie nie mam w domu niczego cennego poza mną samą, ale widocznie nie byłam w typie pani, która postanowiła uprzyjemnić mi wieczór, zupełnie gratis fundując mi przeżycia jak z taniego dreszczowca.

Kiedy wrócił mój wiarołomny mąż, opowiedziałam, a raczej wybelkotałam mu całą historię. Popatrzył na mnie tak jakoś dziwnie i poradził, żebym może więcej już nie piła. A poza tym, nie powinnam pić alkoholu, bo mi szwy nie będą trzymały.

Ale wymyślił: a na wojnie jak było? Tylko woda ognista na wszelkie rany - ducha i ciała.

Ręka boli potwornie, szwy ciągną niemiłosiernie, a wyników nadal nie ma. Choć minęły już dwa tygodnie. Jestem dobrej myśli. Jeszcze.

Mówiłam, że wrócę szybko do pracy? I stało się. Tyle że nieco inaczej niż sobie to wyobrażałam.

Musiałam wcześniej rano spotkać się z ważnym klientem, u niego w firmie, dodam, a zaspąłam. Ubierałam się więc jak żołnierz na manewry - po ciemku, szybko i prawie nieprzytomna. Jako element główny mego stroju przywdziałam kozaki, które weszły już do mojej garderoby jako stałe „wyposażenie”.

Już w samochodzie wydawało mi się, że coś śmierdzi. Niezidentyfikowanie. Podczas spotkania niestety przykry zapach się wzmógł, a na dodatek, co stwierdziłam z prawdziwym przerażeniem, pochodził ode mnie. Dyskretnie obwąchałam swoją bluzkę, spódnicy z oczywistych powodów nie mogłam. Może dałabym radę, gdybym chodziła na jogę?

W powietrzu unosiła się woń kocich sików, a pochodziła dokładnie z moich kozaków. Do takich wniosków doszłam, gdy klient omawiał finansową stronę kontraktu. On tu o milionach, a ja pochłonięta myślą, jak stąd wyjść. I czy ON też czuje ten smród? I czy wie, że to ode mnie? Poprzez ten przykry zapaszek dzielnie przebijały się perfumy od Chanel, które ratowały mój kontrakt.

Bacznie obserwowałam klienta, a konkretnie jego nozdrza. Gdy zaczęły dziwnie drżeć, stwierdziłam, że należy zapobiec kompromitacji ostatecznej i jak gdyby nigdy nic, rzekłam dostojnie: - Bardzo pana przepraszam, ale nalegam na zakończenie naszego spotkania. Właśnie odkryłam, że któryś z moich kotów był uprzejmy obsikać mi kozaki, które aktualnie mam na sobie, w związku z czym nasze dalsze rozmowy uważam za niemożliwe z przyczyn zdrowotnych. Skontaktuję się z panem natychmiast po zmianie obuwia. I wyszłam. Za dwie godziny klient zadzwonił i zaprosił mnie na podpisanie umowy. Poruszyłam go

wywodem o zasikanych butach. Nie widzi powodu negocjowania kontraktu. Obecna wersja bardzo mu odpowiada. Sam ma w domu dwie kotki, które podczas rui namiętnie obsikują mu buty, więc mnie rozumie.

Tak zintegrowana z klientem od razu poczułam się lepiej. Buty wkładam na szafę. A wszystko, co zamierzam na siebie założyć - trzy razy wacham.

Późnym wieczorem miałam zebranie w redakcji. Podczas gdy kolektyw się głowił nad ostatecznym wyglądem powstającego numeru naszego pisma, ja myślami byłam już w samochodzie przy mojej porannej kajzerce, która leżała na przednim siedzeniu od dwunastu godzin i zapewne obsychała. Kto by pomyślał, ile fantazji można mieć z jedną małą suchą bułką.

W domu okazało się, że Amelka przyniosła uwagę w dzienniczku. Co ja mówię? To nie uwaga, tylko prawdziwe dzieło sztuki. Literacki majstersztyk. Miód na moje dziennikarskie serce. Czytałam trzy razy. Pierwszy raz przy Amelce ze śmiertelną powagą na twarzy, a pozostałe dwa - w toalecie. Zamknęłam się tam z dzienniczkiem, odkręciłam wodę na cały regulator i śmiałam się w ręcznik, żeby mnie nie było słyhać. Treść korespondencji była następująca: „Amelka popchnęła kolegę na przerwie i wybiła mu dwa zęby, a ten, padając, wpadł na koleżankę, która uderzyła głową o ławkę”. Brakowało tylko „...i zmarła”.

Jestem chora najwidoczniej, bo tylko to słowo nasunęło mi się jako efektowne zakończenie ww. notatki. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że tak generalnie to nie jest to śmieszne. Powinnam się przerazić, krzyczeć, umoralniać, dydaktyzować itp. Ale nie potrafię. Nie, gdy czytam tego typu uwagi.

Okazało się, że afery nie ma. Dzieci poniosła wyobraźnią, a panią sztuka grafomanii. Najgorzej, że jeszcze ciągną mnie szwy i nie mogę się nawet porządnie pośmiać.

Zachowałam tę uwagę. Wkleiłam do rodzinnego albumu ze zdjęciami. Kto wie, może za jakiś czas okaże się, że to biały kruk. Czarny? Nie pamiętam.

Amelka najwyraźniej zadowolona z efektu, jaki wywołała zawartością dzienniczka zataszczyła organy do łazienki i urządziła sąsiadom koncert. Gdzie jak gdzie, ale tam akustyka jest najlepsza.

Mam nadzieję, że moje dziecko nigdy się nie dowie, jakim byłem matolem w szkole. A konkretnie w liceum. Matolem w przedmiotach ścisłych. Choć miewałam przebłycki wiedzy, bo intelektu raczej mi nie brakowało. Gdyby nie on, nie zdałabym z matematyki, chemii i fizyki. Na matematyce na przykład raczej nie udzielałam się na lekcjach, nie wrywałam do odpowiedzi. Wręcz przeciwnie, robiłam wszystko, by się zdematerializować. A rękę unosiłam do góry zazwyczaj wtedy, gdy poczułam zew natury. Ale jak wspomniałam,

miewałam przebłyski. Wiedza spłynęła na mnie nagle i niespodziewanie podczas omawiania nowego tematu. Matematyczka wprowadzała nowy rodzaj zadań i zapytała, czy może ktoś ma jakieś pomysły i chciałby rozwiązać na tablicy na piątkę.

Ja miałam, sama nie wiem skąd.

Podniosłam rękę, zgłaszając w ten sposób swoją chęć rozwiązania zadania. A tego samego dnia dostałam pałę z klasówki. Więc trzymam tę rękę w górze, jedyna z całej klasy. Matematyczka mnie nie zauważa. Albo udaje. W pewnym momencie, najwyraźniej zniecierpliwiona faktem, że nie ma chętnych, a Zuzanka cały czas z ręką w górze, pewnie znowu chce wyjść do kibla, nerwowo mówi:

- Dobra, Zuza, możesz iść do toalety. A ja na to:

- Dziękuję, ale nie muszę. Chciałabym rozwiązać zadanie.

I rozwiązałam, ku zaskoczeniu całej klasy oraz zmarłej, z szoku najwyraźniej, matematyczki.

Zdarzało się jeszcze wiele razy, że podnosiłam rękę, niekoniecznie gdy chciało mi się siku. Chociaż, jak oglądam niektóre wydania „Milionerów”, to mam wrażenie, że całe cztery lata liceum przesiedziałam w łazience. Mam dziury w mózgu. Braki na poziomie szkoły podstawowej z zakresu matematyki.

Mam to w nosie. Byłam za to mistrzem ortografii. Kto powiedział, że muszę być człowiekiem renesansu: malować, śpiewać, pisać, komponować, wymyślać wzory chemiczne, twierdzenia matematyczne, pisać wiersze? Pewnie, że bym chciała, ale dobrze mi z taką mną, jaką jestem. Nie marzę o Noblu, lecz o spokojnym, ciekawym życiu. I o tym, by przeżyć je najpełniej, najlepiej jak potrafię. Ktoś kiedyś powiedział, że trzeba każdy dzień przeżywać tak, jakby był naszym ostatnim. Piękne. Nigdy nie wiemy, czy podziwiając wschód słońca, będziemy mogli cieszyć się zachodem.

Nigdy nie zrozumieję reguł rządzących polityką. Niby nie jestem głupia, ale za nic nie pojmuję, czym kierują się nasi i nie nasi politycy. Dlatego rzadko oglądam telewizję. To rodzaj terapii w stylu: lepiej zapobiegać, niż leczyć. Chorobę psychiczną, nerwicę serca. Które są nieodłącznym efektem towarzyszącym słuchaniu wiadomości. Efekt gwarantowany. Moja polisa tego niestety nie obejmuje. Nie mam pewności, ale nie będę ryzykować. Bo kiedy zwariuję i wystąpię do mojego ubezpieczyciela z roszczeniem wypłaty odszkodowania za straty moralne, fizyczne i umysłowe poniesione wskutek oglądania telewizji, jedyne, co zrobi ubezpieczyciel, to wybuchnie niepohamowanym śmiechem. Naturalnie zaraz po odłożeniu słuchawki. Polityków się już wyleczyć nie da.

Podobnie działają na mnie nasze superseriale, przedstawiające nasze społeczeństwo w tak zwanym krzywym zwierciadle. Czasami bardzo, bardzo krzywym. W życiu nie znoszę dyletanctwa, niekompetencji, podłości, zakłamania i przesady. I arogancji.

Jestem natomiast wierną fanką bohaterów serialu „Na dobre i na złe”. Ponieważ bywam małostkowa, głównie z powodu Artura Żmijewskiego, wgapiam się co tydzień w ekran. I wzdycham sobie po cichu. Stara już jestem, a taka głupia. Wzdychać do aktora!!! Koszmar. Żenada. A co? Dlaczego nie? Przynajmniej jestem patriotką. Wzdycham do polskiego aktora, a nie do jakichś tam amerykańskich, nafaszerowanych hamburgerami facetów.

Chociaż ostatnio jednym oczkiem zerkam na Żmijewskiego, a drugim na Wilczaka. Tak sobie, dla urozmaicenia.

Jednak powinnam skłaniać się ku Wilczakowi, bo nie jest doskonały. To znaczy, ma w sobie coś z łotrzyka. A Żmijewski jest the best. Oczywiście mam na myśli kreowaną postać.

W ogóle mi chyba ostatnio odbija, bo zajmuję się takimi pierdołami. Namiętnie odwiedzam sklepy kosmetyczne i przebieram w kremach, zupełnie jakbym się na nich znała. Obsesyjnie szukam cellulitu (jest, jest) i zmarszczek (nie ma, nie ma). Z pasją maniaka wertuję przyniesione przez Amelkę czasopisma, rankingi najlepszych kremów na cellulit itp.

Jestem pod wrażeniem robienia wody z mózgu tych biednych kobiet, które do niedawna nie miały pojęcia, że to, co mają na udach, to obrzydliwa, złowroga skórka pomarańczowa, którą należy tępić jak wrednego, podstępnego najeźdźcę. Wszelkimi sposobami, za każdą cenę. Przemysł kosmetyczny w krótkim czasie zawładnął umysłami kobiet, a także ich kieszeniami, systematycznie powiększając listę ich mankamentów.

Nie powiem, przyjemnie jest ładnie pachnieć, mieć miłą w dotyku skórę i dobre samopoczucie. Ale umiar to rzecz święta. Niedługo okaże się, że bez tych wszystkich kosmetycznych cudeniek, rozsypimy się w proch. Wyszniemy na wiór, pomarszczymy się jak zleżałe jabłko, zęby nam zczernieją, piersi opadną do kolan, wypadną włosy, odpadną paznokcie i zaczniemy śmierdzieć jak szwajcarski ser albo grecka feta. Cudowna perspektywa, nie ma co.

Zastanawiam się, co powoduje, że popadamy w taką psychozę? Przypomina to też troszkę psychiczny szantaż, zręczną manipulację. Naprawdę uwielbiam dobrze pachnieć. Dobrze wyglądać. Ale nie będę się zarzynać. Pamiętam siebie, nie tak dawno jeszcze temu, wygłaszającą długie monologi do Wymyślonego:

- Zobacz, jaka jestem gruba!

- Ojej, jaki mam cellulitis!

A on nawet nie wiedział, jak to wygląda.

- I zmarszczki? Mam, prawda?

- Dlaczego ty ze mną jesteś? Z litości na pewno! Przecież jestem okropna!

A on patrzył z politowaniem i zrozumieniem, jednocześnie nie rozumiejąc, czego ja od siebie chcę. Przecież on mnie kocha. Wszystko we mnie kocha. Nawet ten delikatny tłuszczyczek i pomarańczową skórkę, której nie dostrzega. Zawsze po takim moim wylewaniu żali, kwituje: „No to cieszę się, że porozmawialiśmy”. „Jak to, porozmawialiśmy????” - oponuję inteligentnie. „Przecież nie odezwałeś się ani jednym słowem. I ty to nazywasz rozmową? Monologowałam tylko”. „I widzisz? Kocham cię też za twoją inteligencję”.

Nie lubi zapachu perfum. Żadnych kremów, kosmetyków, pomadek. Uwielbia mój naturalny zapach. Najlepiej szare mydło Biały Jeleń. Hi hi hi. Dlaczego martwię się o nieistotne dla mnie sprawy? Odczuwam irracjonalny niepokój, że już wkrótce przestanie się to dla mnie liczyć. Obym się myliła.

Mój mąż w ramach oszczędności zakręcił ogrzewanie. Strasznie mi zimno. Wychodząc z domu, uprzejmie zapytał:

- Włączyć ci ogrzewanie?

- Nie, dziękuję. Jest aż 14 stopni w mieszkaniu, prawdziwe Hawaje, jakoś wytrzymam - szczęknęłam zębami, przypominając sobie wysokość ostatniego rachunku za energię cieplną. Jeszcze kilka stopni w dół i z nosa wyrosną mi sople.

Udałam się do szafy, założyłam dwie pary spodni - jedne legginsy, drugie z polaru, bluzeczkę kupioną dopiero co na przecenie w sklepie firmowym, której firmy nie pamiętam, na to wrzuciłam sweterek nabyty drogą kupna w osiedlowym lumpeksie za bardzo przystępną cenę trzech złotych polskich.

Po kilkunastu minutach błógiego nicnierobienia doszłam do wniosku, czując jak sztywnieją mi palce u stóp i chyba zaczyna odpadać czubek nosa, że decyzja, skądinąd heroiczna, została podjęta pochopnie. Uzbrojona w latarkę udałam się do piwnicy w celu uruchomienia ogrzewania. Droga, jaką muszę przebyć w celu dostania się do wymiennika ciepła przypomina poligon wojskowy, bowiem podobnie jak tam napotkać mogę wszelkie możliwe przeszkody. Na zmianę czołgam się i wspinam pod sam sufit, w sumie nawet nie tak wysoko, ale za to bez zabezpieczenia.

Niestety, trud okazał się zupełnie niepotrzebny, ponieważ z całej galerii różnorakich zaworów nie jestem w stanie wytypować tego właściwego. Z obawy, że przypadkiem odetnę sobie dopływ wody, rezygnuję z ogrzewania i wracam drogą, którą przyszłam, a właściwie przepłynęłam, utyłana jak żołnierze amerykańscy po opuszczeniu Zatoki Perskiej. Zresztą

niedługo znowu będzie wojna, więc zasadniczo rzecz biorąc, musztra wskazana. A może się zaciągnę? Teraz jesteśmy największym przyjacielem Ameryki, wujek Bush nas kocha miłością szczerą i bezinteresowną, a rozstrzygnięcie na korzyść Ameryki przetargu na zakup samolotów bojowych dla polskiej armii wcale nie było wymuszone. Tak z czystej przyjaźni ich wybraliśmy. Od razu się poczułam lepiej, wiedząc, że pod naszym niebem będą śmigły F-16. Przypomniał mi się dowcip, tak bardzo a propos. Podczas pewnej propagandowej podróży Bush odwiedza jedną z amerykańskich szkół. Czy ktoś ma jakieś pytania?

- Tak. Ja mam. Trzy - odzywa się mały Bob. - Po pierwsze, jak się pan czuje po sfingowanych wyborach, które pan wygrał? Po drugie, dlaczego chce pan bezpodstawnie zaatakować Irak? Po trzecie, czy nie uważa pan, że zrzucenie bomby na Hiroszimę było największym atakiem terrorystycznym wszech czasów? W tym momencie zadzwonił dzwonek na przerwę.

Po przerwie dzieci wracają do klasy, a nauczyciel znowu pyta:

- Czy ktoś ma jakieś pytania?

- Ja mam. Pięć pytań - odzywa się mały John. - Po pierwsze, jak się pan czuje po sfingowanych wyborach, które pan wygrał? Po drugie, dlaczego chce pan bezpodstawnie zaatakować Irak? Po trzecie, czy nie uważa pan, że zrzucenie bomby na Hiroszimę było największym atakiem terrorystycznym wszech czasów? Po czwarte, dlaczego dzwonek na przerwę zadzwonił dwadzieścia minut wcześniej? Po piąte, gdzie jest mały Bob?

Rano zadzwoniła Bożka. Dziwna jakaś była, tajemnicza. Poinformowała mnie, że jej znajoma została zamordowana przez swojego chłopaka. We śnie ją zabił. Była młodsza ode mnie. Bożka powiedziała:

- Mówię ci o tym, bo nie chcę, żebyś była następną. Nie chcę cię znaleźć martwej z nożem w sercu. Rozumiesz, co do ciebie mówię? – spytała i rozłączyła się. Była bardzo wzburzona. Niemożliwe, żeby wiedziała. Przecież nikt nie wie.

A w nocy miałam dziwny sen. Kiedyś poznałam tę jej koleżankę I ona mi się przyśniła. Stała przede mną z tym pieprzonym nożem w sercu. Smukła, wysoka, cudne nogi. Prawą dłoń trzymała n rękojeści. W oczach miała zdziwienie całego świata. Poznałam ją po tych długich nogach. Bo miała moją twarz. Zmęczył mnie ten sen.

REWOLUCJA. Przetoczyła się przez moje życia niczym huragan w Australii. Poznałam kogoś. Wirtualnie. Nazwałam go więc Wirtualny. Wydaje się, że jest wyjątkowy. Ale nie będę się podniecać, tak na wszelki wypadek. Gdybym była mniej odporna, zakochałabym się w słowach. Czy można zakochać się w pisanim słowie? Oczywiście, że

tak. Jest na to wiele przykładów w literaturze. Postaram się zachować dystans i chłodny stosunek do całej tej dziwnej, trzeba przyznać, sytuacji.

Poszłam na zakupy, w swym bezgranicznym optymizmie sądząc że poprawi to mój nastrój. Myślałam, że jeśli wydam troszkę gotówki, zrobi mi się lepiej - mniej sentymentalnie. I faktycznie. Kompetencja pań w sklepach po prostu powaliła mnie na ziemię. Od razu sfrunęłam z obłoków na ziemię. Okazało się bowiem, że kupienie w dzisiejszych, strasznie recesyjnych czasach butów czy czegokolwiek powyżej godziwej kwoty, dodam, nie jest rzeczą łatwą, a dla mniej odpornych może nawet okazać się niewykonalną. Nie wiem, czy wzbudziłabym zainteresowanie personelu, nawet gdybym zaczęła ostentacyjnie wynosić im towar ze sklepu. Były tak zajęte dyskusją, że śmiem twierdzić, że nie. Przy okazji dowiedziałam się, stojąc obok nich (cholernie chciałam sobie kupić te buty), że istnieją aż cztery rodzaje kielbasy krakowskiej. A ponadto wysłuchałam przepisu na kluski śląskie, dowiedziałam się, że „te gazety to ciągle piszą”, że „dzisiejsze uczenie” są nie do zniesienia”, a także że „Artur Żmijewski jest boski”. Z tym ostatnim się zgadzam. Absolutnie. Boski, boski!!!

Gdybym zatańczyła na rurze albo zrobiła striptiz, nic by to nie dało. Kupiłam buty i wzbogacona o olbrzymi kielbasiany skok intelektualny pomaszero wałam dzielnie do następnego sklepu. Za grosz zrozumienia dla poetyckiej, kruchej duszy, która zmobilizowana zmarzniętym tyłkiem oraz zimnymi jak lód stopami, postanowiła zasmakować nieco codzienności.

Dlaczego w życiu tak jest, że jak już poczujemy się odrobinę szczęśliwi, gdy zaczyna nam się w miarę układać, od razu ktoś niespodziewanie wali nas cegłą po głowie? Dzwonił Paweł ze szpitala. Są wyniki. Pytał, gdzie teraz jestem i czy mogę przyjechać. Mam przyjechać. Dotarło do mnie, że ma mi coś do powiedzenia i z jakiegoś powodu nie chce tego zrobić przez telefon. Powiedziałam:

- Paweł, mów natychmiast, inaczej zanim do ciebie dojadę, umrę na zawał.
- Dobrze. Jeśli jedziesz, to się zatrzymaj. Zrobiło mi się miętko.
- Guz był złośliwy. Czekam na ciebie, Zuzanko.

Nie teraz, gdy mam motyle w brzuchu. Nie teraz, gdy w żyłach krąży tlenek azotu, który powoduje przyspieszony oddech, gdy jestem z mężczyzną. Gdy mnie dotyka, czuję, że kurczą mi się mięśnie Kegla. Mam wypieki na twarzy. Serce bije jak oszalałe. Nie, nie teraz. Nie pozwolę przerwać sobie zabawy. Żaden nowotwór nie stanie mi na drodze. Im dłużej analizuję swoje życie, tym mocniej upewniam się, że jednak musiałam otworzyć tę puszkę,

może ktoś mi ją podstępnie podał, przekonując, że to puszka z herbatą, a tak naprawdę uwolniłam całą masę nieszczęść?

A ja za tydzień widzę siebie skaczącą jak kozica po naszych kochanych Tatrach. Z wiatrem we włosach, wiosną w sercu i u boku Wirtualnego. I nowotworem w piersi. Nie szkodzi. Nic nie szkodzi. Jestem pewna, że to tylko sen. Obudzę się i wszystko będzie dobrze. Po co kobietom piersi?

Nie chcę chemioterapii. Moje włosy. Wiem, że je stracę. Tyle wiem o chemioterapii. I w tej całej wiedzy nie ma nic, co mogłoby mnie do niej przekonać. Przecież to nic innego jak powolne wytruwanie organizmu, zaprogramowane tak, aby odbywało się wolniej niż śmierć, którą może spowodować. Takie zabijanie na raty. Tak wolno, żeby przypadkiem pacjent nie umarł.

Dlaczego ja? A może to rodzaj kary? Wiem, że to początek końca. Nie jestem gotowa.

To głupie. Bo czy człowiek w ogóle kiedyś jest gotowy, żeby umierać? Choć umieramy od chwili narodzin? Zawsze jest jeszcze coś do zrobienia. Trzymamy się kurczowo życia, choć często przynosi nam wiele cierpienia.

Śnił mi się Żmijewski. Nie wiem dlaczego. Ale dobrze, że jeszcze śnić potrafię radośnie. Zadziwiające, że w obliczu tego, co mnie czeka, walki, jaką pewnie będę musiała stoczyć, kiedy dojrzeję do tego, by ją podjąć, mam zupełnie inne problemy.

Jestem rozdarta pomiędzy dwóch mężczyzn. Wymyślonego i Wirtualnego. Żeby choć jeden z nich był prawdziwy. Trzej panowie W. Aha, jest jeszcze Wiarołomny. Ten jest prawdziwy. Ale nie jest taki, jaki był, zanim się pobraliśmy. Gdzie się podział tamten opiekuńczy, troskliwy, kochający chłopak? Co stało się z tą wielką, wieczną miłością?

A może znudziło ją czekanie? Zniecierpliwiła się. I zasmucona postanowiła odejść?

A może tylko sobie przycupnęła w kąciку i cierpliwie czeka? Bo wie, że Wirtualny wkrótce zniknie tak nagle, jak się pojawił, a Wymyślony zostanie?

Dopóki będzie Wymyślony, zapomnę o moim raku. Boże, chciałabym, żeby zawsze BYŁ. Wtedy nie musiałabym pamiętać.

Krzywdzę tyle osób naraz. I siebie przede wszystkim. Nie wiem, czy sobie z tym poradzę. Tak bardzo chciałam komuś o tym powiedzieć. Bałam się, że jeśli tego nie zrobię, to mnie rozerwie. Nie powiedziałam nikomu. Jeszcze choć jeden dzień chciałam żyć normalnie. Idę na wagary. Wagary od życia.

Jak się wali, to się wali. Nie żeby tam runęła jakaś mała tekturowa chatka. Musi od razu wieża w Pizie. Żeby było więcej huku, kurzu, pyłu i łez. Wymyślony powiedział mi dzisiaj, że traktuję go jak wycieraczkę, wycieram sobie o niego buty. Nie słucham, co do mnie



mówi, pogardzam nim i mam w dupie. Mowę mi odjęło i poryczałam się, zamiast się bronić. To ja bym mu swoją nerkę oddała, o sercu już nie mówiąc (w znaczeniu metaforycznym to serce, bo przecież mam tylko jedno, ale ta nerka to dosłownie). Jeśli chodzi o inne narządy typu wątroba na przykład, to wątpliwa sprawa. Podejrzewam, że mam wątrobę jak alkoholik po kilku latach picia denaturatu. Przez te moje cudowne środki odchudzające, rzecz jasna, że nie po wódzie. Więc wątroba odpada. Mogę mu jeszcze oddać kawałek płuca, czyściutkie są, bo nieskażone nikotyną. Co oni tam jeszcze transplantują? O, szpik mu mogę oddać. Albo... Nie, mózg odpada, bo przecież jestem blondynką. Wprawdzie farbowaną, ale zawsze.

Organy swoje bym mu do transplantacji oddała, a on się na mnie wydziera, że jestem egoistką i go ranie. Rozmawiać ze mną nie chciał, mimo że nalegałam (prawie czołgałam się ze słuchawką). No to go szukać poszłam. To prawda, że ludziom najtrudniej zmienić swoje przyzwyczajenia.

Dlatego właśnie wpadają prędzej czy później osoby po zmianie tożsamości objęte programem ochrony świadków. Można zmienić miejsce zamieszkania, kraj, znajomych, a nawet twarz, ale najciężej pozbyć się starych nawyków. Dlatego też bez trudu znalazłam go w jednym z pubów. Nawet się przy tym nie zmęczyłam.

Dzielił mnie od niego tylko słup. Sączyłam podwójne martini, które dostarczył mi kelner, zachęcony moimi słowami: „Podwójne martini z podwójnymi oliwkami, podwójnie szybciotko”. Jestem dobrze wychowana i nie przysiadam się do stolików, a co więcej, świetnie potrafię udawać, że kogoś nie znam. Po co komplikować życie sobie i innym?

Czekałam uprzejmie, jak jaśnie pan skończy arcyważną rozmowę z kumplem, śledząc go zza czarnych okularów, wychylając się na krzesło co kilka minut, bo przez ten słup nic nie widziałam. W końcu tak się wychyliłam, że grzotnęłam z krzesłem na podłogę. Do tego wszystkiego dramaturgii sytuacji dodawał kryminał Agaty Christie: „Poirot prowadzi śledztwo”, nie powiem, bardzo a propos. Nie rozumiem i chyba taka już umrę, dlatego, kiedy tak bardzo zależy ci na facecie, jemu wydaje się, że nim gardzisz. Wiem, że mężczyźni są dużo mniej skomplikowani, żeby nie powiedzieć, bardziej prości w myśleniu niż my, kobiety.

Kiedy przyjeżdżam do domu z bagażnikiem pełnym zakupów i mówię: „Kochanie, zakupy w bagażniku”, to jasne jest, dla mnie jasne, że te zakupy należy wyjąć i wnieść do mieszkania. A co facet na to? Nawet z IQ 180? Nic. Przyjmuje do wiadomości i tyłka nie rusza. Kiedy mówię nieśmiało: „Śmieci się z kosza wysypują”, to oczywiście sugeruję, że byłoby fajnie skoczyć do zsypu. A co facet na to? Nawet z IQ 180? Nic. Przyjmuje do wiadomości.

Ergo: facetom należy mówić wprost. Dlatego, że są prości. Rozumieją krótkie i jasne polecenia. Chwilami wydaje mi się, że powinniśmy wydawać im komendy, tak jak w wojsku. „Baczność! Spocznij. Kolejno odlicz”. „Szeregowy (kapral - stopnie w zależności od zasług na polu rodzinnych bitew), biegiem po kubel ze śmieciami marsz!”. A jak wróci, kolejna komenda: „Odmeldować się i do wyra, ale to już, kocie jeden, bo zaraz będziesz sznurowadłem podłogę w łazience szorował”.

Należy powiedzieć: wyładuj zakupy z bagażnika, bo mam ręce od tego dźwigania do kostek i mogę sobie sznurować buty bez schylania. Należy powiedzieć: wynieś śmieci, bo za chwilę zeżrą nas szczury, jak Popiela.

Siedziałam sobie i myślałam, co mu powiem, kiedy już będzie miał dla mnie czas. Czy powiedzieć mu, że oddam mu nerkę, jeśli będzie jej potrzebował? A może powiedzieć, że budzę się i zasypiam, myśląc o nim, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądał następny dzień? Albo powiedzieć mu, że kiedy wyjeżdża, zdzieram kartki z kalendarza jak żołnierz, liczący dni do wyjścia?

Że Kocham go tak, jak potrafię, a nie potrafię inaczej? Że brakuje mi oddechu, gdy dochodzi między nami do spięcia? Że płaczę w poduszkę? Że jestem beznadziejnie głupia?

Że tak naprawdę to ja czuję się jak chusteczka do nosa, w którą ktoś zasmarkał i wyrzucił, czystym rogiem wycierając sobie uprzednio czubek buta? Dlaczego tak się czujemy? Przepraszam za coś, czego nie rozumiem?

Przywołałam kelnera, zapłaciłam i wyszłam. Nawet chusteczki do nosa mają swoją chusteczkową dumę. Ponieważ jestem szalona lekko, wsiadłam do samochodu i pojechałam do Ciechocinka. To miasteczko działa na mnie kojąco. Uspokaja, energetyzuje, wycisza. Kiedy spaceruję po parku i mijam rencistów i emerytów, jest mi zwyczajnie wstyd. Tak. Wstydzę się. Tego, że jestem wiecznie ze wszystkiego niezadowolona. Że nie umiem cieszyć się tym, co mam.

Tego, że za wszelką cenę chcę być szczęśliwa, a to prawdziwe szczęście jest tuż obok. Jest we mnie. W każdym przeżytym dniu. Może jest tuż za ścianą? W uśmiechu mojej córki. W ulotnej chwili, która jest jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna. Nie ma dwóch takich samych chwil. Minut. Sekund. Nic dwa razy się nie zdarza.

A ludzie, którzy spacerują po Ciechocinku zdają się to wiedzieć. Są uśmiechnięci, zadowoleni. Może dlatego, że swoje już przeżyli i teraz każdy dzień traktują jak prezent od losu? We mnie jest wiele złości, a w nich radość. Śmieję się, że Ciehocinek pachnie geriaivitem. Niektórzy śmieją się ze starszych osób szalejących na dancinach. A z siebie śmiać się powinniśmy. Tak naprawdę Ciehocinek pachnie... życiem.

Ja natomiast jestem psychicznie dużo starsza od tym emerytów. W nich więcej jest życia niż we mnie. Mają światło na twarzach i słońce w oczach. U mnie zbyt często jest mglisto i ponuro. Lekarstwo? Nie wiem jeszcze, ale cały czas pracuję nad recepturą.

Wracałam ze szpitala z wynikami badania histopatologicznego w torebce. W głowie dudniły mi słowa, wydrukowane na kawałku papieru, który był moją przyszłością wytyczał mi drogę na najbliższe miesiące, bo nie wiem, czy lata. „Carcinoma Mammae” - zmiana złośliwa.

- Wytlumacz mi to - poprosiłam Pawła. - Po polsku do mnie mów, nie znam łaciny. I mów tak, żebym zrozumiała każde słowo. Powiedział. Ale nie wiem, czy zrozumiałam. Tu mammae (czyli: Tumor mammae) oznacza guz piersi, bez podania bliższego, o jaki typ guza chodzi (stwierdzenie faktu istnienia zmiany o typie guza). Ca mammae (czyli: Carcinoma mammae) oznacza rak piersi, czyli sprecyzowanie (na podstawie badań, np. biopsji), że guz piersi jest rakiem.

Rozpoznanie na karcie wypisowej: Carcinoma mammae dextrae - C50.4 Wynik badania hispat: badanie śródoperacyjne:

1. sutek prawy - guz śr. 2 cm szaroróżowy twardy w części centralnej brunatny, torbielowaty - intra 2. parafina, rozpoznanie: badanie doraźne: 1. carcinoma invasium badanie parafinowe: 2. carcinoma ductale invasium bloom III. Diameter tumoris 2 cm.

Kolejny wynik badania hispat: Sutek prawy trudny do zorientowania anatomicznego 14x11x6 cm ze śladem po badaniu śródoperacyjnym na granicy kwadrantów dolnych. 1. wycinek z łoży po badaniu śródoperacyjnym 2. margines głęboki 3. marginesy góra dół 4. kwadrant przyśrodkowy z ogniskami włóknienia 5. kwadrant górny przyśrodkowy z litym sprężystym szarym ogniskiem 6. kwadrant dolny przyśrodkowy. 7. kwadrant dolny zewnętrzny z ogniskami włóknienia. Rozpoznanie: 1 Fibrosclerosis 2-3 Tela neoplasmatice absenta 4-7 Fibrosclerosos tela neoplasmatice absenta i kolejne badanie to: 1. brodawka 2-4.: niewielka ilość tkanki tłuszczowej, węzły chłonne śr. do 0,8 cm 5. węzeł chłonny piersiowo-grzbietowy szary śr. 0,9 cm, rozpoznanie:

1. status normalis 2. nodi lymphatici (2) sine metastasibus 3. nodi lymphatici (6) sine metastasibus 4. nodi lymphatici (3) sine metastasibus 5. nodus lymphoticus sine metastasibus  
Na zakończenie dodał:

- W rozpoznaniu histopatologicznym nowotwór piersi znajduje się tylko w guzie, a węzły chłonne są wolne od nowotworu, co daje ci dobre rokowania. Proponuję ci chemioterapię. Ale jeszcze nie teraz. Rana musi się zagoić. Chemioterapia działa głównie na komórki ulegające podziałom (do nich należą komórki nowotworowe), ale nie tylko - w

obrębie rany operacyjnej również dochodzi do podziałów komórkowych (komórki tkanki łącznej, pączkujące naczynia krwionośne). W związku z tym nie powinno się podawać chemioterapii, jeśli rana jest nie wygojona. Także w przypadku infekcji rany operacyjnej chemioterapia nie jest wskazana ze względu na możliwość dalszego obniżenia odporności i rozszerzenia infekcji.

Chemioterapię stosuje się według ustalonego cyklu podawania poszczególnych cytostatyków - tylko wówczas jest szansa uzyskania tego odsetka odpowiedzi na leczenie, jaki związany jest z danym schematem chemioterapii. Badania krwi należy wykonywać, gdyż często dochodzi do uszkodzenia szpiku (chemioterapia działa głównie na komórki dzielące się, takie jak komórki raka, ale też i komórki szpiku). „Węzły chłonne nie zmienione”. Lekki podmuch nadziei.

Zmiana złośliwa. Czułam, że coś zatrzymuje den w moich płucach. Chciałam być już w domu. I wtedy zobaczyłam jego. Mojego męża. Jak siedział w zaparkowanym w zatoczce samochodzie. Rozmawiał z dziewczyną. W tej zatoczce zatrzymują się kierowcy spragnieni francuskiego seksu lub pełnego stosunku. W tej zatoczce codziennie od 11:00 rano do 23:00 wieczorem czekają dziewczyny, brzydkie jak noc listopadowa, z których najstarsza ma może 20 lat.

Więc on tam siedział, ona nachylała się do niego przez szybę i rozmawiali. Pewnie omawiali warunki oraz cenę. Bo raczej nie pytał jej ani o drogę, ani o godzinę. Zdziwiło mnie to? Chyba nie powinnam być zaskoczona. Tyle że moment nie był najlepszy. Potrzebowałam ciepła i wsparcia, a nie widoku mojego męża w ramionach prostytutki. Minęłam ich i pojechałam dalej. Nie wiem, co bardziej bolało: guz w piersi, pierś, której niedługo nie będę miała, łzy, piekące mej policzki, czy serce skaleczone tym, co zobaczyło. Zatrzymałam się, ledwo zdążyłam otworzyć drzwi samochodu i zwymiotowałam na ulicę. Dobrze, że było ciemno. Noc często pomaga ukryć nasze słabości, żal i rozpacz. Po drodze do domu zatrzymywałam się jeszcze dwa razy. Chciałam umrzeć. Właśnie wtedy, od razu, na tej ulicy. Najszybciej, najprościej. Jak zwykły tchórz. Kolejny facet na literkę W do mojej kolekcji. W jak Wiarołomny.

Będę się uczyła, bawiła z dzieckiem, biegała na jogę, co ułatwi mi w przyszłości obwąchiwanie potencjalnie zasikanych spódnic, czytała piękne książki, uczyła się Leśmiana na pamięć. I skoczę ze spadochronem.

Czekałam na niego. Wrócił dość szybko. Fakt, numer z przydrożną prostytutką zazwyczaj nie zabiera dużo czasu. Leżałam w łóżku i udawałam, że śpię. Miałam nadzieję, że nie wejdzie. A on, nawet nie zahaczając o łazienkę, rozebrał się i położył obok mnie. Blisko. I

położył swoją rękę na mojej piersi. Na TEJ piersi. Ale on o tym nie wiedział. Nikt nie wie. A później zsunął ją niżej. Przysunął się tak blisko, że czułam jego erekcję. To było obrzydliwe. Do mnie, we mnie, zaraz po wyjściu z dziwki? Zwymiotowałam znowu, ledwo zdążył się uchylić. Swoją drogą, szkoda, że zdążył. Cóż takiego straszego musiałam zrobić w poprzednim życiu, że teraz spotyka mnie to wszystko? Niech mnie ktoś ocali, proszę.

Zaczęłam chodzić na jogę. Myślałam, że jak pójdę, to pomedytuję w pozycji kwiatu lotosu i będzie mi lepiej. Odpocznie ciało i dusza. Co za rozczarowanie. Ciało po dziesięciu minutach ćwiczeń wyło z bólu i chciało uciekać, dusza płakała ze śmiechu, a ja nerwowo szukałam wzrokiem zegara w celu ustalenia przypuszczalnej godziny zejścia Maks z tego świata. Po godzinie marzyłam, aby budynek, w którym odbywały się zajęcia, zaatakowali terroryści z Al Kaidy. To miał być relaks, a nie męki piekielne. Po godzinie nie mogłam dojść w moich butach na obcasie do samochodu. Czułam się jak po zderzeniu czołowym z ciężarówką, choć wtedy to się już raczej nic nie czuje. Więc miałam gorzej, bo ja czułam. Wchodząc i schodząc ze schodów, jęczałam żałośnie, a rano, aby wstać z łóżka, potrzebowałam dźwigu.

Zamiast obiecanego spokoju i wewnętrznej równowagi miałam stres i złość, spowodowaną ubolewaniem nad tragicznym stanem moich mięśni, ścięgien, rzepek w kolanach oraz lędźwi. Jeśli mam umierać, to chociaż w dobrej kondycji.

Gdybym nie chciała być pośmiertnie skremowana, zażyczyłabym sobie by pochowali mnie w pozycji siedzącej - kwiat lotosu. Wtedy, zamiast trumny, musieliby dla mnie wystrugać jakąś skrzynię w kształcie prostokąta, chyba że na przykład postawiliby trumnę pionowo. Bylebym nie wyleciała.

Podejrzewam u siebie chorobę psychiczną. Zaawansowane stadium. Jakaś nową, niespotykaną dotąd odmianę. Bo gdybym była normalna, jak potrafiłabym zachowywać się tak, jak do tej pory? Jestem pogodna, aktywna (seksualnie mniej, prawie wcale), błyszczą mi oczy, mam skrzydła u ramion. A wiem, to co wiem. To chyba rodzaj buntu mojej podświadomości przeciw świadomości. Nie znam się na tym. Trzeba by zapytać Freuda. Albo Junga. Ale najpierw należy go wykopać.

O rany. Skoczyłam ze spadochronem. Oczywiście nie sama, ale z instruktorem. Przyczepiona byłam do niego i frunęłam jak ptak. Myślałam, że oczy mi wpadną do środka głowy. Te gogle to nie taki zły pomysł. Rozważałam wszelkie katastroficzne możliwości zakończenia tego skoku.

Gdyby się żaden spadochron nie otworzył, nie musiałabym stawiać się za kilka dni na chemioterapię. Choć z drugiej strony, rozplaszczona jak naleśnik, nie prezentowałabym się

zbyt interesująco. Do diabła z tym. Góry, zachód słońca. Szum wiatru. Giewont otulony białą kołdrą śniegu. Nie będę się rozczulać nad sobą. Udam, że to nie o mnie chodzi. Bo nie o mnie. Nie. Nie. Nie o mnie.

Postanowiłam zbawić świat. Nie ludzki, lecz zwierzęcy. Udałam się do schroniska, zażywszy uprzednio dwie porcje melisy. Niestety, podziałała na mnie rozczulająco, miast uspokajająco.

I w tym rozczuleniu przygarnęłam piękną, kremową sunie marki labrador oraz kotkę, która mieści się Amelce w kieszeni. Teraz mam kota (trzeciego), który wygląda jakby miał zespół Downa oraz nie był kotem, lecz jeżozwierzem. Udałam się następnie do sklepu zoologicznego w celu zakupu żywności dla juniorów, ręce wyciągnęły mi się do kolan (już wkrótce będę mogła zawiązywać sznurowadła bez schylania), gdy taszczyłam torby z karmą, gumowymi kośćmi oraz kiełbasami, które bardzo przypominają penisa. Czego ja nie kupiłam: ciastka dla zwierzątek w kształcie kostki, ciasteczka z pasztecikami, kabanoski miski na wodę w pełnej gamie kolorystycznej (teraz moja kuchnia zmniejszy się o jakieś dwa metry). Po czym rano przy śniadaniu okazało się, że wszystkie te smakowitości zostały zignorowane w obliczu jajecznicy z kiełbasą. I będę chyba musiała sama to wszystko zjeść. Pół wypłaty zostało w zoologicznym. Jak i również spać na zakupionych posłaniach, ponieważ także zostały absolutnie zignorowane, bowiem zwierzęta zdecydowanie wolą moje wielkie łóżko. Zbawianie świata zwierząt odbija się na mnie artretyzmem, reumatyzmem oraz zapaleniem pęcherza.

5:30 rano. Nie może być inaczej. Zawsze o tej samej porze budzi mnie Tequila namiętym pocałunkiem, zlizując ze mnie resztki superkremu z retinolem. Za grosz wyczucia nie ma ten pies. I jakie to uparte. Po pierwszym pocałunku chowam się całkowicie pod kołdrę. A ta cwaniara nurkuje w dolne partie i łaskocze mnie po łydkach. Ma taki fajniutki, mokry nosek. Zwlekam się z łóżka, po omacku szukam smyczy, zakładam adidas na bose stopy, na piżamę zarzucam grupy bezrękawnik, wciągam spodnie i wychodzę. Ziewając jeszcze na schodach odpowiadam na przyjacielskie „dzień dobry” szykującego się do pracy sąsiada. Nadal mam znacznie ograniczoną widoczność. Szparki zamiast oczu. Rozbudzam się po 150 metrach. Taki spacer powoduje, że krew w żyłach krąży mi lepiej i szybciej. Płuca jakby pracują na wyższych obrotach. Kiedy wracam o szóstej, z radością stwierdzam, że czuję się wyśmienicie. Włączam Norah Jones albo Rynkowskiego, zamiennie z Barbarą Straissand i Cohenem, wstawiam wodę na herbatkę owocową i jestem najszcześniejszą najnieścieńszą kobietą nie świecie.

Wstałam rano z łóżka i chyba z tego zaspania jeszcze bezmyślnie stanęłam w oknie, ubrana jedynie w górę od pizamy i jeszcze bezmyślnie zaczęłam smarować twarz kremem, który jest ostatnio na topie. Robiłam to tak zapamiętale, że dopiero po kilku minutach uświadomiłam sobie, że sąsiad z naprzeciwka ma niezły ubaw.

Gdy nasze spojrzenia się spotkały, mogłabym się założyć, że dokładnie wiem, o czym wtedy myślał. Zastanawiał się, po co wklepuję w siebie jakieś gówno, jeśli i tak niewiele pomoże, bo tak czy siak czeka mnie operacja plastyczna, w najlepszym wypadku lifting. I tak zmarszczki, i tak. Ale niezupełnie, drogi, podglądający zaspane sąsiadki sąsiedzie: prawdopodobnie ja tych zmarszczek nie dożyję.

Rozmawiałam z Wirtualnym o wielu rzeczach, z których większości nie pamiętam, jako że byłam po kilku kieliszkach wina. Utkwiło mi natomiast, że coś mi tłumaczył, bardzo zawilego, i w pewnej chwili zapytał, a raczej stwierdził: „Maks, bo wiesz oczywiście, co to jest trójmian kwadratowy?”. Oczywiście. Że nie wiem. W popłochu, po zakończonej rozmowie, Bogu dzięki telefonicznej, udałam się do domu i nerwowo wertowałam Małą Encyklopedię PWN. Wzór na trójmian kwadratowy, zwany też równaniem kwadratowym:  $ax^2+bx+c=0$ . Amen.

Właśnie sobie uświadomiłam, że nie mam się w co ubrać, gdy już będę w tych górach. Obledziałam wszystkie lepsze sklepy w mieście, by stwierdzić, co następuje: żadna spódnica typu zimowa nie wchodzi raczej w grę, ponieważ, zgodnie z aktualnymi trendami, szyte jest prawie wszystko z flauszu lub polaru, a w przypadku okrycia mojego zadka ta tkanina nie nadaje się, bowiem wyglądam w tym jak ciężarny hipopotam. Mam wyglądać bowiem seksownie i ponętnie, a przypominając hipopotama, raczej nie zawrócę Wirtualnemu w głowie. W panice dzwoniłam do sprawcy mojej zakupowej gorączki, niechcący zwierając mu się z moich kompleksów związanych z posiadaniem wielkiego odwłoka. Sprawca stwierdził, że przyglądał się odwłokowi długo i wnikliwie i uważa, że jest bardzo piękny, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Wprawdzie nie było to bliskie spotkanie trzeciego stopnia, ale przez tkaninę też prezentował się uroczo. Ciekawe, co można zobaczyć przez spódnice?

Gdy wreszcie znalazłam to, czego histerycznie poszukiwałam, w przymierzalni, z której wyjątkowo skorzystałam, okazało się, że niestety mój tył potrzebuje spódnicy o numer większej, co spowodowało u mnie gwałtowny szok, a tył urósł w mojej wyobraźni niczym balon napełniany helem. Wyszłam ze sklepu ze spódnicą, na którą dostałam trzy lata gwarancji, a po cichu powtarzałam sobie słowa Wirtualnego.

Pewnie myśli tak, bo nie widział białych placów wielkości spodków od herbaty - efektu solarium.

Po drodze do domu poszłam do solarium w celu zmniejszenia lub zwiększenia wyżej wspomnianych placów. Miałam się odchudzać. Gwałtownie tyję, choć pocieszam się, że jest to działanie mechanizmów obronnych organizmu związane z przygotowaniem do okresu zimowego. Sama w to nie wierzę.

Pocieszyłam się kilkoma łyżeczkami Nutelli, a o dziesiątej wieczorem przypomniało mi się, że garnku moczy się brukselka i fasolka strączkowa. W sam raz, żeby się odchudzić. Jeśli to zjem, a zjem zapewne, jutro będę miała brzuch wielkości pięciomiesięcznej ciąży i nie wiadomo, czy do środy mi spadnie.

Ratują tylko ziółka. Na przeczyszczenie oczywiście. Od jutra piję tylko niegazowaną wodę mineralną na zmianę z herbatką Figura 1. Albo Figura 2.

Czuję, jak z dołu dochodzi zgubny zapach gotowanej brukselki. Jeśli nie mogę oprzeć się zwykłej, małej brukselce, to jakże mogę nie ulec facetowi z przepięknym intelektem? Bunt na pokładzie. Jakoś i Nijak się zbuntowały. Nie jedzą, nie śpią ze mną i ukrywają się od dwóch dni. To reakcja na nowe zwierzęta. A nowe zwierzęta kupkają, sikają w odstępie dwóch godzin, z tym że na zmianę. Jedno skończy, zacznie drugie. Amelka biega z nimi na spacer, ja próbuję załagodzić sytuację, przemawiając do Jakosia i Nijaka, a one na mnie warczą i syczą. To szok. Ale podobno minie. Jedynie pies, z racji chyba podeszłego wieku, a co się z tym wiąże, życiowej mądrości, zareagował bardzo spokojnie, całkowicie ignorując nowych domowników. Tyle że łakomy się strasznie zrobił. Je z czterech misek naraz.

Teraz mój mąż będzie miał wspaniałą wymówkę do wychodzenia wieczorami z domu. Duży pies wymaga długich spacerów. A zatoczka niedaleko. Na piechotkę można dojść w 20 minut. Piesek na siusiu, a pan na numerki.

Najbardziej z moich zwierząt ucieszyła się Ewka. Gdy je zobaczyła w samochodzie, z radości i zaaferowania walnęła się w głowę, nabawiając się natychmiast guza wielkości śliwy. Wieczorem zaś przysłała mi miłosnego sesemesa, w którym napisała, że: - właśnie okradli jej koleżankę, - widziała się z kolegą, z którym „mają się ku sobie”, - idą na koncert, - po koncercie idą do kina, - dobry ze mnie człowiek, - kocha mnie bardzo, - była ze swoim kotem u lekarza, - psu już lepiej, - jej też.

Naprawdę nie wiem, która informacja powinna ucieszyć mnie najbardziej.

Załamalam się. Przymierzyłam skórzany płaszcz z zeszłego roku i niestety nie dopinam się. Nie mogę powiedzieć, że się skurczył. Od wiszenia na wieszaku. Mogę jedynie nie zjeść tej cholernie dobrze pachnącej brukselki. I chyba muszę zrobić coś wielkiego. Może



jakąś rewolucję rozpętam albo przelecę balonem Atlantyk, a może zostanę radną, bo Nobla to już raczej nie zdążą mi przyznać. Nie wiem, Dę mam czasu, ale powinnam coś zrobić ze swoim życiem. Zdecydowanie. Pozbyć się wszystkiego, co mnie męczy i ogranicza. Jak by nie patrzeć, i tak wychodzi, że idzie o facetów. A gdy już będę wolną, niezależną kobietą, która wyszła z toksycznych związków, będę mogła spokojnie umrzeć w samotności.

Jezuniu, nie jadę w góry. Nie będę spacerowała po Dolinie Kościeliskiej. Właśnie do mnie dotarło, co wyczyniałam przez ostatnich kilku dni. „Zgrzeszyłam myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Moja wina”. Nie potrafię. Nie pojedę, bo kocham Wymyślonego. Nie mogłabym go skrzywdzić. A już sama moja podróż w góry świadczyłaby o tym, że nasz związek nie jest doskonały, że czegoś w nim brakuje. Nie mogę mu tego zrobić. Ani sobie.

Teraz z rozpacz, załamana własną głupotą, wcinam trzeciego kokosowego wafelka w przepysznej, przetuczającej białej czekoladzie i zaraz mnie zemdli. Gdyby głupota umiała latać, fruwałabym jak ta gołębicą. Tak mawia mój ojciec.

Efektom bezmyślnego łakomstwa jest picie hektolitrami ziół odchudzających produkcji chińskiej, o wiele obiecującym hasle reklamowym: chińska tajemnica walki z nadwagą. Aby ta tajemnica nie pozostała tylko tajemnicą. Niestety, z powodu niepohamowanego obżarstwa, moje dzisiejsze próby zakupienia sobie aktualnie arcymodnego kozuszcza zakończyły się fiaskiem.

Nie mam pojęcia, po co mi kozuch w środku lata? Wyglądałam jak słoń morski, mimo wyszczuplających luster. I zupełnie nie wiem, dlaczego mam strasznie sterczący brzuch, czego nie mogę powiedzieć o moim biuście, co go jeszcze chwHowo mam.

Kobieta jest jak małpa. Nie puści się jednej gałęzi, zanim nie złapie się następnej. Patrzę w lustro i dostrzegam znaczne podobieństwa. Fizyczne i psychiczne.

Robi się zimno. Ziąb przeszywa mnie na wylot i coś czuję, że to coś więcej niż spadek temperatury. Wyciągnęłam dzisiaj Ewkę na zakupy.

Okazało się, że Terranova, Vero Moda, Kirchof i Adler nie są przygotowani na przyjęcie Maks, a już z pewnością nie na ubranie. Myślałam, że mnie ze złości udusi. Wszystko „cieple”, co przymierzałam, owszem, było śliczne, ale nie na mnie. Wkurzyłam się na poważnie, bo wprawdzie nie mam figury Kate Moss, ale i nie wyglądam jak serialowa Roseanne. A we wszystkim, co wkładałam, niestety wyglądałam jak Roseanne. Ewka stwierdziła, że ona widzi mnie w czymś długim w kolorze piasku. A dlaczego nie czarne? Wyszczupła przecież.

W Terranovie odważnie przywdziałam takich właśnie beżowy kozuszek. A gdy go zdjęłam, mój czarny sweter i czarna spódnica były białe. Cała byłam w spodzie od kozuszcza.

Następne pół godziny Ewka czyściła mnie na przemian to na sucho, to na mokro. Gdy już wyglądałam jakoś takóś, udałyśmy się dalej w celu poszukiwania „ciepłego”.

W piętnastym sklepie, po setnej przymiarce, Ewka pokiwała głową z aprobatą, choć mnie się wydawało, że raczej z politowaniem, i powiedziała: - OK. Może być.

Gdy wróciłam do domu i przymierzłam to „może być”, załamalam się. I nabrałam pewności, że wyjście w tym może okazać się niebezpieczne. Zwłaszcza w górach. Bo może mnie zgarnąć GOPR, myśląc, że to Yeti. Kozuszek sam w sobie jest śliczny. Szkoda tylko, że w sklepie na wieszaku wyglądał lepiej niż na mnie.

Umarł mój mały kot oraz moja znajoma. Kot umarł, bo zeżarły go robaki, a koleżanka zginęła w wypadku samochodowym, bo nie zauważyła, że kierowca był pijany.

Koleżanka była kosmetyczką. Moja Amelka, gdy się dowiedziała co się stało, zapytała, nie zdając sobie sprawy z sytuacji, w jakiej mnie stawia: - Mamo, dlaczego Pan Bóg jej potrzebował? Żeby mu zrobiła manicure? Zamurowało mnie. Przecież nie mogłam się roześmiać, choć pytanie było zabawne. Czasami stwierdzam, że nie powinnam nigdy mieć dzieci. Bo są mądrzejsze ode mnie.

Z powodu mojej niemal absolutnej abstynencji, a zasadzie z żalu, że niestety nie mogę sobie wypić, choćbym chciała, albowiem spędzam później upojną noc w objęciach muszli klozetowej, postanowiłam nazwać mojego nowego psa Tequila. Nowy kot, którego Amelka przytąszczyła pod kurtką zwie się Brandy. Tak więc w kwestii napojów wyskokowych jestem zabezpieczona.

Rozwijam się. Zanim się zwinę na dobre, muszę zostawić jej coś sensownego. Zabrzmiało dość melodramatycznie. Kupiłam obiekt przemysłowy w centrum miasta, na dużej działce i przenoszę tam firmę. Mam wszystko w głowie. Plan, projekt. Już niemal widzę efekt końcowy. Pracy jest mnóstwo, bo z tego, co jest, zostawiam tylko cztery zewnętrzne ściany, ale nie zraża mnie to. Uwielbiam takie wyzwania. Żeby tylko zdążyć...

Postanowiłam wziąć się do roboty, żeby nie myśleć zbyt długo o pierdołach. Przywdziałam sztormiak, kask budowlany, obydwie ręce uzbroiłam w sześciokilogramowy młotek oraz kilof i wdrapałam się na dach mojego przyszłego biura. W kozakach na obcasie, po stalowej drabinie. Pełen makijaż i ufryzowana głowa. Następnie z impetem wzięłam się za rozbijanie kominów, które ani raczyły drgnąć. Pełna twórczej pasji sfrunęłam z dachu, chwyciłam w spracowane ręce siekierę i pomknęłam w kierunku drzewa, które stało na drodze do mojej pięknej przesuwanej bramy, stojącej i czekającej na montaż. Drzewo niezbyt ochoczo dało się zrąbać, ale wreszcie się poddało. Pełna kapitulacja nastąpiła, gdy powiesiłam

na nim swoje ciało. Teraz nie mogę pisać, odtworzyć słoika z ogórkami ani nawet porządnie podrapać się po plecach, gdyż moje dłonie pięknie napuchły.

Dzwonił kolega, z którym rzekomo właśnie mój mąż załatwiał bardzo ważny kontrakt. Cóż za brak organizacji? Jak można chodzić na dziwki, nie postarawszy się wcześniej o solidne alibi!!! Jestem zawiedziona takim traktowaniem mojej osoby. Jasne, że ja bym go nie sprawdzała. Ale należy przewidywać pewne fakty, jak np. telefon od przyjaciela.

Wsiadłam w samochód i postanowiłam sprawdzić ten „kontrakt”. Auto mojego męża stało w tym samym miejscu, co zwykle, gdy jeździł zaspokajając swoje żądze.

I faktycznie. Kontrahent także był, a właściwie kontrahentka. Kontrakt musiał być bardzo ważny, bo samochód cały się kołysał. Ważną sprawę omawiali. Nie chciałam im przeszkadzać, choć byłam pewna, że nie chodziło o duże pieniądze. Zawróciłam i pojechałam prosto na Statoil, gdzie i rolnik, i babcia na motorze robią zakupy.

Płacąc kartą kredytową mojego męża, wykupiłam cały zapas tequili i z bardzo podniecającą myślą, że on musi za ten „kontrakt” płacić gotówką, udałam się do domu. Włożyłam na uszy słuchawki z muzyką Cohena, darowałam sobie wszelkie kurtuazje związane z cytryną i solą, tak podobno niezbędne z pićciem tequili, zadbałam jedynie o kieliszek. I kiedy tak piłam na umór, choć z pewnym dystyngowaniem, Brandy i Tequila patrzyły na mnie tak, jakby znały powód mojego opilstwa.

Może i ja powinnam wreszcie zrobić coś, co sprawi mi przyjemność i stworzy pozory szczęścia? Może czas zakończyć etap bycia stateczną, odpowiedzialną i wierną mimo wszystko żoną, której wybujała wyobraźnia wypełnia zakichane życie? Może czas pozwolić sercu i ciału rzucić się na szerokie wody oceanu rozkoszy, bólu, radości i smutku związanego z posiadaniem jak najbardziej realnego kochanka? Albo kochanków? Może dość już wymyślanego seksu? Dość podniecających wprawdzie, ale niczego nieniosących za sobą flirtów? Maks, zanim się kompletnie zestarzejesz, może powinnaś zaszaleć? Ach, zapomniałam, że umieram i nie zdążę się zestarzeć. Ja to mam jednak fart. Butelka z tequilą wypadła mi na podłogę. Natychmiast wykorzystano to Brandy i teraz pijany kot i pijany pies leżą obok trzeźwej, niestety, Zuzy. W celu poprawienia mojego wisielczego nastroju, zachowałam się sztafpowo i poszłam do fryzjera. Wychodząc stamtąd, przechodzi się zawsze koło wystawy z lustrami. Idę, idę, widzę naprzeciw mnie fajną dziewczynę. Płyń pięknym krokiem, długie jasne włosy opadają jej na ramiona. Myślę: jejku, ale ładna. Szkoda, że taka smutna. Przyglądam się chwilę, idąc wciąż przed siebie, a ona zbliża się do mnie. Po chwili olśnienie: Jezu! Wariatka ze mnie. Przecież to JA!!! Mało nie przywalałam czołem w lustro. Zawsze tak mam, kiedy tamtędy przechodzę. I tylko wtedy.

To tkwi we mnie od siódmej klasy podstawówki. Brak wiary w siebie, w swój wygląd. Wtedy chłopcy zorganizowali wybory najbrzydszej dziewczyny w klasie i zdobyłam zaszczytny tytuł wicemiss. Do tej pory w swoim mniemaniu jestem brzydula. I w lustrze widzę brzydulę, choć inni widzą inne odbicie. Czas już skończyć wreszcie tę podstawówkę. Czy kiedykolwiek ją skończę?

Zuzka, wyjdź wreszcie z tej siódmej klasy. Kobieto, już dawno jesteś po liceum. Czasami mam wrażenie, że wszystko, co miało zdarzyć się w moim życiu, już się zdarzyło. Raczej więcej za mną niż przede mną. Jeśli tak czuję, to co?

Surfowałam po Internecie i wyłapała mnie Ewka. - Jesteś? - Jestem.

- Kobito, ale mam doła!

- Ty też? Co się dzieje?

- Eee, nic.

- Nic i masz doła?

- No wiesz, to, co zwykle.

A to „zwykle” polega na tym, że ma obok siebie faceta, którego zna bardzo, bardzo długo, ale nigdy wcześniej nie patrzyła na niego jak na faceta, takiego do wzięcia. Raczej jak na kumpla.

I teraz nagle ją olśniło, że to ten jedyny. Chadzają razem do kina, on przyjeżdża w weekendy, kolacyjka, kino. Kino, kolacyjka gadka-szmatka.

I nic. On sztywny (niestety nie z tego powodu co trzeba i nie tam gdzie trzeba), ona także. Jedno się boi i drugie jeszcze bardziej.

Ewka na samo słowo „kocham”, „miłość” dostawała histerycznych spazmów. Nie było tych słów w jej słowniku. A tu nagle ona pisze:

- Pewnie się uśmiejesz, ale chyba się zakochałam. Aż mi się ciepło zrobiło. A jednak! Trafiło i ją!

- Co ja mam zrobić?

- Prześpij się z nim - poradziłam rzeczowo.

- Nie. Nie o to mi chodzi.

- To o co?

- Ja się nie przełamie. On musi pierwszy. Wiesz, jak byliśmy ostatnio na imprezie i troszkę sobie podlaliśmy, to mnie tak mocno przytulił, że poczułam jak mu z przodu... Chyba że to był telefon komórkowy...

- Ewa, poczekaj chwilę. Ktoś mnie zaczepia.

- Spław go.

- Chwila.

- Dobra. Jestem.

- Spławiłaś go?

- Nie. Sam poszedł. Spytał tylko o pogodę. I prosił, żebym uważała na siebie.

- Co ty jesteś? Stacja meteo? Wariat. To co mam zrobić w mojej sprawie?

- Prześpij się z nim. Zrób kolacyjkę lekkostrawną, żeby nie było niespodzianek. Włącz muzykę, wyłącz telefon i dzwonek. Koty zamknij w szafie, spacyfikuj psa i do dzieła.

- Nie! Będę czekać!

- To czekaj - zgodziłam się z nią potulnie. - Miłość na emeryturze też podobno jest piękna.

- Jesteś złośliwa.

- Nie, nie jestem. Usiłuję tylko pokazać ci, do czego ten wasz wspólny strach przed kompromitacją może was zaprowadzić.

- To co ja mam zrobić? - po raz setny zapytała Ewa.

- Napisałam ci kilkanaście linijek wyżej. Wiesz, świece i te rzeczy.

- Nie - powtórzyła z uporem maniaka.

- To nie - już się powoli zaczynałam gotować. - Słuchaj, czy ty mu powiedziałaś coś miłego? Wysyłasz mu jakieś znaki?

- Nie. Bo ja się boję okazywać emocje. Poza tym okazywanie emocji świadczy o słabości.

- Nie pieprz! Znajdę ci terapeutę. Chcesz?

- Nie. Dziękuję ci, mam.

- Proszę, córeczko.

- Nie do ciebie to było, głąbie.

- Co nie do mnie?

- Mam, nie do ciebie. Dziękowałam swojej mamie, bo to jej zasługa.

- Walcz z tym - zdecydowanie zaczęłam się wyrabiać. Mówiłam jak rasowy psychoanalityk.

- Walczę. Ostatnio nawet wzięłam go pod rękę.

- Ile czasu tak się spotykacie?

- Cztery miesiące.

- No, to za jakieś pół roku pozwolisz mu potrzymać się za kolanko. Licząc w tym tempie, to faktycznie wspólny seksualny debiut zaliczycie jako staruszkowie na geriawiccie.

- To co mam zrobić?

- Weź sprawy w swoje ręce.

- Nie mogę. Nie jestem jeszcze gotowa. Ani on.

- To nie bierz. Czekaj. W sumie masz czas. Jakies 30 do 50 lat. I czytałam ostatnio, że już jest trzecia generacja viagry.

- A wiesz, ilu psychoanalityków potrzeba, żeby zmienić przepaloną żarówkę?

- Ani jednego. Kiedy żarówka będzie gotowa, to sama się zmieni. Niecodzienna rozmowa, zważywszy na to, że do niedawna Ewka większą miłością obdarzała świat zwierząt niż ludzi. Poniekąd słusznie.

Mój małżonek znowu szaleje. Miota się po domu, najwyraźniej odczuwa nagłą potrzebę spuszczenia z krzyża. Na mnie nie może liczyć. Przecież ja to taki ugór. Z tego nadmiaru testosteronu połamał na mnie kij od szczotki. Cholera, jak tak dalej pójdzie, nie zarobię na te szczotki. Amelka, dziecko moje jedyne, pyta:

- Słuchaj, dlaczego ty z nim jesteś?

Patrzę na nią i nie wierzę, że to moje dziecko. Czuję się przy niej taka malutka. Zastanawiam się chwilami, kto jest czyją matką. Patrzę bezradnie i nie wiem, co powiedzieć.

- Przecież to twój ojciec.

- I co z tego? Nie widzę związku. (O Boże! „nie widzę związku”? w ustach trzecioklasistki!!!) - Kochasz go? Po tym, co ci robi?

- Kocham. A teraz biegiem do pokoju odrabiać lekcje!

- Oczywiście. Zawsze jak jesteś zakłopotana, to mnie wyrzucasz. To takie typowe dla rodziców - rzuciła przez ramię, wbijając mnie tym w ziemię.

Boję się, że mój Wiarołomny coś przytaszczył do domu. Jakies paskudztwo.

Byłam u mamy. Na powitanie zapytała, jak się czuję.

- Fizycznie dobrze - odrzekłam wymijająco.

- A psychicznie? - zahaczyła mama.

- Tak sobie.

Poszłyśmy do kuchni, a tam mama bez żadnych ceregieli zapytała:

- Dobra, teraz melduj, co się dzieje.

Ja, grobowym głosem, pąsowa jak róża, wypaliłam:

- Mój mąż coś przytargał. Obawiam się, że to rzeźączka - odrzekłam, jakbym miała za chwilę na to umrzeć.

Mama, zanosząc się od śmiechu, patrzyła na mnie z politowaniem.

- Jeja, dziecko, a ja już myślałam, że się stało coś straszego.

No tak, to rzeźączka nie zalicza się do chorób, którymi należy się przejmować.

- Dzięki, mamó. Wiedziałam, że potraktujesz mnie poważnie.

- Dziecko, ależ ja cię traktuję poważnie, dlatego właśnie się śmieję. Ty się tak zamartwiasz z powodu rzeżączki? Teraz to się leczy w tydzień. Zwykłym antybiotykiem. Chodź, zjemy sobie lody. „Chodź, zjemy sobie lody?????” - nie wierzę. Ja umieram ze strachu przed chorobą weneryczną, a mama proponuje mi lody. Dla niej choroba weneryczna jest warta tyle zainteresowania, co zwykły katar. Ratunku! Pochodzę z patologicznej rodziny!!!

Byłam na urodzinach Ewki. Już taką naszą tradycją się stało, że żadna z nas nie wyprawia urodzin u siebie. Żadna, z wyjątkiem Ewy właśnie. Ona organizuje przyjęcie u siebie... i my organizujemy nasze urodziny u niej. Samo tak jakoś wyszło.

- Wpadniesz do mnie na urodziny?

- Jasne. O której?

- O dwudziestej.

- Oki. To będę. Jak zwykle, u Ewki?

No. I wszystko w najlepszym porządku. Może dlatego, że jedynie ona mieszka sama i mamy ten komfort, że żaden posiadacz penisa nie wpieprza nam się w nasze niezwykle poważne rozmowy. Doborowe towarzystwo, same panny, z wyjątkiem mnie. Czarownice. Ale ja się nie liczę jako mężatka, więc oficjalnie zostałam zaliczona do grona panien. Kate, nadworna wróżka mówi:

- Jestem w ciąży.

- Poważnie? Robiłaś test?

- Nie, nie robiłam.

- To skąd wiesz, że jesteś?

- Karty jej powiedziały - złośliwie szepnęła Ewa.

- Wczoraj zjadłam dwa słoiczki marynowanych grzybków, przegryzłam słoikiem dżemu i śledziami w śmietanie.

- Kate, natychmiast przestań, bo nas zemdli.

- Masz okres? - Tak.

- To nie jesteś w ciąży. To zaburzenia hormonalne - skwitowałyśmy z pełnym znanstwem problemu.

Za godzinę dołączyło do nas młode małżeństwo z kilkumiesięcznym niemowlaczkiem.

Obstąpiliśmy małą królową jak czarownice i dopiero się zaczęło:

- Ojej, jakie ma śliczne oczka!

- Ojej, ile ma włosków!

- Ojej, jakie malutkie rączki!

- Ojej, Paweł, ona wcale nie jest do ciebie podobna. Masz przy sobie zdjęcie sąsiada?

- Ojej, jaka rzadka kupa!

- Ewka, to przestań ją bujać na kolanach, bo się rozmaśli.

Jeśli Kate nie była w ciąży, to niedługo będzie, bowiem wychodząc z imprezy, kategorycznie stwierdziła, że: „zrobi se takie”. Ze szczególnym naciskiem na „se”.

Następnie oglądałyśmy „Idola”, wygwizdując Wojewódzkiego i plując przy tym na wszystkie strony świata. Kate zaczęła śpiewać piosenki z lat 20. i 30., drąc się w niebogłosy: „Miłość ci wszystko wybaczy”. I od siebie dodała: „A jak nie wybaczy, to niech spier...”. Dołączyłam do niej z tekstem: „Już taki jestem zimny drań”.

Ogólnie zrobiło się miło, dziecko usnęło, wino się skończyło, choć Ewa donosiła, nie wiadomo skąd coraz to nowe butelki, ostatecznie skończyłyśmy na mszalnym.

Przeszłyśmy do tematu naszych biustów, a konkretnie do omawiania ich wielkości. Z oczywistych względów nie uczestniczyłam w dyskusji, jako że nie mam zbyt wiele do powiedzenia w tej kwestii. Rozmawiałyśmy także na tematy mocno ambitne, takie jak na przykład film i literatura. Od Tolkiena do Sapkowskiego.

- Wiecie, Sapkowskiego wchłonęłam jak gąbka, ale na Tolkienie się zatrzymałam na setnej stronie i nie mogę ruszyć z miejsca.

- Wiesz, ja też jakoś wolę Sapkowskiego.

- Proszę, proszę, bardzo piękne dyskusje, widzę, że panie mogą się poszczycić kwiecistym, literackim jakże językiem.

- Czy mogę ci coś zrobić? - spytała Ewka, jak rasowa gospodyni, zblazowaną Kate.

- Nie potrafisz - odpowiedziała Kate będąca w ciąży niecięży takim tonem, że od razu wszystkie pomyślałyśmy o miłości francuskiej. - Jeszcze byś się zdziwiła, moja kochana - odparła Ewka, a w jej głosie wyłapałyśmy coś, co nie pozwoliło nam wątpić. - Potrafię - ciągnęła dalej. - Ale jeżeli spotkałabym się z tobą po tym jutro, musiałabym zwymiotować. Na siebie, oczywiście.

- Zuza, a tobie co dolega? Też jesteś w ciąży? Błada coś jesteś ostatnio - czarownice zainteresowały się mną.

- Nie. Nie jestem w ciąży. Nic mi nie jest. Trafiłam do doliny deszczu i nie potrafię odnaleźć drogi do domu.

Choć wróciłam do domu o całkiem przyzwoitej porze, nie zastałam mojego męża. Wrócił około północy i pierwsze kroki skierował do łazienki, gdzie podzielił się z muszlą klozetową treścią swojego żołądka. Pół nocy, zakłócając mnie i sąsiadom ciszę nocną. Ale



prawdziwym mistrzem pawia jest Jarek, właściciel Hitlera, ten od seksualnych eksperymentów z piwem. Na naszej parapetówce wypił ździebelko za dużo i zasnął snem sprawiedliwego przy kuchennym stole. Kumple w trosce o jego kręgosłup niebezpiecznie wygięty w pałąk, zataszczyli go, niewiele myśląc do mojej, dziewiczej jeszcze, sypialni. Sypialni z dziewiczą szafą, dziewiczą podłogą, dziewiczym łóżkiem oraz dziewiczą narzutą - patchworkiem, który nabyłam za zawrotną wręcz sumę.

Kolega legł jak nieżywy i spał dalej. Po godzinie weszliśmy tam z mężem sprawdzić mu tętno, a oczom naszym ukazał się kolega leżący nadal w tej samej pozycji w towarzystwie pawia, jakiego świat nie widział. Paw bowiem był bardzo nietypowym dla tego gatunku pawia. Albowiem był czarny. Zwołaliśmy natychmiast konsylium złożone naturalnie z samych pawiowych ekspertów - kolegów mniej lub bardziej trzeźwych. Oraz żonę właściciela pawia. Zastanawialiśmy się wspólnie, czym też koleżanka karmi męża na co dzień - węglem czy kaszanką. Kasia, mocno wprawiona w zakłopotanie spowodowane podejrzeniem o paskudne odżywianie małżonka, spłonila się i powiedziała, że on jada tylko same szlachetne wędliny i ona nie ma pojęcia, co sprawiło, że paw, tradycyjnie kolorowy, w wydaniu jej małżonka stał się czarny. Konsekwencją beztroskiego puszczenia pawia podczas snu mojego dziewiczego patchworka było zapakowanie go do ogromnego worka na śmieci i obdarowanie kolegi „wynosem”.

Dzieje walki z patchworkiem znamy z przekazów ustnych ubawionej małżonki. Najpierw patchwork nie chciał się zmieścić do pralki. Wobec czego został zamoczony w wannie i przeleżał tak pół dnia w celu aby paw spłynął. Następnie kolega, pozbywszy się czarnego z narzuty, przystąpił do prania ręcznego, a kolejną czynnością było powieszenie na suszarce podsufitowej wypranej kapy. Po kilkugodzinnej walce okupionej litrami potu oraz lekko odkształconym przez spinacz do bielizny nosem (paw śmierdział okrutnie), kolega powiesił narzutę na podsufitowej suszarce, podciągnął sznurki i z miną zwycięzcy otarł pot z czoła.

Wyszedł z łazienki, zmęczony jak po ćwiczeniach na poligonie, z radością otworzył butelkę antykacowego piwa i zasiadł wygodnie w fotelu. Nagle usłyszał wielki huk. Poderwał się i rzucił w kierunku skąd dochodził huk. Do łazienki.

Patchwork, najwyraźniej za ciężki i źle wykrecony, runął do wanny, porywając ze sobą wyrwaną wraz z kołkami z sufitu suszarke. Nie wiem, co było dalej. Domyślam się jedynie, że prawdopodobnie nastąpił wysyp kwiecistych słów, które zazwyczaj w programach telewizyjnych brzmią mniej więcej tak: „pi, pipi, pipipi, pi, pipipipiiiiiiiiiiiiiii, pi, pi, pipipi, pi-pipipipipi.....”.

Jestem znerwicowana w równym stopniu, co nasz rząd. Choć ja na szczęście nie mam na karku prawie 40-milionowego sfrustrowanego narodu, a jedynie swój marny żywot. Podobnie dziura w moim budżecie, choć faktycznie duża, nigdy na szczęście nie dorówna tej, jaką wydlubali panowie ministrowie. Niedługo osiągnie rozmiar dziury ozonowej. Skutki mogą być podobne.

Nie potrafię nawet odrobić poprawnie lekcji za Amelkę, bo jak już się wezmę za potęgowanie, to 3 do 3 u mnie jest 9. A nie 27, jakby ktoś się pytał.

Dzisiaj, wchodząc do ciemnego pokoju, śmiertelnie przestraszyłam się własnego płaszcza wiszącego na drzwiach. Jeśli ta nerwica pójdzie w tym kierunku, żadna chemioterapia nie będzie potrzebna. Niechybnie zejść na zawał.

Gdy wracam na ziemię, uwolniona od chorej wyobraźni, czuję się po prostu strasznie. Obawiam się, że będę musiała powiedzieć mojej rodzinie, że jestem chora. Do tej pory wiedziałam o tym tylko ja i mój strach. Ale czuję, że jest ze mną coraz gorzej, choroba postępuje. Co nie dziwi wcale, zważywszy na to, że nie robię nic, aby ją zatrzymać. Chyba myślałam, że jeśli będę ją ignorować, to sobie pójdzie. Jakież to naiwne i infantylne. Trzymałam się tej myśli jak tonący szalup na Titanicu. Boli mnie ręka, drętwieją palce. Mam bardzo kiepską morfologię. Jeszcze gorzej z płytkami.

Czasami zwracam. To, co zjem. A jem niewiele. Gwałtownie chudnę. I pomyśleć, że jeszcze rok temu wariowałam, żeby schudnąć. Katowałam swój organizm dietami, zabiegami, nawet zastanawiałam się nad wsadzeniem sobie plastikowej rurki w tyłek w celu cudownie odchudzającego płukania jelit. O głupoto! Gdybyś miała skrzydła, fruwałabym jak ta gołębica.

W związku z tym chorobliwym odchudzaniem się nikt na szczęście się nie dziwi, że chudnę. Całe życie chudłam i tyłam na przemian. Rozmawiałam dzisiaj z Pawłem. Podstępnie zwabił mnie do szpitala. Choć „rozmawiałam” to za dużo powiedziane. Wysłuchałam tego, co miał mi do powiedzenia. Krzyczał, mówił o braku odpowiedzialności, dbałości o własne życie, egoizmie. O tym, że nie mam prawa robić tego innym. Pytam go:

- Pawełku, czego nie mam prawa robić?

- Tracisz czas. Zmniejszasz swoje szanse na wyzdrowienie. Zabrzmiało melodramatycznie. A więc kości zostały rzucone. Słowa wypowiedziane. Kurtyna opadła. A raczej została podniesiona. No ale chociaż usłyszałam, że mam jakieś szanse.

Rzeczy nazwane pierwszy raz po imieniu. Nie ma odwrotu. Są tylko dwie drogi: albo się poddam i umrę, albo spróbuję powalczyć. Tylko o co? O moje brwi? Czy może o rzęsy? A

może o włosy? Wyjdą wszystkie, co do jednego. Plusem jest to, że zaoszczędzę na kosmetykach, maszynce i kremie do golenia.

Zawsze byłam tchórzem. I teraz też nim będę. Nie chcę być odważną kobietą bez włosów i z jedną piersią. Czy powinnam być odważną matką? Amelka jest już duża. Zadziwia mnie swoją dojrzałością. Co jest lepsze: skazywać ją na wieloletnie być może cierpienia związane z walką z rakiem, jaka mnie czeka, czy pozwolić, by zapamiętała mnie taką, jaką jestem - zwariowaną, wyluzowaną matką kumpelką? Dzieci szybko zapominają. Co ja wygaduję, mój Boże? O rany! Ale ze mnie filozof!

Okłamałam ich wszystkich. Spakowałam się i powiedziałam, że wyjeżdżam na kilka dni. Nienawidzę szpitali. Niezmiennie kojarzą mi się ze śmiercią, nie z powrotem do zdrowia. Widzę ją wszędzie. W każdym zakamarku. Panoszy się niepokonana, pewna siebie. Czai się w kącie i czeka. Zazwyczaj bywa cierpliwa, choć nieraz jej się spieszy. Ubiegłej nocy zabrała dziewczynę z sali obok. Widocznie zazdrościła jej tych oczu jak dwa jeziora. Wie, że jest bezpieczna, że jej się nic nie może stać. Podjęłam wyzwanie, choć zupełnie tego nie chcę robić. Uległam namowom Pawła. Chemioterapia podobno nie jest taka straszna. Włosy? Tak, wyjdą. Ale odrosną. Ładna mi pociecha. Wprowadzają do twojego organizmu truciznę i w ten sposób cię chcą wyleczyć. Bardzo ciekawa metoda: to, co zabija raka, niszczy też zdrowe komórki.

Latamy w kosmos, a nie umiemy pokonać zwykłego raka. Klonujemy zwierzęta, a nadal umieramy na tę dżumę XX wieku.

Boję się. Tak strasznie się boję.

O Jezu! Pawłowi nie daruję. Miało być bezproblemowo. Rzygałam jak kot. Jeszcze chyba tylko mózgu nie wyrzygałam. Pierwszy i ostatni raz zafundowałam sobie tę chemię. Nie przeżyję następnych pięciu cykli. Żadna siła mnie do tego nie zmusi.

Samo wlewanie nie sprawia bólu. Chyba że pod koniec, gdy próbują znaleźć żyłę, która nie pęknie po wbiciu igły. Większość żył nie wytrzymuje i pęka pod wpływem skrzepów, które się w nich tworzą. Koszmar zaczyna się wtedy, gdy człowiek zostaje odłączony od tej trucizny. Prawie zapomniałam, jak się nazywam, gdzie jestem i co tu robię. Wyłam z bólu i poczucia niesprawiedliwości. Chodziłam po ścianach. Najbardziej wtedy chciałam umrzeć. Leki osłonowe niewiele pomagają.

1 ja mam to powtórzyć za dwa tygodnie? Nie mam mowy. Związałam ze szpitala. Wypisałam się na własną prośbę. Po krótkiej, choć burzliwej wymianie zdań z Pawłem. Wiem, że ma rację. Ale ja też ją mam. Muszę przemyśleć sobie wszystko. Poukładać. Przewartościować.

Jestem, a jakby mnie nie było. Mówię, a jakbym nie mówiła. Wstawiam wodę na herbatę zupełnie nie kontrolując tego, co robię. Marzę o herbacie. Samo myślenie o tym, że już za trzy minuty usiedzę w fotelu, podwinę nogi, przykryję się pledem i obejmę dłońmi kubek z gorącym napojem, napawa mnie rozkoszą.

Rozkosz wzrośnie, gdy pomyślę jeszcze o tym, że włączę muzykę. Zgaszę światło, zapalę świecę. I będę tak sobie siedziała po cichutko, sama, w tej ciszy. Uwielbiam to. Ten stan. Oszczędnie piję tę herbatę, uważając przy tym, by nie uронić ani kropelki. Dzisiaj jest miętowa z czekoladą. Bo skończyła się o smaku grzanego wina. O Boże, jak ja uwielbiam ten stan. Żebym jeszcze można było przy tym o niczym nie myśleć. Albo... albo chociaż o niczym nieprzyjemnym. Nigdy wcześniej nie pomyślałabym, że takie siedzenie w ciemnościach, przyglądanie się płomieniom świec w rytm płynącej muzyki i popijanie herbatki może dostarczyć mi takich doznań. Orgazm to nic w porównaniu z tym. Nic nie odda tego nastroju. Ja - sam na sam ze sobą. Żebym jeszcze miała sobie coś do powiedzenia. Albo... albo chociaż coś miłego.

Coś upadło. Ostry, metaliczny dźwięk zakłócił tę moją prywatną ciszę. Tę psychiczną „izolatkę”, do której uciekam wtedy, gdy moje skołatane, oszalałe, dezorientowane myśli nie są już w stanie usiedzieć na miejscu, w głowie, i za wszelką cenę chcą się wydostać. Żeby jeszcze chciały się wydostać naprawdę. Albo... albo chociaż chciały zostać.

Wiem, co upadło na podłogę. Wiem, co rozdarło moją ciszę. Nawet nie muszę się schylać, żeby mieć tę pewność. Uwielbiam siadać z podwiniętymi nogami w fotelu. Zapadać się w nim. Jeden łokieć na oparciu, drugi na kolanie. Ten z oparcia ułożył się jakoś inaczej. Nienaturalnie.

Dłoń puściła już kubek z herbatą. Ale to nie było gwałtowne rozstanie. Bez żadnej szamotaniny, bez łez jak w kłótni kochanków. Pełen spokój. Kontrola. Nadgarstek lekko opada za brzeg oparcia. Jest ciemno. Ciemno w pokoju i w duszy. I ta dusza się wierci. Chce się uwolnić. Bo nie lubi ciemności. Dusza nie lubi mroku. Patrzę na płomień świecy, a w jego blasku widzę cztery poprzeczne kreski na nadgarstku. Widzę, jak nabiegają krwią. I nic. Oprócz czerwonej kreski nic się nie dzieje. Podnoszę to, co upadło.

Robię kolejne cztery nacięcia. Nawet nie boli. Żeby bolało... Albo żeby chociaż już przestało boleć coś innego. Te nacięcia w moim sercu. Żeby ktoś przestał już mi je robić. Albo... albo żeby chociaż nie bolały. Uwielbiam tę ciszę. Chcę być sama. Już tak do końca chcę być sama. Siedzieć w ciemności, słuchać muzyki i sączyć herbatę. Sama ze sobą. Ja i ja. Ona i ona. Ja i ona.

Nic mi ostatnio nie wychodzi. Nawet noże były zbyt tępe. Żeby były tępe. Albo... albo chociaż żeby ich wcale nie było. Coraz mniej rozumiem z tego, co dzieje się wokół mnie. Chociaż się staram. Za słabo? Dziadek ma osełkę. Naostrzy.

Głupia. Naostrzy. Jeśli go o to poproszę. Bo dla mnie zrobi wszystko. Najpierw naostrzy, ja potem zrobię znowu osiem nacięć i tym razem się uda.

A dziadek, kiedy dowie się, co zrobiłam - umrze. Tak po prostu zwyczajnie sobie umrze. Bo po co ma dalej żyć? Jestem dla niego wszystkim. To jest jedyny mężczyzna na świecie, który mnie kocha. Zwyczajnie mnie kocha. Bezinteresownie. Tak jak umie jego 80-letnie serce. Kochał mnie tak samo 25 lat temu, gdy wsadził mnie do antresoli bo tego chciałam. A ja popchnęłam drzwiczki i wypadłam. I on z tej miłości biegł ze mną na rękach szpitalnym korytarzem, krzyząc: „To moja wnuczka. Ratujcie ją”. Byłam nieprzytomna. Sama nie wiem, dlaczego do dziś widzę tę scenę. Dziś nie wzięłyby mnie na ręce. Ale tak samo mocno by krzyczał.

Łatwo jest się unicestwić. To proste, choć trudne. Ale co z tymi, którzy zostają? Można brać odpowiedzialność za swoje życie. Ale czy można żonglować życiem najbliższych?

Pora wstać z fotela. Włączyć światło. Zamiast Ordonówny słuchać hip-hopu. Tylko dlaczego tak ciężko mi się podnieść? Żeby tak mogła wstać. Albo... albo chociaż żebym nie musiała siadać. Płyta się skończyła. Świece zgasły. Herbaty już nie ma. I cisza jakby inaczej brzmi.

Włosy zostają na poduszce. Po pierwszym cyklu? Boję się wziąć szczotkę do ręki.

Za kilka dni lecę do Paryża. Bardzo chcę czuć się dobrze. Pomyślę o wszystkim później. Później. Jutro, jutro.

Muszę odciążyć moją głowę. Postanowiłam wysłać Wymyślonego na placówkę. Będzie ambasadorem. Wszystko jedno, kim będzie. Niech leci. Muszę odpocząć.

Wylatuje już dzisiaj. Jak jednym zdaniem można wymazać część swojego życia? Okazuje się, że bardzo szybko. Bezboleśnie. Ale pod warunkiem gdy coś boli cię mocniej. Już nie wiem, czy bardziej dokucza mi ciało, czy dusza? Wyrzuciłam Wymyślonego z mojej głowy i jest mi smutno. Nie będę mogła już oddawać się wyrafinowanej wyobraźni. Nie ma na nią miejsca.

Jego samolot spadł 23 minuty przed lądowaniem. Nic mi już nie zostało. Nic oprócz tego, co we mnie. Wspomnienia. Jak się śmiał. Do mnie. Jak płakał. Przez mnie. Jak mnie przytulał, gdy tańczyliśmy. Jak mnie dotykał. Wchodził we mnie. Jak mnie całował.

Jak się złościł.

Jak krzyczał.

Że mnie kocha i nigdy nie pozwoli mi odejść.

Sam odszedł. Pozostał mi po nim jeden SMS w telefonie: KCBM.

Kocham Cię Bardzo Mocno.

Pocałunek na ustach.

Dotyk jego dłoni na moim policzku. Tuż przed odlotem.

Oddech na karku.

Niedopita herbata w kubku z Gdańska. Kupiłam mu ten kubek, bo był na nim napis: „Najlepszy kochanek na świecie”.

Został jego zapach na pościeli, na ręczniku. W moich włosach.

Ostatnie spojrzenie żegnające mnie za bramką odprawy pasażerów lotu 467. Lot 467 z Warszawy do Aten. Dobranoc, Wymyślony. Nie mam już łez. Wybacz.

Serce, moje serce. Tak bardzo boli. I ten dźwięk... Znajomy odgłos. Moja dusza się stłukła. To odgłos stłuczonej porcelany...

Robię wszystko, żeby się nie załamać i nie umrzeć, zanim umrę na tego raka, co to go w sobie noszę.

Wyjechałam do Paryża w fatalnym stanie ducha i ciała, a wróciłam w jeszcze gorszym. O jeden dzień wcześniej. Czulałam się tak źle, że po prostu musiałam lecieć wcześniej, bo zwyczajnie bałam się, że umrę we Francji. Taki irracjonalny strach.

Podróż samolotem upłynęła bardzo miło, sympatycznie i komfortowo, w oparach czerwonego i białego wina. W ramach integracji europejskiej integrowałam się z pasażerem siedzącym obok mnie. Integrowaliśmy się winem, oczywiście. Cały lot przegadaliśmy. Po kolejnej buteleczce stwierdziłam, że ja już więcej nie, bo inaczej będzie mnie taszczył jako dodatkowy bagaż.

Kiedy taksówka podwiozła mnie pod hotel, zamarłam z przerażenia. Wyglądał jak Ritz, a tyle pieniędzy to ja nie miałam. W środku okazał się też być piękny. Jak Ritz.

I zostawiłam w tym Ritzu moje piękne czarne stringi od Triumpha suszące się na grzejniku. Zakupione na Okęciu w strefie wolnocłowej. Nie sądzę, żeby odesłali.

Kiedy wyszłam z konferencji, poszukiwałam taksówki, ale było ciężko, więc szłam przed siebie. Robotnicy drogowi bardzo głośno wyrażali swoje zdanie na mój temat, głośno gwizdząc, jeszcze głośniejszymi mlaszcząc oraz krzycząc: ulala!!!

Z ulgą dostrzegłam postój taksówek. Niczego nie zwiedziłam, ledwo mogłam chodzić, nie jadłam, nie piłam, za wyjątkiem tego, co podali w samolotach. Rano, gdy się wymeldowywałam, recepcjonista zapytał, czy korzystałam z barku w pokoju. Oczywiście, że

nie korzystałam, ponieważ nie wiedziałam, że go mam. Pędem pognałam do pokoju i sprawdziłam zawartość: dwa małe koniaki, dwa małe wino, dwie butelki wody mineralnej gazowanej oraz dwie niegazowanej, dwie butelki coca-coli, dwie soku pomarańczowego, dwie jabłkowe, dwie paczki orzeszków solonych oraz dwa pudełeczka cukierków. To ja, idiotka z prowincji, w nocy umierałam z gorączki i odwodnienia, a tuż obok mojego nosa miałam lodówkę z takimi frykasami!!!

W samolocie natychmiast poprosiłam o dwie butelki wina: białe i czerwone, i jeszcze szybciej schowałam je do torby. Będę miała na wieczór. Wypiłam dwie szklanki soku, jedną za drugą, jednym duszkiem. Następnie poprosiłam o herbatę, którą osłodziłam pieprzem. Nawet niezła była, po wrzuceniu cytryny.

Gdy wysiadałam z bardzo, bardzo małego samolotu w Warszawie, o mało nie spadłam ze schodów, straciwszy równowagę. To przez moje zakupy poczynione we francuskim sklepie wolnocłowym. Przytrzymała mnie stewardesa.

Ponieważ przyleciałam o czasie, zdążyłam na pociąg. Na Dworcu Centralnym ulitował się nade mną bezdomny i zatańczył mi walizkę na peron - ja taszczyłam pięć ciężkich reklamówek. W przyływie dobroci dałam mu dziesięć złotych polskich. To i tak niewiele w porównaniu z tym, ile zapłaciłam za taksówkę wiozącą mnie z francuskiego lotniska do hotelu. Jak sobie to przeliczyłam na złotówki, to prawie zemdlałam. Zapłaciłam tyle, ile wynosi zasiłek dla bezrobotnych.

Wsiadając do pociągu, znowu się przewróciłam, pokonana przez wąskie wysokie schodki oraz reklamówki. Ciszę się, że mnie nie wepchnęli pod pociąg.

Teraz siedzę i cieszę się moim pięknym zegarkiem, który sobie nabyłam w Paryżu. Nie noszę zegarka od 15 lat. Ten był tak fantastyczny, że włócznie I игещпы musiałam go mieć. I ma jeszcze tę zaletę, że kosztował połowę tego co taksówka.

Najbardziej poruszył mnie widok chmur, nad którymi lecieliśmy. Wokół nas czyste niebo, a pod nami przecudowne wariacje z chmur. Jedne postrzępione, poszarpane jak wata cukrowa, inne o łagodnych kształtach. A pod nimi życie. W powietrzu -48 stopni. Chmury drwałami tworzyły przecudną pościel, w którą chciałoby się skoczyć i miękko wylądować, zatapiając się w niej po same uszy. Z tym że, rzecz jasna, nie miękko, a raczej twardo i boleśnie. Nie boleśnie - bo nieżywo. Ale tak to wyglądało. Natura jest niesamowita. Piękna i okrutna zarazem. Nie wiem, ile mi jeszcze czasu zostało, ale wiem, że właśnie teraz najbardziej ze wszystkiego chcę cieszyć się takimi właśnie widokami. Ciekawe, czy wymyślony też to widział przez okno swego samolotu tuż przed śmiercią?

Staram się o tym nie myśleć. Ale nie radzę sobie, Boże, nie radzę sobie z tym absolutnie. Tyle rzeczy mi go przypomina. Każda myśl, słowo. Są momenty, że prawie czuję, jak mnie dotyka. Słyszę, jak do mnie mówi. Jestem pewna, że tam, we Francji, był ze mną. W samolocie, w hotelu. Wtedy, kiedy byłam bardzo chora, w obcym mieście i kraju, leżałam męczona gorączką - był przy mnie. Siedział na brzegu łóżka mój Anioł i trzymał mnie za rękę. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że nie pozwoli mi umrzeć.

Muszę coś ze sobą zrobić. Trzymam swoje życie w moich rękach i co? Udaję, że nie ma problemu. A tymczasem problem jest i to w dodatku coraz większy. Wymyślony, gdyby żył, nie pozwoliłby mi na to. Odstawiłby mnie do szpitala i stał za drzwiami jak żandarm. Żebym nie uciekła. A gdy już wyszłyby mi wszystkie włosy, wziąłby moją buzię w swoje ręce i powiedział, że jestem piękna. I że kocha mnie jak nigdy nikogo.

Bo już dawno temu wszystko się zmieniło. Mówił mi. Mówił o miłości. O smutku i radości. O tym, że nigdy nie przestanie mnie kochać. To prawda. Nie przestał. Mówił także, że będziemy zawsze razem. Okłamał mnie. Zostawił mnie samą. Zwyczajnie sobie umarł w cholernym samolocie. Do którego ja go wsadziłam. Ta placówka to był mój pomysł. On nie chciał wyjeżdżać.

Zabiłam Wymyślonego. Zamordowałam Zuzannę - tę po drugiej stronie lustra.

Jakiś miły akcent w tym moim niemiłym ostatnio życiu. Zostałam sekretarzem redakcji w naszej uczelnianej gazecie. W zamian za współtworzenie czasopisma zwolnią mnie z czesnego. Fajnie, cieszę się, to poważna i odpowiedzialna funkcja. Mam nadzieję, że starczy mi sił. Aktualnie mam ich trochę więcej, choć może tylko pozornie. Wirtualny przyjechał. Niespodziewanie dla mnie i dla niego samego. Zjedliśmy razem obiad w uroczej restauracji i już musiał wracać. Byłam trochę nieobecna podczas posiłku, zdałam sobie bowiem sprawę, że o mały włos źle ulokowałabym uczucia, a poza tym, nie bardzo było po co je lokować. Zrozumiałam również, że Wymyślony był dla mnie najważniejszy. Krótka fascynacja Wirtualnym minęła szybciej, niż sama się spodziewałam. Bo prawdziwej miłości nie da się tak po prostu odsunąć na bok. Będzie cierpliwie pukała do naszych drzwi, nawet jeśli spróbujesz ją nawet na moment wystawić do przedsionka. I tym cierpliwym kołatanem, przypominaniem o sobie sprawi, że poczujesz ją jeszcze mocniej.

Patrzyłam na Wirtualnego przez szkło kieliszka z winem i myślałam: „Jak dobrze, że tak szybko serce dostrzegło pomyłkę. Mniej bólu, mniej łez i głupich wyrzutów sumienia”.

Wirtualny coś mówi, nie wiem co, bo nie słuchałam. Słyszałam, ale nie słuchałam. Wyobraziłam sobie, że zamiast niego siedzi po drugiej stronie stołu Wymyślony. Zrobiło mi



się tak dobrze. I tak źle zarazem. Wiem, że Wymyślony był częścią mojego życia. Bez niego już nic nie będzie takie samo.

Moja córka mnie zadziwia. Uczy się bardzo dobrze, w dzienniczku same piątki i czwórki z plusem. Jeszcze chwila i koniec półrocza. Jestem z niej dumna. Szczerze muszę przyznać, że nie wierzyłam we własne dziecko. W szkole muzycznej radzi sobie doskonale. Na prywatnych lekcjach angielskiego także. Gdy na nią patrzę, widzę siebie. Z tym że ja nie byłam tak mądra jak ona. I utalentowana. Jedyne talenty to ten, że gdy czytałam moje wypracowania z polskiego, cała klasa płakała ze śmiechu. Gdy recytowałam wiersze, też wszyscy płakali. Jak widać, od początku ludzie przeze mnie cierpieli.

A Amelka? Czego się nie dotknie - sukces gwarantowany. A najfajniejsze jest to, że ona to wszystko robi tak od niechcienia, mimochodem, bez specjalnego angażowania się. Człowiek tu sobie flaki wypruwa, żeby coś się udało, a ona wchodzi, raz, ciach i już. Życie jest niesprawiedliwe, ale bardzo się cieszę, że w tym wypadku upatrzyło sobie moją córkę.

Dostałam SMS-a od czarownicy: „Złot dzisiaj o siódmej wieczorem. Odpalaj miotłę i przylatuj”. Poszłyśmy na lody. Gelato. Najpierw pół godziny oglądałyśmy kolorowe zdjęcia deserów i dwa razy odprawiałyśmy kelnerkę, nie mogąc się na nic zdecydować. Nazwy nam się bardzo podobały: Magnolia e Bevi; Magico Autunno; Nero di Sepie; Coppa Monte Bianca; Coppa Della Casa; Dolce Vita. Zamówiłam Coppa Della Casa. I ten deser okazał się być największym, jaki mieli, choć na zdjęciu wcale tak nie wyglądał. Zazwyczaj z tymi zdjęciami jest odwrotnie. Modelki mają na fotografiach ogromne biusty, a w bezpośrednim kontakcie okazuje się, że jest tak, jak w serialu „07 zgłoś się”, gdy aktorka Żółkowska w cmentarnej krypcie rozbiera się przed Borewiczem, mówiąc: „Nie mam nic do ukrycia”, a Borewicz, taksując jej biust odpowiada: „No faktycznie. Niech pani schowa te piegi, bo się pani przeziębii”.

Z moim pucharem dziewczyna szła prawie na ugiętych kolanach. Gdy postawiła go przede mną, czarownice odsunęły się, jakbym była trędowata i głośno powiedziały: - To nie dla nas, to dla tej pani.

Oczywiście natychmiast czterdzieści par oczu skierowało się na mnie, by zobaczyć, kto ma zamiar pożreć deser wielkości arbuza. Czulałam się jak dziecko przyłapanie na zjadaniu czekolady pod łóżkiem. Prawie chciałam zacząć się tłumaczyć, dlatego zamówiłam coś tak nieprzyzwoicie wielkiego.

Bawiłyśmy się świetnie, wyławiając z pucharka owoce i próbując je nazwać. Jadłam dobre pół godziny i nic mi nie ubywało. Poddałam się, gdy Kate powiedziała, bekając przy tym nieco za głośno, że teraz przydałoby się to przegryźć mięsem. Pojechaliśmy po pizzę,

uprzednio zaopatrując się w całkiem niezłe czerwone wino. I kilka ciastek z kremem. Wieczór upłynął znowu na oglądaniu telewizji, okazało się, że jestem muzycznym jęlopem, ponieważ nie mam pojęcia, znów kto jest kto. Przykro mi się również zrobiło, bo dziewczyny okazały się lepsze ode mnie. W bekaniu. Ja nawet sobie beknąć porządnie nie potrafię. Gdyby takie wieczory były codziennie zapomniałabym...

Wagary się przedłużyły. Stosuję metodę wyparcia. Jednocześnie mam świadomość, że w tej walce liczy się każdy dzień. Tylko że nie wiem, czy ja chcę walczyć.

Amelka - ona powinna być moją motywacją. A jednak to za mało.

Dlaczego tak jest? Co się ze mną dzieje?

W domu byłam wyjątkowo późno. Ledwo zdążyłam wskoczyć w pierwsze lepsze bokserki mojego męża, gdy usłyszałam łomotanie do drzwi. Dzwonek, rzecz jasna, nie działa. Nic w tym domu nie działa, a już wkrótce przestaną działać i ja.

Tak subtelnie dawać znać o swoim nadejściu mogła tylko Bożena. Zerkam przez lipko, żeby przypadkiem znowu nie otworzyć inkasentowi półnago, jak często mi się zdarza. Patrzę, a tam Jeździec Apokalipsy. Mam nadzieję, że nic się nie stało. Zbiegłam boso, po drodze wbijając sobie w stopę kość należącą do Tequili.

- Hej, Bożenko! Wybacz, ale dopiero wróciłam i usiłuję ogarnąć to pobożowisko. Nie ma cię człowieku kilka dni, a szkody takie jak po trzęsieniu ziemi. Wchodź!

- Wiem, że dopiero przyszedłaś... Czekałam na ciebie.

- O! Czyżby znowu któraś z naszych dziewczyn wydlubała drugiej oko? Opowiadaj! Lewe czy prawe? A może chodzi o zęby? Mam nadzieję, że nie jedynka!

- Nie. Nie o to chodzi.

- Jezu, Bożka, mów no wreszcie co się stało, bo szczerze mówiąc, wyglądasz tak, jak by ktoś umarł.

- No właśnie - westchnęła ciężko Bożka. - Chciałam ci powiedzieć.

- Kto?

- Pamiętasz mojego sąsiada? Tego przez ścianę?

- Poczekaj... poczekaj... Tego, który prawie nie wychodził z domu?

- Tak. Tego.

- Bożka, ja go widziałam może trzy razy w życiu i to tylko w przelocie. Czasami wydawało mi się, że widzę go w oknie, ale nigdy nie byłam 100% pewna. Wiesz, dosyć tajemniczy facet. Co z nim?

- Nie żyje. I nikt nic nie wie. Dzisiaj rano przyjechała do niego siostra z Krakowa. Otwiera swoimi kluczami, wchodzi, woła go, a tu nic. Cisza jak makiem zasiał. Poszła na

górze. I tam go znalazła. Zimniutki jak sopelek. Mówię ci, co tu się działo. Policja przyjechała, bo najpierw myśleli, że może go ktoś ukatrupił. Ostatecznie okazało się, że on po prostu sobie umarł. We śnie. Jak ja marzę o takiej śmierci... - przewróciła oczami Bożka.

- Bożka, ty mi się tu nie rozmarzaj, tylko mów, o co chodzi. Chcesz forszę na wieniec? Sąsiedzi robią składkę, tak?

-Nie.

- No to co było dalej?

- Dalej nie było nic. To znaczy było.

- Kobito, zdecyduj się wreszcie.

- Bo mi zakręciłaś w głowie. Ja przyszedłam do ciebie, bo powinnaś coś zobaczyć.

- O nie! Nie będę oglądać żadnego nieboszczyka! Zboczona jesteś, jeśli myślisz, że...

- Zuza, kiedy się wszystko uspokoiło i już go zabrali, no tam, no wiesz...

- Wiem. Dawaj dalej.

- To przysłała do mnie ta kobieta. Jego siostra. I poprosiła mnie, żebym z nią poszła do jego domu. Rozejrzała się. Najpierw odmówiłam, ale ona nalegała. Była taka zagubiona. To poszłam. A mówię ci, jak się bałam...

- I co? Bożenko? Co było w tym mieszkaniu?

- Zobacz sama. Ta babka zostawiła mi klucze. Tylko zmień bokserki na dżinsy.

Weszłyśmy do kompletnie zaciemnionego pokoju. Pierwsze piętro. Z rozkładu pomieszczeń domyśliłam się, że to sypialnia. Zapach goździków i cynamonu przyjemnie łaskotał mój nos. Szłam ostrożnie, żeby nie wpaść na jakiś mebel, a także przy okazji nie połamać sobie nóg. Bożka trzymała mnie za rękę. Namacała kontakt i powiedziała:

- Zuza, a teraz popatrz.

I włączyła światło. O mój Jezu! Bożka, nie puszczaj mnie. Trzymaj mnie kobieto. Uszczypnąć też mnie możesz. Nie zemdleć. Nie zemdleć.

Były wszędzie. Na ścianach, w ramach na stolikach, leżały porozrzucane na podłodze. Cała ściana w pokoju była nimi wyklejona. Podeszłam bliżej.

- Jezu! Bożenko, to przecież...

- Ty... Wszędzie ty. Zuza, kiedy ja tu weszłam, prawie padłam, mówię ci. Ale to jeszcze nie wszystko. Zobacz to. I podała mi kartonowe pudełko wypełnione kartkami papieru. Równo zapisane. Zaczęłam przeglądać. To był dziennik. Zapiski dzień po dniu. Choć niektóre wcale nie datowane.

- Bożka, to jego pamiętnik!

- Przeczytaj teraz.

- Nie mogę, to przecież jego prywatność.

- Słuchaj, Zuza. Teraz on już nie potrzebuje żadnej prywatności. To po pierwsze. A po drugie, zacznij czytać, a przekonasz się, że to nie tylko jego prywatność.

19 stycznia.

„...Wiem, że dziś są jej urodziny. Kupiłem jej kwiaty i wysłałem przez kuriera. Dostanie wieczorem. Trzydzieści. Różę. Najdłuższe, jakie były i najbardziej bordowe, jakie udało mi się zamówić... „

19 stycznia. Mam wtedy urodziny.

- Bożka - ja mam urodziny 19 stycznia... Dostałam wtedy kwiaty. Bez żadnego liściku. Myślałam, że to mój Wiarołomny, choć on milczał jakby mu usta zaszyli i robił tylko głupawe miny.

- Wiem. Czytaj dalej.

14 lutego, Walentynki „To straszne kochać kogoś tak bardzo i nie móc wysłać mu walentynki. Kochać. Nie mogę. Zrobić tego nie mogę. Nie wolno mi. Zburzyć świat, w którym ona żyje? Nawet jeśli nie jest to dla niej najlepsze? Nie wolno mi. Kocham. Tylko kwiaty. To mi wolno. I jeszcze patrzeć mi wolno. Na nią. Codziennie. Rano. Po południu. Wieczorem jak otwiera i zamyka drzwi. Jak otwiera i zamyka mój dzień.”

„Ma oczy opuchnięte od płaczu. Tłumi go w sobie. Poszedłem kiedyś za nią na pole. Koniec wiosny, początek lata. Nikogo więcej. Trawa mokra od porannej rosy. Położyła się na niej. Na boku. Skuliła się. Płakała. Bezgłośnie. Nauczyła się płakać po cichu. Stałem tam, daleko za drzewem, a prawie widniałem te łzy. Niemal czułem ich słony smak...”

O mój Boże! Litery skakały mi przed oczami, zlewając się w czarną plamę.

„... Wrócił do domu. Otworzyła mu drzwi - Rolety w oknie nie są opuszczone Rozmawiają... Ona stoi tyłem do niego. Zmywa naczynia. On ją o coś pyta. Ona zastyga na moment, opuszcza z rezygnacją głowę. Odpowiada mu. Nie widzi jednak, bo wciąż jest do niego odwrócona plecami, że on bierze do ręki szczękę na długim kiju. Kij łamie się na jej plecach. Gdyby miał, skurwysyn, pistolet, to też by jej strzelił w plecy. Ona stoi dalej przy zlewozmywaku. Jak automat zmywa te cholerne talerze. Pochylona z bólu. On wychodzi. Wsiada do samochodu i rusza z piskiem opon. Ja wiem, dokąd on jedzie – Boże! I ona jest taka dobra. A teraz będzie nosiła na plecach pręgę długości kija od szczątki. Wyszła z domu. Ta pręga wyryła w moim mózgu pionową linię.”

Oddychać. Oddychać... Raz, dwa trzy... Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... Tylko spokojnie. Spokojnie. Czym jest spokój?

Koniec kwietnia „...Zbudowała swój świat. Latami stawiała cegła po cegle, cierpliwie uzupełniając cementem najmniejsze nawet szczeliny, przez które ktokolwiek mógłby dostrzec, czego nie powinien. Mozolnie, z trudem, dźwigała worki, dosypywała piasku, wlewała wodę i robiła spoinę. A potem znowu, pomalutku, dzień pod dniem, miesiąc po miesiącu i rok po roku, budowała mur. Miał ją chronić. Nikogo nie wpuszczała. Nikt nie wiedział, co kryje się po drugiej stronie. Na straży postawiła ironię, szyderstwo, sarkazm i kpinę.”

Zamęt. Zamęt. W głowie karuzela. Diabelski młyn. Raz, dwa, trzy... Czytam dalej.

Maj. „Chciałbym poczuć jej zapach, smak. Delikatnie całować jej powieki, gdy leży z zamkniętymi oczami, bawić się jej włosami. Czysto zastanawiam się, jak smakuje jej skóra? Może ma zapach i smak pomarańczy, a może jest jak jabłko z cynamonem? Na pewno jest słodka. Może smakuje jak świeża zerwane maliny?”

Bożka wyjęła mi z ręki kartkę i pociągnęła mnie do drugiego pokoju. Kiedy zapaliła światło, poczułam się tak, jakbym przeniosła się nagle do innego świata.

To był najwyraźniej salon. Wypełniony po brzegi porcelanowymi cackami. Były wszędzie. Filiżanki z ręcznie malowanymi wzorkami. Porcelanowe figurki. Lalki w precyzyjnych sukniach. Stałam jak zaczarowana, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że ten pokój jest magiczny.

„Zuzanko droga.

Patrzę na Ciebie. Obserwuję. A to, co widzę, tylko świadczy o tym, jak bardzo Twoje serce potrzebuje prawdziwego kontaktu. Jak bardzo, bardzo jest wymęczone dotychczasowymi cierpieniami.

Oczywiście, że kiedy pojawia się uczucie, łatwiej dążyć do jakiegoś spełnienia tego uczucia, niż po prostu pozwolić mu być.”

Czekając na wschód słońca „Nie spałam całą noc. Siedzę przy oknie i czekam na wschód słońca.

Tak bardzo bym chciał budzić się z nią i zasypiać. Siedzieć wieczorami przed kominkiem i pić szampana bez żadnej specjalnej okazji.

Już sam fakt, że żyjemy, jest okazją. Żyjąc, tracimy przecież życie. Umieramy od chwili narodzin. Ostatnio śni mi się wciąż ten sam sen: idę z nią brzegiem morza.

Jest chłodno, wieje silny wiatr.

Na plaży jesteśmy tylko my sami.

Ona mówi: Adasiu, popatrz jakie wielkie mewy - wskazując na rybitwy.

Czytamy napisy namalowane sprayem na ogromnych kamieniach:

Romek kocha Anię.

Ona przystaje, patrzy m mnie i pyta:

A czy Adam kogoś kocha? A ja przyciągam ją do siebie tak blisko, że czuję przez kurtkę bicie jej serca. Stawiam jej kołnierz bo marznie jej szyja.

I mówię: Czy kocha? Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Wnętrze pokoju wypełniał aromat suszonych jabłek. I wszędzie ta porcelana. Krucha porcelana. Podeszłam do stołu, na którym stała prześliczna zastawa.

20 maja „Zachwycam się nią. Celebruję każdą minutę, kiedy mogę na nią patrzeć. Żyję w ciągłym zachwycie. Kiedy zamykam oczy ~ wciąż ją widzę. Słyszę jej śmiech i wiem, że nie śmieje się z całego serca. Chciałbym ją pocałować. Prosto w serce.”

„Jesteś kobietą wyjątkową. Twoje ciało jest przekąźnikiem – za jego pomocą kontaktujesz się ze znajdującym się w Tobie nieograniczonym źródłem mądrości. Kiedy jesteś wśród niewłaściwych ludzi, Twoje ciało daje znaki, reaguje na nich odpowiednio, i wtedy złościsz się, denerwujesz; To jest przejaw mądrości. Kiedy rozmawiasz z właściwą osobą, jesteś spokojna.”

Bałam się wzięć do ręki jedną z filiżanek. Ale nie mogłam się oprzeć. Obracałam w dłoniach prawdziwe dzieło sztuki. Nie mogłam nacieszyć oczu jego pięknem i delikatnością. Na zmianę wpatrywałam się w figurki jak urzeczona i jednocześnie chłonełam słowa utrwalone na kartkach papieru.

„Za oknem wciąż ma się maj.

Spytaj mnie, czy szklanka jest do połowy pusta, czy do połowy pełna.

Odpowiem Ci, pełna.

Spytaj mnie, czy cielony to kolor nadziei.

Odpowiem: a jakiego chcesz^ by była koloru Twoja nadzieja?

Spytaj mnie, czy wolę dzień od nocy.

Odpowiem, że kocham je tak samo mocno:

Dzień za to, że podwała mi na Ciebie patrzeć,

A noc za to, że pozwala mi o Tobie śnić.

Spytaj mnie, za co kocham Cię najbardziej.

Odpowiem: za tę porcelanę w Tobie”.

„Zuzanno, wyjdź z doliny deszczu. Wiem przecież, że znasz drogę powrotną.”

Ale skąd on...? Jak?

Nikt nigdy. Ani Wymyślony. Ani Wirtualny. A już na pewno nie Wiarołomny. Żaden tak do mnie nie mówił. Czy to oznacza, że znowu się myliłam? Maks - obudź się. Jakie

„znowu”? Kobito, ty się permanentnie mylisz. Masz patent na pomyłki. Wydaje mi się, że tę bezgraniczną naiwność wyssałam z mlekiem matki. Mogłabym tak powiedzieć, gdyby moja matka karmiła mnie piersią. Ale nie była taka uprzejma. Za to ja musiałam leżeć z biustem na wierzchu przez trzy lata, bo moja Amelka żyć bez tego nie mogła. Czasami zdarza się jej to do dziś. Ssanie.

Koniec lipca

„Tak naprawdę nie jest ważne, jak długo żyjemy. Najistotniejszy jest to, jak żyjemy.”

„...Dzisiaj znowu buszowałam po Allegro. Wystukałam coś pięknego. Wygląda zupełnie jak ona. Śliczna, krucha i pełna wdzięku. Ma długie włosy, duże oczy i bardzo smutną twarz. Porcelanowa figurka.”

- Zuza - zawołała mnie Bożka.

Zrobiła to za głośno. Za głośno i za szybko. Maleńka filiżanka wypadła mi z ręki. Rozsypała się na drobniutkie kawałeczki. Usłyszałam dobrze znajomy dźwięk. Dusza stłukła się po raz kolejny. Powinam się do tego przyzwyczaić. Poskleja się, poskleja. Więc dlaczego boli wciąż tak samo?

- To nic, Zuzka, nie przejmuj się. Chodź, pokażę ci coś jeszcze. Coś jeszcze? To może być jeszcze coś? To, co zobaczyłam do tej pory, to mało?

- Zuza, tutaj są listy. Wszystkie adresowane do ciebie. I nigdy nie wysłane. Kiedy czekałam na ciebie, policzyłam je. Wiesz ile jest? Siedemset trzydzieści.

- Siedemset trzydzieści - powtórzyłam głucho za nią jak automat.

„Wiem, co chcę zrobić. Otworzyć drzwi do Twojego życia. Do tego, żebyś mogła cieszyć się każdą chwilą.”

- A czy wiesz, co to oznacza? To nam daje dwa listy dziennie albo jeden przez dwa lata. Jeden list rano, drugi wieczorem. Zupełnie tak, jak by witał się i żegnał z tobą.

„...Zamyka i otwiera mój dzień...”

„Niektóre doświadczenia są jak kataklizmy - zmiatają nas z powierzchni zjem na długie miesiące. Są jak emocjonalne huragany, niszczycielskie żywioły siejące ból i spustoszenie. Wymiatają z naszych serc każdą odrobinę radości. Rozpacz może nas łatwo pokonać albo mądrze wzbogacić... Według angielskiego terapeuty Robina Skynnera, żeby wyostać się z prywatnego piekła, trzeba się najpierw przyznać, że się w nim jest. Aby móc się autentycznie pogodzić z doznaną krzywdą, należy doświadczyć głębokiej żałoby. Wyjście z piekła Zawsze prowadzi przez czyściec. Nie ma drogi na skróty. Ból trzeba przeboleć do końca. Wiele osób boi się rozpacz. Lęka się zanurzenia w głębokim żalu. Odpędza cierpienie. Funduje sobie ból w małych dawkach: w smuteczkach, melancholiach. Dlatego

właśnie odzyskanie równowagi zbiera im całe lata albo też są podłamani do końca życia. Tymczasem nie należy się „podłamać”, należy się „połamać” żeby się odrodzić. Dramaty boją, bo nie umiemy ich przeżyć do końca. Przechowujemy je w sobie, spychamy, wypieramy, unieważniamy. Zaś doświadczanie cierpienia do końca, odczuwanie rozrywającego bólu, oczyszcza nas, tworzy miejsce na nowe, pozytywne i budujące uczucia. Pozwólmy sobie na krzyk, łzy rozpacz. Osoby, które wyszły z wielkich dramatów, opowiadają, że dotknęły dna rozpacz i dlatego miały już tylko jedną drogę: odbić się od głębi ciemności i dryfować ku jasnej stronie życia. Cierpienie, które zawładnie nami do końca, obmyje nas jak wielka fala, ale nie zatopi a za to odstąpi, przeminie. Prawdziwe cierpienie nie odgradza nas, ale łączy ze światem. Pomaga go w pełni zrozumieć i pojąć. Jest bolesne, ale i twórcze, motywuje do pogodzenia się ze stratą, do przebudowy myślenia i odczuwania. Uczy nas, jak mądrze żałować i akceptować świat takim, jaki jest”.

- Bożka, proszę. Zabierz mnie stąd. Ja już nie chcę. Już nie mogę... Znam to. Już gdzieś kiedyś to czytałam. Wybiegłam z pokoju jak szalona. Wpadłam do domu i otworzyłam pudełko z „Korespondencją wiecznie żywą”. Powinien gdzieś tu być. Musi przecież. Faktura za wodę to nie. Opłaty za wywóz śmieci też nie.

„Szanowna Pani, zawiadamiamy, że konieczny jest przegląd techniczny wodomierza”  
- cholera z tym wodomierzem. Gdzie ten list? Jest! Z kopertą w dłoni wróciłam do Bożki.

- Zobacz.

Bożka zaczęła czytać.

- Dostałaś ich więcej?

- Nie. Tylko ten jeden. Myślałam, że to świadkowie Jehowy. Bożeno kochana, co ja mam teraz zrobić?

Usiadłam. Ukryłam twarz w dłoniach. Bożena opadła na dywan obok mnie i przytuliła mnie mocno. Ręce mi drżały, a łzy postanowiły płynąć i płynąć bez końca.

„...Granica między fantazją a rzeczywistością bywa czasami bardzo cienka. Chodzi o to, aby się nie pogubić. Bo jeśli stracimy kontakt z tym, co jest, wierząc w to, czego nie ma, to wtedy może być nam ciężko pogodzić się z faktem, że tyliśmy w wymyślonym świecie. Wszelkiego rodzaju konfabulacje są może nawet i dobre, ale tylko wtedy, gdy wiemy, kiedy się zatrzymać.

Życie w świecie nierealnym może zrobić nam wielką krzywdę: jeśli uwierzymy w coś, co istnieje tylko w naszej wyobraźni, możemy nie wytrzymać upadku ze zbyt dużej wysokości. Konfrontacja prawdy z fikcją, fikcji z prawdą, może być zabójczą. Świat, który istniał tylko w naszej wyobraźni staje się z czasem naszym światem, Zaczynamy wierzyć w



jego realność, a on tak naprawdę przecież nie istnieje. Jesteśmy sami. Na scenie nikogo nie ma. Gramy swoją rolę, bo to jest jedyna szansa na przetrwanie. Odrzucamy rzeczywistość, na którą nie godzi się naszą podświadomość. Wybieramy to, co dla nas lepsze, nawet jeśli nie jest prawdziwe. Żyjemy dzięki temu i zachowujemy resztki normalności, nawet jeśli w efekcie ma to nas wprowadzić w nienormalność. Kwestia wyboru. Nic więcej. Zuzanko, może lepiej zamiast marzyć, po prostu zacznij żyć pełną piersią, tak jak tego chcesz i jak na to zasługujesz „

- Zuza, nie martw się. Ja nikomu nie powiem o tym, co tu zobaczyłam. Wiesz, że nigdy się nie wtrącałam w twoje życie. Zawsze robiłaś to, co chciałaś. Nie chciałaś mnie posłuchać. Ale teraz musisz posłuchać. Mnie i jego. Zrób coś wreszcie, dziewczyno, bo kiedyś znajdę cię leżącą w kuchni z nożem w plecach. Jeśli oczywiście wcześniej nie umrzesz na raka.

- Skąd o tym wiesz?

- O czym? O tym, że on cię leje, czy że jesteś chora? Wszyscy wokół wiedzą. Ludzie wiedzą więcej o tobie samej, niż ci się wydaje i niż ty o sobie wiesz. Znają cię lepiej.

„Najbardziej teraz chciałbym, żeby nareszcie zrobiła coś tylko dla siebie. Przede wszystkim musi żyć. Tylko jak ja mogę ją do tego przekonać? Gdy Cię widzę, to tak, jak by ktoś w ciemnym pokoju zapalił słońce. Czy Ty wiesz że lepiej mieć oczy szeroko zamknięte niż otwarte tylko w półmroku?

Jesteś moim aniołem. I zawsze będziesz ja będę Twoim Aniołem. Kocham Twoje oczy. Włosy, usta. Kocham sposób, w jaki się poruszasz Jesteś moja, choć nawet o tym nie wiesz Każdy milimetr Twojego ciała znam na pamięć.

Zuzanko... Na koniec powiem Ci jeszcze co lubię. Lubie baaardzo wiele rzeczy. I kocham łączyć różne w jednym.

A ty? Co Ty lubisz robić? Nie mów. Ja wiem.”

Ja? Co ja lubię robić? Boże mój jedyny, już nie pamiętam.

\* \* \*

Trzy miesiące później.

Walizka nie chce się domknąć. Usiądę na niej, powinno zadziałać. Teraz tylko pomyśleć, czy wszystko spakowałam. Paszporty? Są. Bilety na samolot? Też. Pieniądze? Są. Karty kredytowe? Są. Za trzy godziny przyjedzie taksówka. Amelka u Bożki. Więc teraz mogę się pożegnać. W dłoni ściskam kartkę. Znam treść na pamięć.

Sierpień. A teraz posłuchaj mnie uważnie: Żadna pora nie jest dla Ciebie właściwa: Dziś jest za późno na wczoraj i za wcześnie na jutro. Jeśli musisz coś zrobić, nie zastanawiaj

się. Zrób to natychmiast. Trzymasz swoje tycie w swoich rękach. Zrób coś z tym. Nie wolno zmarnować Ci już ani sekundy.

Nucę ci: „Na wzgórku ciemnym i zielonym blizn żądnym nie zostawia mgła, więc i na Tobie po mym ciele nie pozostanie żaden ślad.”

Samochód zaparkowałam dosyć daleko od cmentarza. Spacer dobrze mi robi. Jak to jest, że wszystkie cmentarne aleje są tak samo piękne? Zawsze lubiłam zadzierać wysoko głowę, idąc nimi. Patrzyłam na ponadstuletnie drzewa, które tworzyły precudny szpaler. W odruchu podziwu i szacunku schyliłam głowę. Dobrze mają ci zmarli. Tu jest tak magicznie. Spokój tak wielki, że aż dech zapiera. Cisza gra na ramionach drzew, jak anioł na strunach skrzypiec. Tak niezwykle, że można się zachwycić. Można się zapomnieć. Zachwyt światem, ludźmi, jest czymś niewyobrażalnie dobrym. Zachwyt nad sobą jest czymś niewyraźalnie mądrym. Szłam powoli, licząc kroki. Bez problemu odnalazłam jego grób. Zielona róża sama położyła się na ciężkiej płycie pomnika. Adam. To ja. Tyle chciałam Ci powiedzieć. Ale Ty to wszystko wiesz. Bo Ty zawsze wiedziałeś. Ty jeden.

Wyjeżdżam. Wychodzę z doliny deszczu. Zdecydowałam.

Chcę żyć, bo życie jest tego warte. Czasami potrzebne jest potężne trzęsienie ziemi, żeby zacząć budować wszystko od nowa. A kiedy wrócę, przyjdę do Ciebie z butelką szampana. Przyniosę dwa kieliszki.

Usiądę na ławce, tuż obok. Tak blisko, jak Ty byłeś blisko mnie. A ja o niczym nie wiedziałam. Stworzyłam sobie świat pełen iluzji, przegapiając prawdziwą miłość. Może tę jedyną, ostateczną? Wypijemy.

A potem zatańczę specjalnie dla Ciebie. Nuciałam bezgłośnie, połykając łzy: „Tylko Ty, kochasz we mnie to, co chcesz, tylko Ty kochasz wiernie i nie pytasz, czy ja też”. To zadziwiające, jak łatwo można się pomylić, przejść obok, przegapić.

Wstałam z ławki, a wraz ze mną wstał ktoś jeszcze. Usłyszałam szelest skrzydeł. I poczułam lekki powiew wiatru. Odwróciłam się powoli i spojrzałam w górę. Uśmiechnęłam się.

Poczułam w sobie niezwykłą siłę. Dam radę. Wygram.

Anioł odwzajemnił uśmiech, jakby znał moje myśli. Wyszeptał bezgłośnie:

„...Spytaj mnie, za co kocham Cię najbardziej. Odpowiem: Za tę porcelanę w Tobie...”

Odpowiedziałam:

Pamiętaj, że gdziekolwiek się znajdziesz miłość do Ciebie pozostanie w moim sercu. I w sercach ludzi, którzy Ciebie kochali.

Pamiętaj, że Bóg też cię kocha.

Tak bardzo. Że już nie chciał się Tobą z nikim dzielić.

\* \* \*

Zostałam koneserem. Zbieram z zapamiętaniem chusteczki różnej maści, oczywiście nie do nosa, ale te na głowę. Amelka kupiła mi kilka vandamek, ale niestety nie mam tak pięknych kości policzkowych jak Sinead O'Connor. Tak naprawdę nie mam też tak kształtnej czaszki, dlatego opcja „vandamka” padła. Ponieważ jestem łysa jak Oleksy Józef (dzięki Bogu jestem od niego ładniejsza, nawet bez włosów), wiązę sobie różnego rodzaju chustki, chusteczki, szale - jednym słowem szaleję w sklepach indyjskich. Dali mi nawet kartę stałego klienta, choć ja mam nadzieję, że teraz, po piątej chemii, która, zdaniem Pawła ma być ostatnią, włosy zaczną odrastać. Wprawdzie mój osobisty onkolog coś tam napomknął o ewentualnej radioterapii, gdyby wyniki były niezadowolające, ale udałam, że nie słyszę.

A może on faktycznie nic takiego nie powiedział, tylko ja mam jakieś halucynacje?

Wolę nie wnikać.

Są ważniejsze problemy. O, na przykład moja Amelka. Po pierwsze, wczoraj o mało nie dostałam zawału, gdy wróciła ze szkoły. Byłam akurat w łazience, przymierzałam perukę, którą nabyłam drogą kupna za nieprawdopodobnie wysoką cenę. Zapłaciłam z własnej kieszeni, bo nasz NFZ (Narodowy Fundusz Zabójców) oddaje tylko część pieniędzy za peruki, które, widziane z Marsa, wyglądają na sztuczne. Podobnie z protezami piersi. Nic tylko usiąść i płakać. Tak na marginesie, rychło Marychno ta peruka. Przecież założenie jest takie, że będę zdrowa i owłosiona. Moja córka jedyna ukochana weszła do przedpokoju i wrzasnęła:

- Mamo: mam dwie wiadomości. Jedną złą a drugą jeszcze gorszą. Od której zacząć?

- Od tej dobrej - odkrzyknęłam, próbując naciągnąć to coś z włosami na głowę.

Odkąd przeczytałam w „Ozonie”, że to nie biedne Afrykanki, lecz hinduscy pielgrzymi są głównym źródłem włosów w Europie, bo zgodnie z tradycją, wchodząc do świątyni, golą się na zero, a inni przedsiębiorczy ich rodacy robią na tym istne kokosy, przestałam się tak bardzo stresować.

W przedpokoju panowała cisza. Pewnie Amelka zastanawiała się, czy po tej chemii zaczęłam razem z włosami tracić słuch, bo przecież wyraźnie powiedziała, jakiego rodzaju wiadomości ma dla mnie. Najwyraźniej dziecko myślało.

- Mamo, ale...

- Dobrą wiadomość poproszę, córeczko.

- Dostałam piątkę z polaka.

- No, sama widzisz, że zawsze znajdzie się jakaś dobra wiadomość - powiedziałam, udając, że nie słyszę, jak po cichu dodała: „dwa tygodnie temu”.

Drzwi otworzyły się i Amelka weszła do łazienki, dokładnie w chwili, gdy przestałam szamotać się z hinduskimi włosami.

- O rany, mamó, wyglądasz jak wczesna Tina Turner albo Kim Wilde. Spojrzałam na nią zdziwiona, że niby skąd ona może to wiedzieć.

- No co, mamó? Mamy encyklopedię muzyki, tak? Internet też, więc? Moje zdziwienie wywołane było jednak czymś zupełnie innym.

Moja córka była ogolona na zero. Prawie. To, co jej zostało, mierzyło jakieś pół centymetra.

- Mówiłaś, że masz złe wiadomości. Dawaj, słonko - starałam się, aby mój głos brzmiał zwyczajnie.

- Byłam na wagarach. Bo zajęcia w szkole nie były skorelowane z godzinami pracy fryzjera.

**SKORELOWANE!**

- To taki wash and go - dwie wiadomości w jednej - powiedziała Amelka i przeciągnęła ręką po główce.

Cholera, a niech tam! Dlaczego mam ukrywać wzruszenie? Wyprowadzając się od Wiarołomnego, postanowiłam sobie, że już nigdy w życiu nie będę niczego udawać. Niech mój głos nie brzmi normalnie. Przecież to normalne nie jest. Zdjęłam z głowy Tinę Turner vel Kim Wilde.

- Chodź, maleńka - powiedziałam cicho do córki. - Niech cię ukocham. Wiesz, masz bardzo piękną, kształtną czaszkę - szeptałam do jej dziesięcioletniego, nieco brudnego uszka, tuląc małą mocno. Przy okazji zauważyłam, że uszko ma trzy dziurki z trzema kolczykami. Zdawało mi się, że usłyszałam: „No fakt, nie to co ty”. Zdecydowanie nie mogę płakać.

Trwałyśmy w milczeniu, przytulone do siebie tak mocno, że słyszałyśmy bicie naszych serc. Amelka zaczęła stukać w pralkę. Wystukiwała rytm, w jakim biło moje serce. Nie ma włosów, ale nadal ma słuch absolutny. Wieczorem, przy kolacji, powiedziała:

- Wiesz mamó, pani od sztuki stwierdziła, oglądając moją plastyczną wizję raj, że maluję jak Nikifor i sama nie wiem, czy to obelga, czy komplement. Bo przecież to był malarz prymitywista.

Kurka no. Ja też nie wiem.

Usnęliśmy przytulone w łyżeczkę. Tego najbardziej brakowało mi w Szwajcarii, gdy byłam w szpitalu. Tej łyżeczki. Ciepła ciała Amelki, jej spokojnego oddechu, przerywanego czasem donośnym chrapnięciem...

Przypomnił mi się Wiarołomny.

Pomyślałam: „Czasem śpiąc z kimś w łyżeczkę można być bardziej samotnym, niż zasypiając bez łyżeczki”.

Ostatecznie zgodnie stwierdziłyśmy, że w peruce najlepiej wygląda Tequila, nasza podrabiana labradorka.

Cmentarz, choć jest miejscem nieustannie kojarzącym się z bólem, po stracie ukochanej osoby potrafi także koić ten ból, a z czasem i zasuszać łzy. Usiadłam na ławce przed Jego grobem. Z torby wyjęłam znicze, zapaliłam.

- Czas na spełnianie obietnic, Adasiu.

Zamierzałam troszkę z nim porozmawiać, rozejrzałam się więc, czy nie wzbudzę niezdrowego zainteresowania, przemawiając do nagrobka. Zresztą, po chwili zastanowienia, doszłam do wniosku, że taka rozmowa na głos ze zmarłym to nic dziwnego, a przynajmniej nie na tyle, by wzywać do mnie pogotowie psychiatryczne.

Było już ciemno, bardzo ciemno i bardzo ciepło. Troszkę się strachliwa zrobiłam, odkąd żyjemy sobie same z Amelką, chociaż i tak jestem odważniejsza od Tequili, która powinna nazywać się Cykoria, bo 3 to najbardziej bojaźliwy pies na świecie. Martwię się, że jeśli kiedyś jakiś opryszek postanowi się do mnie włamać, to Tequila padnie na zawał zaraz w progu. Chyba że trafi na włamywacza po kursie pierwszej pomocy i ten zrobi jej reanimację. Usta-usta. Tak jak moja ciocia swojej śwince morskiej. Usta-usta przez chusteczkę do nosa i masaż serca palcem wskazującym. Tym sposobem świnka żyła dwie godziny dłużej.

Cisza, spokój, światło z płonących zniczy. - Widzisz, Adam, miałam serio serio, a snuję wizję z reanimacji psa, czyli ty już wiesz, że nadal jestem lekko szturchnięta. Zresztą, co ja ci tu będę przysmucać. Ładną mam chusteczkę? To mniej więcej osiemdziesiąta ósma z mojej kolekcji.

Wściekli się moi znajomi, wszyscy przynoszą mi chusteczki na głowę, zupełnie jakbym miała w nich biegać do końca życia. Zamierzam wprawdzie długo i szczęśliwie żyć, ale bez przesady, prawda? Długo... No nie mogę tego wiedzieć... Prędeż ty. Zastanawiam się, czy jest jakaś szansa, żebyś się troszkę podpytał Pana Boga o Jego plany co do mnie? Szczęśliwie... Chciałabym, ale nie będę składać reklamacji, jeśli coś pójdzie nie tak. Nie jestem ani wybredna, ani specjalnie wymagająca. W ogóle nie mam pretensji do Pana Boga. Możesz mu to powiedzieć. Powiedz, Adasiu - wiesz coś na ten temat? Bo chcemy z Amelką

wziąć kredyt na to mieszkanie, co je teraz wynajmujemy i nie wiem, czy warto. Zostawić dziecko z kredytem na głowie to trochę nie tego. Więc pomyślałam, że może mi podpowiesz, dasz jakiś znak. Cokolwiek, żebym tylko wiedziała, że mnie usłyszałeś. To ja teraz chwilkę poczekam. Na ten znak.

Nagle wszystkie znicze zgasły. Wieczka zamknięte, a zgasły, jakby zgasił je podmuch wiatru. Jakiego wiatru, skoro powietrze tkwi w bezruchu?

Anioł zdmuchnął znicze, jak świece na urodzinowym torcie. A co tam. Kto nie ryzykuje, ten nie jedzie. Wezmę ten kredyt.

\* \* \*

Monika Sawicka Serwantka (fragment)

Wtargnęła w moje życie nagle i niespodziewanie, wnosząc oprócz koszarnej ilości błota na martensach, perlisty śmiech, spontaniczność, entuzjazm i marychę w doniczce.

Ale po kolei. Mam siostrę. Starszą. Jeśli do tej pory o niej nie wspomniałam, to tylko dlatego, że nie mam się czym chwalić. Jednak to nie ona trzymała w dłoniach maryskę. Moja siostra zatelefonowała do mnie w poniedziałek z samego rana i wykrzyknęła w słuchawkę:

- Witaj, siostrzyczko. Radosną nowinę ci niosę. Będziesz miała dziecko!

- Chyba chciałaś powiedzieć: „będę miała dziecko”. Ty będziesz je miała.

- Przecież ja już mam. Ty będziesz miała.

- Co ty powiesz? I jak to się stało, że ty wiesz o tym przede mną?

- Skup się: ja mam dziecko. Ty nie masz. Ale będziesz miała. Moje dziecko. Oddaję ci pod opiekę, bo muszę pilnie wyjechać na trochę. Już ja znam to jej „trochę”. Ostatnio jak wyjechali na trochę, nie było ich pół roku. Matka o mało nie zeszła śmiertelnie, bo moja starsza siostra postanowiła zaszyć się w Bieszczadach, bo tam podobno jest lepsza aura. Magia drzew, śpiew ptaków, pohukiwania sowy (czy puszczyka?). I takie tam. Telefon komórkowy, jak i inne przydatne zazwyczaj wynalazki, uznała za całkowicie zbędne i wyrzuciła podczas jazdy samochodem, aby nie mieć żadnych pokus. Po miesiącu postanowiliśmy zgłosić jej zaginięcie na policję. Po dwóch miesiącach jej zdjęcie zdobyło szóstą stronę lokalnego dziennika, a konkretnie rubrykę: „Wyszedł z domu i nie wrócił”.

Trzy miesiące później zgłosiliśmy się do biura detektywistycznego Rutkowskiego i stwierdziliśmy, że nas na jego usługi nie stać. Chyba że sprzedalibyśmy nasze dwa mieszkania i samochód. Wtedy może tak. Wynajęliśmy więc jasnowidza, który niestety nic nie widział. Cztery miesiące później moja mama wystąpiła w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”. Piąty miesiąc przyniósł wiadomość o odnalezieniu zwłok kobiety 1 o

rysopisie odpowiadającym mojej siostrze, wezwano ojca do kostnicy w celach dokonania identyfikacji. Ojciec nie zidentyfikował swojej córki, a mojej siostry, ale za to dostał wylewu. W szóstym miesiącu zjawiała się, jakby nigdy nic, moja siostra, ponieważ miała wyznaczony zabieg o nazwie liposukcja.

Jednymi słowy Anka wróciła po sześciu miesiącach totalnego milczenia, żeby sobie odessać tłuszcz z tyłka.

Gdy zatem dzisiaj usłyszałam o planowanym wyjeździe, lekko mnie zmroziło.

- Aniu, nie godzę się absolutnie na nic. Nie dam się w nic wmanewrować. Po twoim ostatnim wyskoku prawie zmniejszyła nam się rodzina, pewni jej członkowie wymagali długiej rekonwalescencji. Niektórzy do dziś leczą się psychiatrycznie.

- Helenko, ale to już załatwione. Jadę i już. Nie mogę tego odwołać.

- Co tym razem? Znowu Bieszczady, Alaska czy może samotny rejs dookoła świata?

- Nie uwierzysz! Mateusz dostał kontrakt w Iraku. I bierze mnie ze sobą! Ale, niestety, Klementynka kategorycznie odmówiła pojechania z nami. - Jedna mądra w rodzime. Oprócz mnie oczywiście. Co wy tam będziecie robić?

- No wiesz, Mateusz będzie siedział na jakiejś platformie, no a ja... Sama rozumiesz...

- Zapomnij. Tam nie ma farm piękności, ośrodków SPA i niczego takiego. Jest za to cholerny upał, pełno rozwścieczonych Irakijczyków i napalonych żołnierzy.

- Helenko, w takim razie muszę przemyśleć jeszcze raz moją decyzję. Jesteś pewna, że tam nie ma ani jednego salonu piękności? - zaniepokoiła się poważnie moja siostra.

- Aniu, a co to za sprawa, z którą do mnie zadzwoniłaś? Pakujesz się i chcesz, żebym pomogła ci dopinać walizki?

- Eeee... No bo... - zaczęła się jąkać. Wylatujemy za dwie godziny i...

- Jesteś szalona!

- Słuchaj, Helenko, bo czas mi się kończy... Obiecay mi, że nie będziesz dla niej ani zbyt surowa, ani zbyt wyrozumiała...

- Dla kogo?

I w tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Poczekaj, ktoś przyszedł, muszę otworzyć. Nie rozłączaj się. W progu stała moja siostra.

Obok niej owo dziecko: nie moje, lecz jej, choć miało stać się moim na jakiś czas.

- Helenko! Powierzam ci pod opiekę moją Klementynkę. Ona wszystko ma, o nic się nie musisz martwić. Tu jest karta kredytowa, korzystaj z niej, De chcesz. Nie daj sobie wmówić, że pozwalam jej wracać do domu po 22. W ogóle niczego nie daj sobie wmówić.

Tak to ona jest cudownym dzieckiem: nie pije, nie pali, nie narkotyzuje się. W szkole ma same piątki. Tylko ta Marta z jej ławki ma na nią zły wpływ. Zresztą zostawię ci listę. Wszystko spisałam: co jej wolno, a czego nie. No to pa, na dole czeka Mateusz w taksówce, jedziemy na lotnisko. Och! Siostrzyczko! - rozczuliła się nagle Anka. - Uściskaj mnie, bo przecież możemy się więcej nie zobaczyć.

- Zamknij się. Nie mów takich bzdur przy dziecku. To po cholere tam jedziesz? - wkurzyłam się całkiem serio.

- Ja też cię kocham. Odezwę się, jak dotrzemy na miejsce. - Jasne, jeśli tylko nie wyrzucisz przez okno samolotu telefonu. I poszła.